Piotr Lisiewicz
BICIE BOLSZEWIKA WAŻNIEJSZE OD IGRZYSK OLIMPIJSKICH

Ewa Polak-Pałkiewicz
WSZYSTKIE MIŁOŚCI IŁŁAKOWICZÓWNY

Stefan Czerniecki
MIEJSCE POD DOBRY KADR

NIEZALEŻNA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

SKRADZIONE DZIECI UKRAINY

WIELKA RUSYFIKACJA MŁODYCH UKRAIŃCÓW

cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #202 05/2023

ISSN 1895-4960

ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI. FOT. PAVEL BEDNYAKOV/SPUTNIK/KREMLIN POOL/PAP/EPA, ADOBE STOCK (4)

eprasa.pl 42e06210b5

TEMAT NUMERU ▼ 4–10

Skradzione dzieci Ukrainy. Wielka rusyfikacja młodych Ukraińców / 4

IDEE ▼ 12–24

Najczarniejszy scenariusz dla Polski to utrzymanie się Putina u władzy / 12

HISTORIA ▼ 26–57

Bicie bolszewika ważniejsze od igrzysk olimpijskich / 26

KULTURA ▼ 62–81

Pamięci talentu Sofonisby, mistrzyni portretów / 62

ŚWIAT ▼ 82–98

Bakterie i wirusy, Lenin i Putin. Program broni biologicznej... / 82

Spis treści

TEMAT NUMERU

Hubert Kowalski
Skradzione dzieci Ukrainy. Wielka rusyfikacja młodych Ukraińców /4

Ryszard Czarnecki
Germanizacja dzieci polskich, rusyfikacja ukraińskich /10

IDEE

Z dr. Michałem Sadłowskim rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski
Najczarniejszy scenariusz dla Polski to utrzymanie się Putina u władzy /12

Małgorzata Matuszak
Pokolenie płatków śniegu /19

Z Marią Elżbietą Szulikowską rozmawia Sylwia Krasnodębska
Kobiety potrzebują dziś dziedzictwa Wiktorii Ulmy /22

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Bicie bolszewika ważniejsze od igrzysk olimpijskich /26

Dariusz Jarosiński
Historię powstania w getcie opowiadali ci, którzy ocaleli /32

Agnieszka Kowalczyk
Głosy z sowieckich miejsc kaźni /38

Ewa Polak-Pałkiewicz
Wszystkie miłości Iłłakowiczówny /44

Tomasz Łysiak
Średniowieczna III Rzesza, czyli dlaczego w 1941 roku pojawił się cesarz Barbarossa /50

Hanka Ordonówna
Choinka /54

KULTURA

Magdalena Łysiak
Pamięci talentu Sofonisby, mistrzyni portretów /62

Hanna Shen
Japoński rzeźbiarz i jego odpowiedź na cancel culture /68

Krzysztof Karnkowski
Milicja Obywatelska w pogoni za świętością /71

Stefan Czerniecki
Miejsce pod dobry kadr /74

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Bakterie i wirusy, Lenin i Putin. Program broni biologicznej państwa moskiewskiego /82

Z dr. Wojciechem Kwiatkowskim rozmawia Grzegorz Wszołek
USA dużo inwestują w Polskę. Mały atom jest jednym z elementów współpracy /88

oprac. Antoni Rybczyński
Mesjanistyczna wielobiegunowość: wskrzeszona doktryna afrykańska Rosji /93

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /96

eprasa.pl 42e06210b5

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Zaoczny sąd dla porywaczy dzieci
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... troska
KATECHIZM INTELIGENTA 11

Ryszard Czarnecki
Karakałpakstan. Zapiski
CZARNECKO TO WIDZĘ 25

Marcin Wolski
Straty (nie)dopuszczalne
PAPKULTURA 53

Krzysztof Wołodźko
Proletariusze, znikajcie już! Krótka historia neoliberalizmu
DZIENNIK LEKTUR 58

Marek Kalinowski
Drogami Ryuichiego Sakamoto
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 67

Tomasz Sakiewicz
Czy rząd powinien walczyć z inflacją
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

Katarzyna Gójska

Zaoczny sąd dla porywaczy dzieci

Nie jest prawdą, że Putina i jego gangu ludobójców nie da się osądzić. Da się. I ten specjalny sąd winien wydać wyrok uznany przez wszystkich w Europie i w każdym cywilizowanym zakątku świata.

Uprowadzanie lub wyniszczające przesiedlanie grup ludzkich czy niemal całych narodów jest elementem każdej agresji rosyjskiego państwa od wieków. Równolegle z atakiem militarnym Moskwa prowadzi działania mające na celu dezintegrację podbijanego narodu lub wprost dokonuje destrukcji znaczącej jego części. Obserwujemy to dziś za naszą wschodnią granicą. Tysiące ukraińskich dzieci padło ofiarą barbarzyńców dowodzonych z Kremla. Trudno zapomnieć fotografie wykonane w Mariupolu, ukazujące najwyżej trzy- lub czteroletnie maluchy, którym matki napisały na plecach imiona i nazwiska, dane rodziców i ich numer telefonu. Ile z nich zostało oderwanych od swoich najbliższych? Tego nie wiemy. Wiemy za to, że w rosyjskiej telewizji relacjonowane są pokazowe adopcje ukraińskich dzieci. Okrucieństwo i tragedia zupełnie niewinnych istot stają się paliwem odrażającej propagandy zbrodniarzy, mają zabawiać żądną poczucia dominacji widownię. Polska aktywnie uczestniczy w dokumentowaniu zbrodni Rosjan. Prawda jest jednak taka, iż ukaranie winnych będzie wymagało nie tylko naszej stanowczości, lecz także determinacji politycznej głównych państw europejskich i Waszyngtonu. Trudno jednak nie mieć wątpliwości co do ich konsekwencji w tej sprawie. Dziś bardziej uprawnione jest przypuszczenie, iż liderzy największych krajów naszego kontynentu, jakże często sprawiający wrażenie, jakby istotą ich aktywności była praworządność, bez mrugnięcia okiem będą gotowi pozostawić Moskwie ten dziecięcy łup wojenny w imię powrotu do tego, co było. Nie jest prawdą, że Putina i jego gangu ludobójców nie da się osądzić. Da się. I ten specjalny sąd winien wydać wyrok uznany przez wszystkich w Europie i w każdym cywilizowanym zakątku świata. To nieważne, ile lat krwawy dyktator będzie urzędował na Kremlu, ale będzie człowiekiem osądzonym. Przestępcą, którego demokratyczne społeczeństwa odrzucą. Kary winny być wymierzone wszystkim uczestnikom porywania dzieci. Od żołnierzy, przez dowódców, kierowców autobusów, szefów i pracowników sierocińców, do których trafili mali jeńcy. Również tym nowym rodzicom, ich bliskim, całej administracyjnej maszynie zbrodni adopcyjnych, którą zbrodnicze państwo moskiewskie uruchomiło w czasie wojny. Wszystkich lub prawie wszystkich można bez większego trudu wskazać z imienia i nazwiska. Rezultaty aktywności ukraińskiego wywiadu w internecie pokazują, iż ci ludzie nie są anonimowi. Ich dane są dostępne. Ktoś powie: i co z tego, że zostaną skazani, skoro nadal będą w Rosji. Nie można ulec presji poczucia bezsilności. W odczuciu demokratycznego świata będą przestępcami. Nawet jeśli nigdy nie trafią do więzienia, to w przestrzeni publicznej i dla przyszłych pokoleń będą funkcjonować jako zbrodniarze. Będą uwięzieni w Rosji i w kilku innych kolaborujących z nią państwach. Skazanie ich ma być jasnym sygnałem dla rządów państw, że jeśli myślą o powrocie do tego, co było, to będą musiały dogadywać się ze skazańcami za zbrodnie popełnione na dzieciach. W demokratycznych społeczeństwach ciągle nie jest dobrze widziane bratanie się z ludźmi obarczonymi odpowiedzialnością za odrażające zbrodnie. Jest jeszcze jedno znaczenie tych zaocznych wyroków. Świadomość o nich będzie budowała wiedzę na temat prawdziwego oblicza rosyjskiego społeczeństwa. Tocząca się wojna wybuchła, bo świat zachodni zapomniał o jego naturze lub uznał, iż ona się zmieniła. Otóż nic się w Rosjanach nie zmieniło. Może część z nich ruszyła w świat, przywdziała drogie ubrania, zaczęła bywać w prestiżowych miejscach i wśród wpływowych ludzi, ale pozostała tą samą nieokrzesaną społecznością, gotową do najbardziej odrażających niegodziwości. Ważne jest jednak i to, by przywrócić pamięć o rosyjskich zbrodniach z przeszłości, bo ukazanie tej strasznej historii pokazuje, iż okrucieństwo leży w naturze tego państwa. Czasy się zmieniają, a barbarzyństwo trwa. Niestety, również my mamy na sumieniu zapomnienie lub lekceważenie pamięci o moskiewskim ludobójstwie. Mówimy o Katyniu, ale milczymy choćby o dramacie Polaków pozostawionych na pastwę czerwonych katów po traktacie ryskim. Nie wspominając już o krwawym losie rodaków z terenów dawnych Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej. W świadomości współczesnych Polaków nie ma barbarii z czasów wojny polsko-bolszewickiej, nie wspominając już o wcześniejszych bestialstwach, które Rosja carska uskuteczniała wobec naszych przodków. Najwyższy czas wszystko to raz jeszcze opisać, uczcić pomnikami, nazwami ulic, wprowadzić porządnie do programów nauczania. ■

eprasa.pl 42e06210b5

Hubert Kowalski

Skradzione dzieci Ukrainy. Wielka rusyfikacja młodych Ukraińców

Rosjanie zaplanowali operację deportowania dzieci z Ukrainy i rusyfikowania ich różnymi metodami na dużą skalę. – Szczególnie bezbronne są dzieci pozostawione bez opieki rodzicielskiej. Na przykład takie, których rodzice zmarli, przebywają w szpitalu lub zaginęli, a także dzieci przebywające u dziadków czy innych krewnych. Te są natychmiast zabierane przez okupantów – mówi Olga Jerochina, rzecznik prasowa fundacji Save Ukraine. Organizacja sprowadziła niewielką część uprowadzonych dzieci, ale z nadzieją kontynuuje swoje działania. Choć jest to bardzo trudne, to jednak zdarza się, że młodzi Ukraińcy wracają z niewoli. Stało się to realne po nagłośnieniu zbrodniczego procederu.

eprasa.pl 42e06210b5

ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI. FOT. PAVEL BEDNYAKOV/SPUTNIK/KREMLIN POOL/PAP/EPA, ADOBE STOCK (4)

W lutym 2023 roku Obserwatorium Konfliktów Uniwersytetu Yale opublikowało raport, w którym poinformowano, że Rosja prowadzi systematyczną i celową politykę wywozu i indoktrynacji dzieci z okupowanych części Ukrainy. Eksperci porównali rosyjskie działania do praktyk stosowanych przez III Rzeszę.

Ponad 700 tys. porwań

Z raportu wynika, że zaplanowana przez Rosję akcja jest prowadzona na szeroką skalę. Polega ona na wywożeniu dzieci do Rosji, między innymi ich „reedukacji", przymusowych adopcjach oraz przydzielaniu ich do rodzin zastępczych. Autorzy raportu oceniają, że te rosyjskie działania są częścią operacji prowadzonej przeciwko Ukrainie. Podkreślają, że jeszcze przed inwazją Rosjanie sporządzili listy dzieci w domach dziecka, które miały być przeznaczone do deportacji. Dzieci były wysyłane do co najmniej 43 obozów w całej Rosji. Utrudniano również rodzicom kontakt z nimi i choć obiecano ich powrót do domu, to wielokrotnie decyzja była wstrzymywana. W ramach „reedukacji" ukraińskie dzieci są nauczane rosyjskiej wersji historii. Między innymi w Czeczenii i na Krymie prowadzone są szkolenia wojskowe dla ukraińskiej młodzieży w wieku 14–17 lat.

Według ukraińskiej organizacji pozarządowej Regionalne Centrum Praw Człowieka okupanci mogli wywieźć nawet 700 tys. dzieci. Strona rosyjska podała liczbę 738 tys. dzieci „ewakuowanych" z terenów ukraińskich w obliczu zagrożenia. Jednak zarówno strona ukraińska, jak i wielu ekspertów podkreśla, że te działania w istocie były przymusową deportacją. Los wielu z nich nie jest znany, ponieważ część terytorium Ukrainy wciąż znajduje się pod okupacją. Ukraińcy zwracają uwagę, że repatriacja deportowanych w przyszłości może być trudna, ponieważ okupanci przyznają ukraińskim dzieciom rosyjskie obywatelstwo. Jak oceniają eksperci, te działania Rosji mogą mieć charakter ludobójstwa.

Za procederem stoją najwyższe władze rosyjskie, między innymi Maria Lwowa-Biełowa, rosyjska rzecznik praw dziecka. Międzynarodowy Trybunał Karny wydał wobec niej nakaz aresztowania z powodu zbrodni wojennych popełnianych głównie wobec dzieci. Lwowa-Biełowa ma być bowiem odpowiedzialna za stworzenie tej zbrodniczej polityki. Chodzi o przymusową adopcję dzieci ukraińskich przez rodziny rosyjskie, tzw. edukację patriotyczną dzieci ukraińskich, zmiany legislacyjne mające na celu przyspieszenie nadawania obywatelstwa Federacji Rosyjskiej nieletnim oraz celowe wywożenie przez siły rosyjskie. Lwowa-Biełowa „adoptowała" również ukraińskiego nastolatka z Mariupola. Sama także chwaliła się, że ukraińskie dzieci są umieszczane w ośrodkach, gdzie mają zapewnioną „opiekę" i naukę języka rosyjskiego oraz historii. Nie ma wątpliwości, że te działania istotnie wpłyną na poczucie tożsamości dzieci.

Indoktrynacja, szkolenie do walki z Ukrainą i „integracja nowych regionów"

Między innymi właśnie w Mariupolu rosyjscy okupanci nakazali tamtejszym oraz sprowadzonym z Rosji nauczycielom przeprowadzać lekcje historii, w ramach których dzieci są uczone o rosyjskiej tożsamości miasta. Chodzi o wpojenie im przekonania, że Mariupol od zawsze był rosyjski. Oprócz tego według ukraińskich władz nauczyciele mają przekonywać uczniów, że referendum niepodległościowe na Ukrainie w 1991 roku było nielegalne, a pseudoreferenda przeprowadzanie przez wojska okupacyjne były uczciwe i zorganizowane z zachowaniem wszelkich procedur.

Na potrzeby wewnętrznej propagandy na moskiewskim stadionie Łużniki z okazji rocznicy inwazji zorganizowany został specjalny koncert. Na scenie pojawiły się dzieci, które miały być „uratowane" z Mariupola. Wystąpił również żołnierz Jurij, który miał samodzielnie zabrać z miasta 380 młodych Ukraińców. Głos oddano dziewczynce Annie, która dziękowała „wujkowi" za uratowanie jej oraz innych dzieci. To jeden z wielu przykładów propagandowego posługiwania się przez Rosję dziećmi z Mariupola.

Lojalne wobec Kijowa lokalne władze Mariupola informowały również, że dzieci z miasta były zmuszane do występów przed rosyjskimi żołnierzami. Miały one dziękować okupantom za ich „wyzwolenie". Wierna Ukrainie i obecnie działająca poza okupowanym Mariupolem rada miejska podała, że w mariupolskiej szkole nr 54 rosyjscy żołnierze zorganizowali „lekcję odwagi". Na opublikowanych zdjęciach i nagraniach widać umundurowanych żołnierzy rosyjskich oraz rozłożoną na szkolnych ławkach broń. Ukraińskie dzieci miały uczyć się strzelania. Jako potencjalnych wrogów przedstawiono im ich rodaków.

Strona rosyjska nie ukrywa, że jej celem jest rusyfikacja podbitych terenów. Jak informował portal Ura.ru, mieszkańcy „nowych regionów Rosji" otrzymają „pomoc w większym zjednoczeniu z krajem". „Władze przystąpiły do ich integracji z historyczną i kulturową przestrzenią kraju. To sprawi, że nowi obywatele Federacji Rosyjskiej będą w duchu Rosjanami, zjednoczą się wokół państwa" – czytamy. Jak napisano, Duma Pań-

eprasa.pl 42e06210b5

FOT. Save Ukraine

stwowa uważa, że „integracja nowych terytoriów" ze wszystkimi sferami życia jest obecnie głównym zadaniem państwa. Plan pełnej „integracji nowych regionów" z Federacją Rosyjską jest przewidziany do 2026 roku. Instytucje podległe objętej unijnymi sankcjami rosyjskiej agencji rządowej Rossotrudniczestwu informowały, że „wolontariusze kultury" wysłali do bibliotek w Donbasie ponad 2,5 tys. przeznaczonych dla dzieci książek dotyczących głównie historii. Jak twierdzą Rosjanie, to literatura „bez zniekształcenia faktów".

▶ Fundacja ratuje dzieci z niewoli

Istotnym elementem operacji rusyfikacyjnej są wspomniane deportacje dzieci do Rosji. Sprawami porwanych dzieci zajmuje się ukraińska fundacja Save Ukraine, której szefem jest Mykoła Kułeba, były rzecznik praw dziecka przy prezydencie Ukrainy. Fundacja organizuje misje ratunkowe mające na celu odzyskanie młodych Ukraińców. Niestety większość z nich nadal pozostaje w rękach okupantów. Według fundacji na dzień 20 kwietnia wiadomo było o ponad 19 tys. ukraińskich dzieciach deportowanych do Rosji. Z tego ponad 6 tys. młodych Ukraińców zostało wysłanych do ośrodków „reedukacji". Według stanu na dzień 20 kwietnia, fundacji udało się sprowadzić z powrotem na Ukrainę 215 dzieci.

Save Ukraine po uratowaniu najmłodszych z rąk rosyjskich organizuje dla nich między innymi wsparcie psychologiczne. Jak informuje fundacja, jej aktywność często jest prowadzona w strefie działań wojennych. Rosyjscy żołnierze używają dronów do śledzenia samochodów i autobusów przeznaczonych do transportu ludzi, a następnie ostrzeliwują je. Tym samym okupanci nie pozwalają ratownikom na ewakuację osób zagrożonych.

Jak tłumaczy nam Olga Jerochina, rzecznik prasowa fundacji Save Ukraine, organizacja na bieżąco przygotowuje kolejne misje ratunkowe. Podkreśla, że dokładna liczba deportowanych dzieci nie jest znana. – Przede wszystkim dzieci są deportowane dzięki stosowaniu manipulacji. Rosjanie lub współpracujące z nimi osoby wywożą dzieci w celu „odpoczynku", „rekreacji" czy „rekonwalescencji" na terytorium Federacji Rosyjskiej lub na Białoruś – mówi rzecznik. Jak dodaje, innym sposobem jest przymusowa ewakuacja. Okupanci zabierają ludność na terytorium FR lub tereny okupowane. – Szczególnie bezbronne są dzieci pozostawione bez opieki rodzicielskiej. Na przykład takie, których rodzice zmarli, przebywają w szpitalu lub zaginęli, a także dzieci przebywające u dziadków czy innych krewnych. Te są natychmiast zabierane przez okupantów – tłumaczy Olga Jerochina. Wyjaśnia, że fundacja prowadzi

eprasa.pl 42e06210b5

szereg negocjacji i konsultacji w celu odzyskania dzieci. Podkreśla, że ze względów bezpieczeństwa tak długo jak to możliwe, fundacja nie ujawnia szczegółów akcji. Rzecznik informuje również, że organizacja pokrywa koszty związane z akcjami ratowniczymi. Organizuje także wsparcie psychologiczne dla dzieci i ich matek. Jak wyjaśnia Olga Jerochina, obecnie zdarza się, że dzieci udaje się sprowadzić z niewoli, ponieważ po nakazach aresztowania wydanych przez MTK oraz wspomnianym raporcie Yale, nagłośnieniu procederu, w pewnym stopniu zmieniła się postawa Rosjan. Nadal jednak utrudniają oni odzyskanie dzieci, FSB prowadzi między innymi długie przesłuchania matek przed oddaniem ich pociech. Wcześniej sprowadzenie deportowanego dziecka było prawie niemożliwe.

▶ Bądź Rosjaninem, bo trafisz do psychiatryka

Fundacji udało się uratować między innymi 16-letnią Ninę, która była zmuszana do noszenia rosyjskiego munduru i wzięcia udziału w szkoleniu wojskowym. Miało to miejsce w ośrodku „rehabilitacyjnym" na Krymie. Dziewczyna bała się, że wkrótce może zostać wysłana przez Rosjan na front przeciwko Ukrainie. Nina została w październiku podstępem wywieziona spod okupowanego Chersonia na anektowany Krym. Rosjanie straszyli miejscową ludność możliwością przybycia groźnych najemników walczących po stronie Ukrainy, którzy mogą gwałcić kobiety i strzelać do dzieci. Spanikowana dziewczyna w tajemnicy przed matką skorzystała z możliwości wyjazdu na Krym. Nina próbowała później na własną rękę wrócić do domu, ale nie pozwalała na to rosyjska policja, ponieważ dziewczyna była nieletnia. Nastolatki poszukiwała jej matka, która zwróciła się o pomoc do Save Ukraine. Zespołowi fundacji udało się sprowadzić Ninę do domu.

Podstępem na Krym została wywieziona również 15-letnia Jewgienija z Chersonia. Trafiła do obozu „wypoczynkowo-rehabilitacyjnego". Wychowawczyni dziewczynki zaproponowała całej klasie wakacje nad morzem. Powodem było ciągłe zagrożenie działaniami wojennymi w okolicy i związany z tym stres uczniów. Dzieci miały wrócić do domu po dwóch ty-

eprasa.pl 42e06210b5

godniach, ale okazało się, że Rosjanie nie zamierzają wydać dzieci. Osoby nadzorujące obóz nosiły ubrania z symbolem „Z", a ukraińskie dzieci były nazywane nazistami. Zmuszano je do śpiewania rosyjskiego hymnu. Tym, którzy odmawiali, grożono wysłaniem do aresztu śledczego, a później do domu dziecka. Mimo to część młodych Ukraińców odmawiała podporządkowania się. Dziewczynkę udało się zabrać do domu dzięki wysiłkom fundacji. Jewgienija przed wyjazdem zostawiła na ścianach ośrodka napisy „Chwała Ukrainie".

Z kolei 16-letni Artem z Kupiańska wraz z innymi dziećmi został zabrany siłą ze szkoły przez rosyjskich żołnierzy. Zostali oni wywiezieni przez okupantów przyczepami. Uczniowie trafili do Starobielska, a następnie do Perewalska w obwodzie ługańskim. Umieszczono ich w internacie, gdzie byli wykorzystywani do rozładunku różnych towarów i sprzątania terenu. Pracownicy placówki poniżali porwane dzieci, a samemu Artemowi grozili, że za złe zachowanie wyślą go do szpitala psychiatrycznego. Chłopiec przyznał, że zdarzało mu się płakać z rozpaczy. Artem jednak wrócił do domu poprzez fundację Save Ukraine, która nadal go wspiera.

Z kolei 14-letnia Taisia z Darjiwki w obwodzie chersońskim odmówiła pójścia do rosyjskiej szkoły. Uczyła się zdalnie zgodnie z ukraińskim programem. Niestety kolaboranci zaczęli grozić jej matce odebraniem córki, jeśli ta nie rozpocznie nauki w szkole rosyjskiej. Dziewczynka trafiła do okupacyjnej placówki. Okupanci jednak nie poprzestali na tym. Rosyjscy żołnierze zastraszyli rodzinę Taisi, która w efekcie wyraziła zgodę na wyjazd dziecka na Krym, który miał rzekomo odbywać się w ramach programu nauczania. Trafiła do ośrodka „rehabilitacyjno-rekreacyjnego", w którym przebywało 700 innych dzieci. Podczas pobytu uczniowie musieli codziennie wychodzić na scenę i śpiewać rosyjski hymn i piosenki propagandowe oraz oglądać przemówienia Władimira Putina. Za rzekomo nieodpowiednie zachowania byli zmuszani między innymi do sprzątania krymskiej plaży. Za słowa „Chwała Ukrainie" można było trafić do izolatki lub pustego oddziału szpitala psychiatrycznego. Taisia również wróciła do domu dzięki Save Ukraine.

Jak informuje fundacja, jednym z największych jej wyzwań była piąta misja ratunkowa. Mimo przeszkód do domu wróciło 31 dzieci. Matki musiały najpierw przejść 13-godzinne przesłuchanie FSB. Zostały również zmuszone do wystąpienia przed kamerą i dziękowania Rosji za „uratowanie" dzieci. Do domu miało wrócić jeszcze dwoje dzieci. Niestety z powodu ataku serca zmarła ich babcia. W jej torbie znaleziono prezenty dla wnuczek. Zespół fundacji organizuje więc pomoc dla jej rodziny.

Ludobójstwo

Eksperci oceniają, że z punktu widzenia prawa międzynarodowego deportacje mogą wchodzić w zakres aż trzech rodzajów zbrodni: ludobójstwa, zbrodni przeciwko ludzkości oraz zbrodni wojennej. Na terytoriach okupowanych ma bowiem miejsce przymusowe przekazywanie dzieci z danej grupy do innej grupy. Są to celowe i zamierzone działania, które mogą być interpretowane jako ludobójstwo zgodnie z Konwencją ONZ z 1948 roku. Ludobójstwo to bowiem nie tylko zabijanie, lecz także może się ono objawiać poprzez biologiczne przekształcanie społeczeństwa, na przykład w postaci przekazywania dzieci. Przymusowe przemieszczanie ludności jest natomiast częścią definicji zbrodni przeciwko ludzkości na gruncie Statutu Rzymskiego Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze. Na terytoriach okupowanych jest to praktykowane w ramach systematycznego ataku na ludność cywilną. Bezprawna deportacja lub przesiedlenie albo bezprawne pozbawienie wolności to również elementy definicji zbrodni wojennej. Konkretna kwalifikacja zależy od kontekstu tych działań i zgromadzonego materiału dowodowego oraz możliwości udowodnienia zamiaru wyniszczenia Ukraińców przez Rosję. Na ten zamiar wskazują między innymi bardzo agresywne liczne wypowiedzi propagandystów i przywódców rosyjskich. ■

JESZCZE PRZED INWAZJĄ ROSJANIE SPORZĄDZILI LISTY DZIECI W UKRAIŃSKICH DOMACH DZIECKA, KTÓRE MIAŁY BYĆ PRZEZNACZONE DO DEPORTACJI. DZIECI BYŁY WYSYŁANE DO CO NAJMNIEJ 43 OBOZÓW W CAŁEJ ROSJI.

FOT. Save Ukraine

eprasa.pl 42e06210b5

Ryszard Czarnecki

Germanizacja dzieci polskich, rusyfikacja ukraińskich

Żeby unaocznić, co czują teraz nasi sąsiedzi ze wschodu, powiem, co czuliśmy my, Polacy. Powiem to jako historyk, odwołując się do faktów sprzed ponad 70 lat.

W wyniku zaplanowanej przez okupantów z Niemiec akcji germanizacyjnej wywieziono w głąb III Rzeszy do 200 tys. polskich dzieci. Przedział wiekowy: od kilkunastu miesięcy do 8–9 lat. Niemcy uznali po prostu, że starsi, pamiętający polskich rodziców nie dają gwarancji, że staną się Niemcami. Z tych 200 tys. wywiezionych do Niemiec wróciło ledwie od 30 do 40 tys., a więc nie więcej niż 20 proc. Zmieniono im nie tylko nazwiska, lecz także imiona, aby zatrzeć wszelkie ślady. Niemcy, jak to Niemcy: cała akcja była bardzo dobrze zorganizowana i systematyczna. Zaczęło się od dokumentu, który trafił na biurko Heinricha Himmlera z Urzędu ds. Rasowo-Politycznych NSDAP – partii Hitlera. Specjalny rozdział poświęcono dzieciom polskim. „Rasowo wartościowe" miały być wywożone do Niemiec i trafiać do zakładów wychowawczych. Miały zakaz jakichkolwiek kontaktów z polskimi krewnymi. Po niespełna pół roku Himmler rozesłał dyrektywę specjalnie poświęconą germanizacji naszych najmłodszych rodaków. Zatytułowano ją: „O traktowaniu obcoplemiennych na Wschodzie". Zgodnie z rozkazem w Generalnej Guberni miano co roku dokonywać „przesiewu" dzieciaków i wyekspediować „wartościowych" do III Rzeszy. Z samej tylko Zamojszczyzny wywieziono 30 tys. dzieci (w sumie wypędzono stamtąd 110 tys. Polaków). Pamiętam opowieści mojej śp. Mamy o dzieciach Zamojszczyzny, gdy ja sam byłem dzieckiem... Poza ziemią nazwaną tak ku czci hetmana Jana Zamoyskiego, 15 tys. wywieziono z Żywiecczyzny, a około 12 tys. z ziemi ciechanowskiej. Oczywiście polskie dzieci stamtąd również w dużej liczbie trafiały do Niemiec. Autorzy poruszającej książki „Teraz jesteście Niemcami. Wstrząsające losy zrabowanych polskich dzieci" pisali: „Dzieci były badane pod kątem wyglądu zewnętrznego, budowy czaszki, rozstawu oczodołów, koloru włosów i oczu. Te w odpowiednim wieku były kwalifikowane do germanizacji. Dzieciom zawieszano na szyi drewniane tabliczki, na których znajdował się symbol K (Kinderaktion) i dodatkowo nadawano im numery".

Pamiętam też relacje prezesa jednej z największych spółek Skarbu Państwa: dwaj bracia jego ojca zostali wywiezieni jako dzieci z majątku pod Koninem: jeden zmarł, drugi nigdy nie wrócił...

To była wciąż mało nagłaśniana polska tragedia. Tragedia rodziców, którym siłą odebrano dzieci. Tragedia dzieci, których pozbawiono rodziców, tożsamości i przynależności do wspólnoty narodowej. Olbrzymia większość z nich nigdy nie dowiedziała się, że urodzili się i wychowywali w pierwszych latach swojego życia jako Polacy. Często w Niemczech byli wychowywani we wrogości do polskich „podludzi". Niektórzy z nich dowiedzieli się o swoich prawdziwych korzeniach już jako ludzie dorośli, czasem pod koniec życia. Był to dla nich olbrzymi wstrząs.

Warto podkreślić – bo może to być przydatne już dla współczesnych rozważań – że Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze uznał germanizację polskich (i nie tylko) dzieci za formę ludobójstwa! Również konwencja ONZ w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa w art. 2e stwierdziła, że „przymusowe przekazywanie dzieci" jest formą ludobójstwa. Konferencja UNESCO w 1948 roku uznała, że „rabunek i eksterminacja dzieci jest zbrodnią przeciwko ludzkości".

Piszę o tym teraz, gdy mamy do czynienia z sytuacją przymusowej rusyfikacji dzieci z Ukrainy. Jest to zadanie łatwiejsze niż w przypadku germanizacji dzieci polskich, ponieważ bardzo duża część tych dzieci wychowała się w rodzinach ukraińskich, ale rosyjskojęzycznych.

Parlament Europejski już we wrześniu 2022 roku w specjalnej rezolucji potępił działania Rosji w tym obszarze. Z inicjatywy grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w drugiej połowie kwietnia 2023 roku odbyła się kolejna debata na ten temat. Szkoda, że tym razem niespuentowana rezolucją... ■

eprasa.pl 42e06210b5

Małgorzata Matuszak

Czym jest... troska

Słowo „troska" w języku polskim oznaczać może „stan psychiczny wywołany jakąś trudną sytuacją lub myśleniem o tym, że może się nam lub komuś stać coś złego" bądź „osobę, sytuację lub rzecz, która jest przyczyną tego stanu" albo „dbanie o coś lub kogoś w taki sposób, że poświęca się temu dużo czasu i uwagi lub otacza opieką". Może więc mieć charakter przedmiotowy i znaczyć tyle, co „smutek", „zmartwienie" czy „niepokój", albo czynnościowy i określać działania mające na celu eliminację trosk w znaczeniu przedmiotowym – obecność czyjejś niedoli, ale też pragnienie zaopiekowania się kimś, kto owej niedoli doświadcza. „Troszczenie się", czyli troska w wymiarze czynnościowym, staje się wtedy czymś zgoła odmiennym od zamartwiania się.

Zamartwianie się nigdy nie odbywa się w teraźniejszości, ale jest wyobrażeniem przyszłości w oparciu o jakiś fakt z przeszłości lub tylko tego faktu interpretację. Troska jest otwarciem na drugą osobę, zainteresowaniem się nią i skupieniem uwagi na niej. Zamartwiając się (słowo „martwić" jeszcze w XV wieku znaczyło przecież tyle, co być martwym, uśmiercać czy zabijać) oddalamy się, odcinamy od siebie czy drugiego człowieka, w troszczeniu się jest zaś coś żywego, ożywiającego dla nas i dla drugiego. Zamartwianie się karmi się lękiem, a troska – miłością. Troszczyć się prawdziwie może tylko ten, kto kocha.

Pod pojęciem troski rozumiemy emocjonalny stan zainteresowania czymś, co dla człowieka jest ważne, co go interesuje i obchodzi. Stan ten wyraża się w takim zachowaniu człowieka, które ma na celu doprowadzenie do realizacji intencji troski – by „coś zostało zachowane", „coś przetrwało", by sprawy „potoczyły się" zgodnie z planami i oczekiwaniami. Dochodzimy tym samym do egzystencjalnego rozumienia troski: odnosi się ona do tego, co najbardziej obchodzi człowieka w jego egzystencji. Co zaś powinno być dla człowieka najważniejsze? On sam i drugi człowiek.

Jest zatem troska rodzajem postawy etycznej, która może dotyczyć samego siebie oraz innego człowieka. Wynika ze rozumienia faktu, że życie ludzkie jest kruche i trzeba o nie dbać – jest uznaniem życia w jego nietrwałości i podatności na zranienie. Tak rozumiana troska ma na względzie dbanie o to, aby zabezpieczyć kruchość życia – jest chronieniem i jako chronienie ma zawsze na uwadze skończoność życia. Troska nie narzuca się, ale pozostaje przy tym, co chroni. Trwa przy życiu, które chroni.

Troska o siebie dba o to, aby swoim życiem kierować tak, by było dobre. Jest dbaniem o siebie i działaniem na rzecz własnego dobra. Troska o kogoś drugiego jest działaniem skierowanym na kogoś i dbaniem o dobro kogoś drugiego. Postawa troski może być sposobem życia, w którym nasze czyny skupione są wprost na tym, aby życie było, by trwało, by mogło się rozwijać i wzrastać. Dlatego troska podtrzymuje to, co jest w życiu nietrwałe, chroniąc przed rozpadem.

W pierwszej kolejności troska należy się nam samym i dotyczy tego, żebyśmy „byli" tak, aby umożliwiać sobie jak najlepsze życie. Powinniśmy dbać o siebie, gdyż dbanie o własny dobrostan jest jednym z najważniejszych warunków tego, abyśmy mogli innych ludzi otoczyć swoją troską. Zatroskane spojrzenie to spojrzenie, które czuwa nad życiem własnym i innych, mając na uwadze swoje i czyjeś dobro. Jeśli troska nie może dokonać tego, aby życie było szczęśliwe, to dba o to, aby chociaż zminimalizować cierpienie – wypatruje tego, gdzie jest cierpienie, i chce mu ulżyć. Dlatego też z troski może wynikać nasze poczucie odpowiedzialności za siebie i za innych, a także pragnienie pomocy drugiemu człowiekowi.

ZAMARTWIANIE SIĘ KARMI SIĘ LĘKIEM, A TROSKA – MIŁOŚCIĄ. TROSZCZYĆ SIĘ PRAWDZIWIE MOŻE TYLKO TEN, KTO KOCHA.

Współcześnie troska stała się nawet punktem wyjścia dla rozważań etycznych w jednym z rodzajów etyki relacyjnej, w którym opartą na niej relację między dwiema istotami ludzkimi przyjmuje się za podstawę ludzkiej egzystencji. „Etyka troski", bazująca na skontekstualizowanej postawie empatii, powstała jako przeciwwaga dla „etyki sprawiedliwości", zasadzającej się na indywidualnej świadomości podmiotu moralnego. ■

eprasa.pl 42e06210b5

Jakub Augustyn Maciejewski

NAJCZARNIEJSZY SCENARIUSZ DLA POLSKI TO UTRZYMANIE SIĘ PUTINA U WŁADZY

Kreml jako sukces przedstawi nawet minimalne zyski terytorialne. Obawiam się, że za tym szłoby dalsze zmiękczanie granic NATO i rozbicie UE. Putin umie prowadzić politykę bardzo ryzykowną, na co politycy krajów demokratycznych nie zawsze są gotowi. Żyjemy w czasach naprawdę bardzo nieokreślonych – z dr. MICHAŁEM SADŁOWSKIM, historykiem i znawcą rosyjskiej polityki, rozmawia JAKUB MACIEJEWSKI.

adresat nr 4280621005

▶ Czy po rozpoczęciu inwazji na Ukrainę zobaczyliśmy prawdziwą twarz Rosji, kolosa na glinianych nogach?

Nam, Polakom, czasami trudno zrozumieć Rosję od wewnątrz, skoro nie ustanowiliśmy nigdy formuły państwa absolutnego. Takie wzorce z Rosji, Austrii, Prus czy nawet Francji niekiedy do nas przenikały, ale z Rzeczpospolitą nie miało to nic wspólnego. A w Rosji od XVIII wieku wzorowanie się na urządzeniach ustrojowych europejskich państw absolutnych było poważne. Nie mówiąc o tradycji samodzierżawia Polacy nie do końca to widzą, nie do końca odczuwają, nam przyświeca bardziej „Trzeci Maja" niż despotyczne mocarstwo. Na wschodzie dominacja jednostki nad obywatelami jest absolutna, tam liczy się dążenie, wola i chęć utrzymania tej woli. W XIX wieku ugruntowano też koncepcję patriotyzmu politycznego, który polega na posłuszeństwie, a właściwie poddaństwie wobec władzy. Z kolei sama władza była utożsamiana z państwem, a nawet ojczyzną. My krytycznie oceniamy administrację rosyjską, która jednak w wielu obszarach działa lepiej, niż umiemy sobie wyobrazić. Scentralizowana i rozbudowana biurokracja rosyjska potrafi jednak przyciągnąć zdolne jednostki, które, owszem, wynagradzają sobie niewystarczające dla ich aspiracji wypłaty różnymi mechanizmami korupcji, ale na Zachodzie istnieje podobne zjawisko w systemie grantowym. Rosja nie jest tutaj aż takim oburzającym wyjątkiem.

▶ Źle oceniamy kondycję rosyjskiego imperium?

Zatrzymaliśmy się w dwudziestowiecznej formule państwa, gdy nawet w Moskwie przeformułowano mechanizmy rządzenia w zupełnie inny sposób, dostosowując je do wyzwań nowoczesności. Pod koniec lutego zmarł wybitny technolog władzy, jeden z współtwórców tego systemu w Rosji, Gleb Pawłowski. Nie mnie oceniać, czy pójdzie do piekła za półtorej dekady pracy dla Putina, ale nie można mu odmówić skuteczności i przenikliwości.

▶ A jednak z ostatnich doniesień medialnych wynikałoby, że nawet otoczenie Putina, w tym szefowie służb, było zaskoczone, że jednak taka pełnoskalowa wojna się zacznie.

Skłaniam się ku tezie, że nie wszystkie służby były zaskoczone. Służba Wywiadu Zagranicznego Rosji nie tylko była sceptyczna wobec ataku na Ukrainę, lecz także prawdopodobnie informowała o tym Kreml. Istnieje teza, że to ona przekazała część informacji o planowanej inwazji Amerykanom, dzięki czemu już dwa miesiące przed atakiem Biały Dom prowadził kampanię zniechęcania Moskwy do rozpoczęcia wojny. Być może przez dość rozwinięte niejawne kontakty amerykańsko-rosyjskie chciano wpłynąć na Putina i zamanifestować: my wszystko wiemy, znamy wasz potencjał i plany uderzenia – nie róbcie tego.

Z jednej strony Rosjanie na poziomie analitycznym mają bardzo rozwinięte instytucje, choć szwankuje proces decyzyjny. I tak na przykład w MGIMO funkcjonują zakłady, gdzie raportuje się sprawy międzynarodowe za pomocą m.in. monitoringu prasy, ale nie tylko w głównych językach kongresowych, lecz także w wielu językach lokalnych. Z drugiej strony czynniki decyzyjne, brak kontroli organów i współpracy pomiędzy nimi w dużej mierze marnotrawi te zasoby analityczne.

▶ Atak był jednak wbrew rosyjskiej opinii publicznej?

Gdy rozmawiam z Rosjanami, którzy nawet popierali Putina, to odnotowuję ich zdumienie decyzją o inwazji. To jest fenomenalny, prawdziwy absolutyzm.

▶ Brzmi jak prawdziwe, carskie samodzierżawie, gdy cały naród, ludzie, ich groby, ich majątki są własnością jednego człowieka.

Właśnie. Absolutyzm zachodni miał jednak pewne ograniczenia, pewne formy, prawne formuły. W Rosji to się nie udawało i na przykładzie Putina widzimy, że nie udało się znowu. On zachowując zdobycze nowoczesności, świadomie cofa Rosję do czasów samodzierżawia carów i niestety jest z tego dumny. I ja mam wrażenie, że ta wojna ma źródła głównie wewnętrzne. Dla utrzymania się u władzy prezydent Rosji chce mieć legitymizację opartą na sukcesach na arenie międzynarodowej. Aneksja Krymu, budowa Gazociągu Północnego, wizyta w Genewie w czerwcu 2021 roku, względnie udana interwencja w Syrii, korzystne zakończenie wojny o Górski Karabach w 2020 roku, po której Rosjanie zainstalowali tam swoje bazy wojskowe. Podobnie błyskawiczna operacja, desant w Kazachstanie dla opanowania zamieszek, był takim wzmocnieniem Putina i jemu się wydawało, że podobnym schematem dokona ataku na Ukrainę. Dodajmy do tego skuteczne spacyfikowanie protestów na Białorusi, tam się „kolorowa re-

FOT. WNETFM

eprasa.pl 42e06210b5

wolucja" nie udała, ale rosyjski lider odebrał to jako sygnał, ostatni dzwonek, by następny Majdan na Ukrainie nie okazał się jeszcze bardziej antyrosyjski. Nowym sukcesem chciał też spacyfikować opozycję i pewne przejawy niezadowolenia w Rosji. Mając więc na koncie wiele sukcesów i względnie adekwatne rozeznanie rzeczywistości, tutaj przelicytował – jako władca Rosji pogubił się, jego powodzenie go przerosło i zaowocowało przejściem do zbrodni.

▶ Mam wrażenie, że obraz szczytów władzy, jaki Pan zarysowuje, przypomina nieco czasy późnego Chruszczowa, przeliczenie się Kremla w sprawie kryzysu kubańskiego, a nawet ten element gry SWR z Amerykanami jest podobny do tezy Suworowa, że Pieńkowski też grał z Waszyngtonem tak naprawdę dla ostudzenia gorączki moskiewskiego satrapy. Jeśli ta analogia jest prawdziwa, to może i scenariusz utraty władzy przez wodza, który „przegrzał" konflikt, jest prawdopodobny?

Myślę, że przekazanie informacji mogło mieć charakter bardziej techniczny, było na tym drugim, trzecim poziomie tej relacji. Natomiast Putin miał tak silną pozycję w Rosji, że z oporem czy sceptycyzmem wobec tej inwazji nie musiał się liczyć. I nadal nie musi, proszę zwrócić uwagę, wytrzymał już ponad rok i wciąż trzyma pod butem społeczeństwo, na czele którego stoją bez zmian skonsolidowane prokremlowskie elity. Takie poparcie dla prezydenta uniemożliwia prowadzenie gry w łonie grup władzy. Bardziej niż Chruszczowa przypomina to raczej Stalina, przy którym głównym celem poszczególnych kacyków było nie realizowanie takiej czy innej polityki, lecz po prostu przetrwanie, które realizowało się poprzez posłuszeństwo i poparcie dla wodza. Na szczęście Rosja nie jest już takim państwem jak tamten Związek Sowiecki.

▶ Kreml się przeliczył, szacując swoje przewagi nad Ukrainą?

Rosjanie doskonale wiedzieli, że skala poparcia Zachodu może być ogromna, że armia Zełenskiego to już nie jest zbieranina jak z czasów Wiktora Janukowycza, zatem wielu rosyjskich ekspertów ostrzegało przed zaangażowaniem w taką wojnę. A jednak Putin zrobił odwrotnie, choć przestrzegano go przed tym nawet w oficjalnych materiałach. Oczywiście w tej wojnie widzimy cały szereg innych patologii społecznych Rosji, z których wynikają zbrodnie, zaangażowanie w konflikt i poparcie dla prezydenta, ale ten pierwszy impuls należał jednak samodzielnie do jednego człowieka na Kremlu.

▶ Czyli carobójstwa nie będzie.

Jeśli spojrzymy na kluczowe sukcesy Putina w ostatnich 20 latach: stabilizacja ekonomiczna i polityczna, wzmocnienie na arenie międzynarodowej, prowadzenie twardej gry, to ludzie widzą, że ich lider dotrzymywał słowa. Myślą więc: może i teraz dotrzyma? I kiedy my rozmawiamy o upadku Rosji czy rozbiciu Rosji, to na tę chwilę Rosja okupuje zdobyte przez siebie terytoria. Kreml obiecuje, że Morze Azowskie znów sanie się wewnętrznym, czyli nawiązuje do początków panowania cara Piotra I, który też zaczął urzędowanie od konkretnych podbojów, tak jak Putin podbija dla imperium. Abchazja, Osetia, Górski Karabach, kontrola nad Białorusią, Krym, Donbas i korytarz do Krymu oraz ustabilizowanie frontu. I oto kiedy my patrzymy na różne słabości Rosji, to większość Rosjan widzi to zupełnie inaczej – widzą wzmocnienie swojego kraju, poszerzenie wpływów, zwiększenie terytoriów.

▶ A nie widzą klęsk wojskowych, fiaska kolejnych ofensyw, olbrzymich strat?

Obawiam się, że jeśli front się zatrzyma, to Moskwa ma wszelkie argumenty, by przedstawić to swoim ludziom jako olbrzymi sukces, zwłaszcza gdy w oficjalnej narracji ta wojna nie toczy się z Ukrainą, lecz z całym Zachodem. Nie daj Boże przekonać się, co to oznaczałoby dla najbliższej przyszłości naszego regionu.

▶ Ale przecież istnieje scenariusz pogłębionego kryzysu w Rosji, z rozpadem federacji włącznie, w której niektóre republiki przejawiają – może niewielkie, ale jednak oparte na historycznej tożsamości – tendencje odśrodkowe, nawet niepodległościowe.

I tutaj nie byłbym takim optymistą. Po 1991 roku przeżyli taką traumę, że zostali zdezorientowani na lata. Ci, którzy identyfikowali się z tożsamością rosyjską, często nie potrafili nawet wskazać swoich granic, skoro tylu rodaków zostało poza granicami Federacji Rosyjskiej. Putin to doskonale zrozumiał i wykorzystał. Za pomocą technologii cyfrowych, centralizacji administracji, służb spe-

eprasa.pl 42e06210b5

cjalnych i konsekwentnych represji Rosjanie nauczyli się skutecznie konsolidować swoje regiony. Internet to dobre narzędzie dla wychowania narodowego szowinisty. Technologie informacyjne pomagają umocnić tę imperialną kulturę i oddziaływać na społeczeństwo rozrzucone po tak olbrzymim terenie jak ziemie rosyjskie. Mamy więc pewną formę autorytaryzmu lub nawet elementy dyktatury cyfrowej. Budowanej na strachu, że lata 30. XX wieku, czyli tzw. wielkie czystki, mogą wrócić w nowym wydaniu. Tego ostatniego obawia się wielu, a Kreml umiejętnie zarządza tym wielkim strachem.

▶ A jednak separatyzmy istnieją.

To zależy, jak rozumiemy „separatyzmy". Część regionów co najwyżej chce normalnej federalizacji, może w Czeczenii czy Dagestanie te tendencje są silniejsze, ale nadal daleko tutaj do koncepcji rozpadu. Takiego scenariusza boją się także liberałowie rosyjscy, bo dla nich taki rozpad oznacza fiasko marzeń o ekonomicznym prosperity takiego dużego organizmu państwowego. W tym sensie straszenie rozpadem Rosji okazuje się więc korzystne dla Putina, który jawi się jako obrońca przed takim scenariuszem, strasząc narracją w stylu: „Patrzcie, grozi nam kolejny rozpad, kolejna interwencja". Pamiętajmy też, że imperium to przede wszystkim sztuka zarządzania przestrzenią. I Rosjanie byli w tym zakresie w swojej historii nie najgorsi.

▶ Interwencja? Chodzi o „kolorowe rewolucje", w których Kreml widzi nie oddolne dążenie do demokratyzacji, lecz spiski Ameryki?

Właśnie to jest coś jeszcze głębszego. Pokolenia ludzi radzieckich były kształcone na tezie, że od początku ZSRS wisiało nad ich krajem ryzyko interwencji. A to USA, a to Japonia, a to Niemcy chciały ich napaść i urządzić ich od środka. Straszył tym Stalin, teraz straszy tym Putin.

▶ W tym kontekście nawet takie głupstwa jak fake news o „polskich najemniczkach" walczących o ukraiński Chersoń nie wydają się tak bardzo pozbawione sensu. Czy Nawalny jest planem B?

Oczywiście wszystko może być dla części służb planem B. Myślę jednak, że Nawalny jest już postacią na tyle samodzielną, że już stał się symbolem. Jest naprawdę dobrze pilnowany w więzieniu. A rosyjskie służby nie są monolitem.

▶ A jego tweety, aktywność w mediach społecznościowych?

W jakiś sposób obsługują to jego pracownicy, z którymi faktycznie musi mieć jakiś kontakt. Jednak Putin rządzi twardą ręką i jego pozycja na razie nie wydaje się zagrożona. Prezydent podkreśla swoje sukcesy, sprzedaje surowce, częściowo modernizuje kraj. Jeśli osiągnie maksimum swoich możliwości, to w przyszłości będzie trzeba komuś oddać władzę i tutaj dla części elit taki Nawalny może być dobrą opcją – jednak jest to przyszłość dalsza, niż wielu komentatorów sądzi.

POKOLENIA LUDZI RADZIECKICH BYŁY KSZTAŁCONE NA TEZIE, ŻE OD POCZĄTKU ZSRS WISIAŁO NAD ICH KRAJEM RYZYKO INTERWENCJI. A TO USA, A TO JAPONIA, A TO NIEMCY CHCIAŁY ICH NAPAŚĆ I URZĄDZIĆ ICH OD ŚRODKA. STRASZYŁ TYM STALIN, TERAZ STRASZY TYM PUTIN.

▶ Czyli jest w tym jakaś przynajmniej minimalna akceptacja Putina?

Raczej nie, to bardziej scenariusz na wypadek śmierci Putina. Putin ma naprawdę bardzo silną osobowość. Ostatnio mówił o tym na przykład Aleksiej Wienediktow, który ma dobre kontakty z dyplomatami i politykami Zachodu, a jednocześnie określone więzi z Kremlem. Może być też łącznikiem Moskwy z Europą. I on przekonywał, że Putin nigdy nie zdradzał nikomu swoich planów, również dotyczących sukcesji. Przy czym wojna teraz wszystko zmieniła także na niekorzyść opozycjonisty – może teraz będzie potrzebny właśnie inny typ polityka, bardziej agresywnego i szowinistycznego niż obecnie kojarzony z europejskim i liberalnym wizerunkiem Nawalny?

eprasa.pl 42e06210b5

Agresywny jak Miedwiediew?

On zawsze był dla mnie postacią bezbarwną. Mam taki mały sukces analityczny, bo jak Putin zmienił premiera z Miedwiediewa na Michaiła Miszustina, to mówiłem na antenie Polskiego Radia, że być może Putin ma teraz swojego Siergieja Witte. I okazuje się, że Miszustin to dobry technokrata, który scyfryzował administrację i teraz całkiem skutecznie przygotowuje kraj na odpieranie kolejnych sankcji Zachodu. A ostre tyrady antyzachodnie Miedwiediewa są prawdopodobnie próbą zebrania wokół siebie jakiegoś środowiska zwolenników, nacjonalistycznych fanatyków, bo łatwiej jest pogrozić światu, niż dobrze zarządzać krajem. Jeśli więc dojdzie do jakiejś zapaści w kraju, to będzie miał on wokół siebie jastrzębie, zatem to zagranie jest całkiem mądre z punktu widzenia polityczno-technologicznego. Być może ktoś ze służb lub otoczenia Putina mądrze nad tym pracuje.

wiają się pytania: co dalej. Nad tym wszystkim unosi się przekonanie, że może się udać projekt maksymalnego ograniczenia wolności politycznej na wszystkich poziomach, o ile ten poziom bytowania nie będzie najgorszy.

Brzmi jak model chiński.

Kreml zdaje sobie sprawę, że gdy tak wiele rzeczy idzie w złą stronę, to tworzy się podłoże rewolucyjne. Wydanie tego raportu jest też formą wywarcia presji, by najwyższe władze się z nim zapoznały. Autorzy zdają się wołać do Kremla: zobaczcie, musicie zwiększyć efektywność w sferze socjalnej, usługowej, gospodarczej i edukacyjnej. To ma być warunek, po którego spełnieniu Rosjanie zapomną o całej opozycji i w rozbudzonych nastrojach imperialnych i mocarstwowych dalej będą popierać Putina. Zatem patrzmy na Rosję w jej złożoności, państwo jest w jednym aspektach mocne, a w innych się chwieje i może się przewrócić.

MOIM ZDANIEM ROSJA JEST GOTOWA POŁOŻYĆ TRUPEM NAWET 400 TYS. SWOICH ŻOŁNIERZY, BYLE UTRZYMAĆ LINIĘ FRONTU I ODTRĄBIĆ SUKCES. TO ZADANIE, OBOK UTRZYMANIA WŁADZY, JEST TERAZ NAJWAŻNIEJSZE DLA KREMLA.

Nasza rozmowa trochę zmierza do tego, że Rosjanie są na wszystko gotowi i nie da się ich pokonać.

Po prostu uważam, że Rosji nie należy lekceważyć. Niedawno MGIMO i Uniwersytet Finansowy wydały socjologiczny raport o sytuacji w Rosji. Jako że zostało to sfinansowane przez administrację prezydenta FR, to zapewne jedynie jego część została opublikowana. Raport jest krytyczny, stwierdza, że co prawda udało się zmodernizować Moskwę czy Petersburg, czyli wielkie stolice, ale w regionach nie udało się zatrzymać młodych ludzi: nie rozwija się tam infrastruktura drogowa, szkolna czy brakuje możliwości rozwoju zawodowego. Urzędnicy łamią prawo, efektywność administracji usługowej spada, stabilność życiowa jest na minimalnym poziomie. Co prawda nadal istnieją transfery socjalne, ale nie zaspokajają już potrzeb obywateli. Władze zdają sobie sprawę, że społeczeństwu brakuje bodźców do rozwoju, więc poja-

Tylko że w Rosji nie ma fundamentów dla zmiany, nie ma jej na czym zbudować. Przy braku wolności politycznej i przy braku modelu konsensualnego czy też skromnych doświadczeń demokratycznego patriotyzmu obywatelskiego, tam nie ma co wyrosnąć. Porównajmy to z Polską. U nas funkcjonują samorządy (gminy, powiaty, województwa), oddolne inicjatywy, NGO-sy, wolność słowa. Gdy pojawiło się wyzwanie pomocy dla milionów Ukraińców, to wspólnoty lokalne pokazały bardzo zdrowy model – swobodny i demokratyczny – i to przyjęcie uchodźców udźwignęliśmy. W Rosji ten model jest odwrotny, wszystko załatwia się odgórnie. I oto pojawia się pytanie, znane na Kremlu, czy jeśli w budżecie zabraknie pieniędzy, nastąpi załamanie gospodarcze i pojawi się jakaś iskra zapalna, to czy to wszystko nie będzie wysadzone w powietrze, czy nie dojdzie do rewolucji lub wojny domowej? Ten temat nie jest nowością dla rosyjskich elit, które mają przerobione zagadnienia rewolucji lutowej, upadku caratu,

eprasa.pl 42e06210b5

Kiereńskiego i innych. To między innymi dlatego w czasie obecnej wojny nie ma kompensacji poborowych w wielkich miastach.

▶ Prowincję jest łatwiej wydrenować niż metropolie, które mogą zaludnić ulice protestami.

To jest przemyślana taktyka wobec regionów, których ludność ma przy okazji szansę awansu społecznego poprzez otrzymanie żywej gotówki za służbę w armii. Kreml boi się „człowieka z rużjem", czyli „człowieka z bronią", który wyjdzie i zajmie budynki administracji na podobieństwo rewolucji lutowej czy Leninowskiego przewrotu z jesieni 1917 roku.

▶ Jednak przytoczmy tutaj konstatacje Zachara Prilepina w jego sztandarowej nacbolszewickiej powieści „Sańkja", gdzie jednak w przypadku szturmu władze składają się jak domek z kart, a buntownik widzi wyraźnie, że „to państwo jest na niby", że tam nic nie działa właściwie.

Nie do końca się z tym zgadzam. Czym innym jest państwo, a czym innym grupy sprawujące władzę. Może się zdarzyć tak, że w jednym państwie do władzy dojdzie grupa bandytów, ale to nie znaczy, że państwo nie działa, a jedynie że działa metodami bandyckimi.

▶ Ale gdy bandyci przegrywają, to tracą legitymizację władzy.

Tylko na razie przegrana jest w stadium zapowiedzi. Nam, Polakom, trudno to zrozumieć, bo w historii zostaliśmy wielokrotnie zmiażdżeni przez Rosję – rozbiory, wrzesień 1939 roku czy Jałta 1945 roku wciąż są naszą polityczną perspektywą. Tymczasem Rosjanie patrzą na swój kraj inaczej – ekspansja może kończyć się zwycięstwem, a może skończyć się na przykład zatrzymywaniem tylko części zdobyczy, więc ta perspektywa imperialna nie jest tak zero-jedynkowa. Rosja pod pewnymi względami działa bardzo sprawnie, tylko o tym się u nas nie mówi. Zarządzanie terytorium jest skuteczne, a na przykład elektroniczne systemy celne czy podatkowe były w pewnym okresie nowocześniejsze niż te w krajach UE, o czym przekonałem się w rozmowach z przedstawicielami biznesu, który przed 24 lutego handlował z Rosją. Owszem, w armii była wielka korupcja, która osłabiła zdolności militarne, ale Zachód ze swoją doktryną wojen ekspedycyjnych też nie jest przygotowany do prowadzenia szerszych działań wojskowych.

▶ Jak Rosja sobie poradzi z degradacją własnej pozycji w stosunkach z Chinami? Moskwa jako wasal – to zjawisko nieznane od połowy tysiąclecia.

Teraz, gdy trwa wojna, rosyjskie elity wykazują się swoim zwyczajnym syndromem, w którym próbują przede wszystkim przetrwać. Oligarchowie zabezpieczają majątki, obliczają, jak zrekompensować swoje straty, zdobywając na przykład kontrakty na produkcję pocisków czy odbudowę budynków w Mariupolu. W dalszej perspektywie te same elity myślą, jak tę wojnę dalej prowadzić, jak ona może wpłynąć na Putina. Problem chiński jest na tak dalekim planie, że w tej chwili jest nieco bezprzedmiotowe podnoszenie tego tematu.

▶ Wszystko dla frontu?

Moim zdaniem Rosja jest gotowa położyć trupem nawet 400 tys. swoich żołnierzy, byle utrzymać tę linię frontu i odtrąbić sukces. To zadanie, obok utrzymania władzy, jest teraz najważniejsze dla Kremla.

Polski rząd prowadzi mądrą politykę utrzymując kontakty z Rosją na pewnym poziomie. W Warszawie nadal funkcjonuje ambasada, tak jak to bywało w państwach Zachodu w dobie „zimnej wojny". Bo to być może jest druga „zimna wojna". Być może trzeba będzie wytrwać i doczekać do upadku przeciwnika. I tak mamy łatwiej niż taka Gruzja, Armenia czy Azerbejdżan, których położenie jest znacznie gorsze: nad nimi też wisi rosyjskie zagrożenie, ale nie należą one do międzynarodowych struktur zapewniających jakieś zewnętrzne wsparcie. Są też znacznie mniejsze. I w ten sposób Baku pełni ważną funkcję pośrednika w sprzedaży rosyjskich surowców, co potwierdziła niedawna wizyta Ławrowa w tej stolicy.

Mamy też kraje arabskie czy Afrykę, gdzie Rosja jest bardzo aktywna i dyplomaci z Kremla są tam uznawani. Nawet więc małe państwa w tym przeciąganiu liny między Wschodem a Zachodem są bardzo ważne, co widać na przykładzie niewielkich, ale aktywnych w gremiach międzynarodowych Węgier. Nie mówiąc o Turcji, która w stosunku do Rosji prowadzi dość niejednoznaczną politykę.

▶ Mogą one zabierać głos na szerszym forum i stępiać antyrosyjska retorykę.

Ale też zapewniają szereg „drobiazgów", które poprawiają sytuację Putina. Gdy przeciętny Rosja-

eprasa.pl 42e06210b5

nin idzie do sklepu i widzi, że na półkach są normalne szampony, szczoteczki do zębów, telefony – a to sprowadzane jest za pomocą z pozoru nieistotnych sojuszników – to zachowuje przekonanie, że kraj się dobrze trzyma. Ten system sprowadzania towarów może się oczywiście zawalić, ale na razie się sprawdza. To nie jest tak, że Rosjanie się pogubili i nie wiedzą co robią, że nie mają dróg wyjścia i swobody ruchów.

▶ Zatem Putin jest modernizatorem i skutecznym wodzem czy przyczyną odizolowania kraju od cywilizowanego świata?

To też jest niesamowity paradoks Putina. Te kontakty Rosji z Zachodem nie tylko zwiększyły poziom konsumpcjonizmu obywateli, co jest dziś trudne do zaspokojenia, lecz także nauczyły ich wielu spraw związanych z pracą i zarządzaniem. Prowadzenie mikroprzedsiębiorstw Rosjanom się udało. W razie pojawiania się sankcji na nowe towary oni jednak dość szybko zastępują je swoimi. Pamiętam, że po sankcjach z 2014 roku zwykłego chleba szukałem w Rosji u Ormian i Gruzinów, ale naciski gospodarcze z zewnątrz sprawiły, że Rosjanie zaczęli inwestować we własną produkcję, co zaowocowało konkretnymi sukcesami. I teraz oni są eksporterem ziarna i niektórych płodów rolnych, co w Polsce nie odbiło się specjalnym echem.

Przy tym zaniedbywali niektóre rzeczy, na przykład oddają je Niemcom. 90 procent szczepionek w rosyjskiej sferze weterynaryjnej czy innych medykamentów tej branży była sprowadzana z Niemiec albo przez Niemców produkowana na miejscu. Wkrótce pewnie zobaczymy, jak sobie Rosjanie poradzili z nowymi sankcjami, które odcięły im niemieckie źródełko.

▶ Młodzi Rosjanie zdają się popierać Putina, choć nie mają sentymentu postsowieckiego.

We wspomnianym raporcie MGIMO jest napisane, że osoby przed 30. rokiem życia zareagowały gorzej na odcinanie ich kraju od świata. Brak Netfliksa czy Instagrama poruszył ich stylem życia. Oczywiście te ograniczenia internetowe są nieszczelne, bo nadal wielu Rosjan korzysta z Facebooka, ale w poważniejszych sprawach, takich jak dostęp do cyfrowych bibliotek na Zachodzie, ambitniejsi obywatele mają już problem. W tej generacji leży więc pewien potencjał wybuchowy, jeśli ten głód nawyków konsumpcyjnych nie zostanie zaspokojony.

Choć też nie można skutków tych sankcji wyolbrzymiać – pomimo tego, że urlop we Włoszech jest już utrudniony, to jednak Rosjanin może śmiało skorzystać z turystycznych ofert Turcji, Tajlandii, czy Egiptu – to żaden problem. Tam też można kupić telefon czy inną elektronikę.

▶ Ale z drugiej strony wraz z ogłoszeniem mobilizacji z kraju Putina wypłynęła fala mężczyzn, chcących uniknąć wojska.

Emigracja spełniła dwie funkcje. Z jednej strony to dobrze, że ci Rosjanie wyjechali, bo na miejscu i tak by nic nie wywalczyli. Z drugiej strony pełnią też rolę finansowego wsparcia dla swoich krewnych, którzy pozostali w kraju, a część z nich założyła firmy pośredniczące w handlu z Rosją. Ostatnio Kreml zrugał swoich retorycznych „jastrzębi" za postulat odebrania majątku i obywatelstwa takim emigrantom – to znaczy, że oni spełniają dla Moskwy ważną rolę. A jeśli konflikt będzie się przedłużał, to część może też wrócić do Rosji. I znów włączyć się w życie gospodarcze. Wbrew opinii szaleńca Putin lubi kalkulować i sprawdzać informacje, i choć w przypadku Ukrainy zadziałały mity, uprzedzenia i emocje, to jednak w perspektywie ponad dwóch dekad jego rządów widać, że ma chłodny osąd większości sytuacji. Jego polityka jest bardziej przemyślana, niż nam się wydaje.

▶ Zatem jaki byłby najczarniejszy scenariusz dla Polski?

Najczarniejszym scenariuszem dla Polski może być utrzymanie się Putina u władzy. Taka stabilizacja pozwoli przygotować sukcesję i utrwalić ten kurs polityki zagranicznej, który zagraża także Polsce. Kreml jako sukces przedstawi nawet minimalne zyski terytorialne. Stabilizacja ekonomiczna (w tym na przykład zmiękczenie sankcji Zachodu), współpraca z państwami neutralnymi lub dystansującymi się od Zachodu, jak Iran, Chiny, Indie, Brazylia, i jakaś agresywna postawa wobec Białorusi, może jej zajęcie z powodu sprowokowanych wydarzeń, byłyby dla nas ogromnym problemem. Obawiam się, że za tym szłoby dalsze zmiękczanie granic NATO i rozbicie UE. Choć Stany Zjednoczone nie chcą na to pozwolić i ich aktualna wojenna polityka jest dla nas bardzo dobra, bo rosyjskie elity rozumieją jedynie język siły, ale przyszłość jest bardzo, bardzo czarna. Putin umie prowadzić politykę bardzo ryzykowną, na co politycy krajów demokratycznych nie zawsze są gotowi. Żyjemy w czasach naprawdę bardzo nieokreślonych. ■

eprasa.pl 42e06210b5

Małgorzata Matuszak

Pokolenie płatków śniegu

Około 2010 roku „płatkami śniegu" zaczęto powszechnie nazywać młodych ludzi z generacji Z, czyli osoby urodzone po 1995 roku do mniej więcej 2012 roku. Są przekonanymi o swej wyjątkowości indywidualistami, skoncentrowanymi na sobie i swoich potrzebach. Jednocześnie nadmiernie wrażliwi, także na swoim punkcie, nieodporni na stres i mało samodzielni. Niektórzy dokonują krytycznego odniesienia do tego pokolenia z perspektywy wcześniejszych wzorów postępowania, uważając je za egocentryczne i nieprzystosowane do wielu standardów życia społecznego oraz zawodowego.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 42e06210b5

Pokolenie jest podziałem społeczeństwa ze względu na wyznaczające pewne cechy różnice wiekowe. Jest wyróżniane przez nauki społeczne i humanistyczne ze względu na wspólnotę doświadczeń pokoleniowych wynikających z warunków życia oraz przemian historycznych i społecznych. Te doświadczenia pokoleniowe generują zespół cech i tendencji w zachowaniu charakterystycznych dla danego pokolenia, które je specyfikują, odróżniając od tego, co było wcześniej. Mimo że podział na generacje jest dość schematyczny i nieostry, gdyż nie zawsze można mówić o znaczących różnicach między pokoleniami, to umożliwia rozumienie pewnych skłonności do określonego sposobu myślenia, odczuwania oraz zachowania przedstawicieli danej generacji. Czym zaś charakteryzuje się pokolenie dzisiejsze?

Pokoleniowe wyliczanki

W maju 2021 roku Philip Cohen, socjolog z Uniwersytetu w Maryland, napisał list otwarty do Pew Research, słynnego ośrodka zajmującego się badaniami trendów społecznych na świecie, wzywający do zaprzestania powszechnego stosowania etykiet pokoleniowych. Pod listem podpisało się blisko 200 naukowców. Według Cohena, promowany podział na generacje nie ma podstaw naukowych, a wszystkie kategorie (z wyjątkiem „baby boomers") zostały wymyślone na potrzeby marketingowców i konsultantów i są wyłącznie faktem medialnym, który łatwo się rozprzestrzenia w przestrzeni publicznej, ale wyrządza wiele szkód – wzmacnia proste stereotypy, promuje pseudonaukę, a także utrudnia zrozumienie prawdziwych, ważnych zjawisk społecznych. Odpowiadając na zarzuty Cohena, Pew Research przyznało, że ograniczenia analizy pokoleniowej są w istocie widoczne, ale równocześnie stanowią bardzo przydatne narzędzie, zachęcając jego i innych badaczy do dalszej analizy zasadności podziałów pokoleniowych.

Oczywiście przesadne generalizowanie zawsze bardzo spłyca problem, w szczególności wtedy, gdy chcemy przypisywać pewne cechy wszystkim ludziom z racji ich przynależności do określonej generacji, której dodatkowo ramy czasowe zostały narzucone w arbitralny sposób. Z drugiej jednak strony sami czujemy i dostrzegamy to, że osoby, które wychowały się w odmiennych okolicznościach społecznych, kulturowych i historycznych, mają inne podejście do życia, inną wizję rozwiązywania problemów w obrębie doświadczeń życiowych. Oczywiste wydaje się to, że w takich warunkach osoby pochodzące z różnych pokoleń mogą mieć inny sposób myślenia, a ich inny punkt widzenia warunkuje odmienną interpretację zdarzeń i inne doznania. Tym bardziej jest to widoczne w Polsce, która na przestrzeni powojennych lat zmieniła się bardzo, i to pod wieloma względami.

Zaraz po wojnie (lata 1946–1964) pojawiło się pokolenie BB, a więc „baby boom", zwane też „boomersami". W latach 1966–1977 (bądź 1961–1980) – pokolenie X, nazywane także pokoleniem PRL, gdyż ten ustrój właśnie i obecny w nim system kształcenia miały wpływ na ukształtowanie zachowań i hierarchię wartości tej generacji. Urodzeni w latach 1978 (1981) – 1995 to pokolenie Y („Millenialsi"), wchodzące w dorosłość, kiedy dopiero co ukształtował się świat potransformacyjny z całym jego dobrodziejstwem. Wreszcie – pokolenie Z, czyli osoby urodzone po 1995 roku do mniej więcej 2012 roku. Niektórzy dokonują krytycznego odniesienia do tego pokolenia z perspektywy wcześniejszych wzorów postępowania, uważając je za egocentryczne i nieprzystosowane do wielu standardów życia społecznego oraz zawodowego.

Określeniowa mozaika

Dla lepszej charakterystyki współczesnych młodych ludzi opisuje się ich za pomocą różnych określeń. Litera „Z" przypadła im z racji kolejności liter w alfabecie – po wcześniejszych generacjach X i Y przyszła kolej na Z. Literę Z tłumaczy się jednak też w inny sposób – Z jak... zombi, porównując do ćmy, która lgnie do światła monitora ekranu komputera. Nazywa się ich także „pokoleniem dobrobytu", pokoleniem C – od angielskiego słów „connect, communicate, change", pokoleniem „Yummies" (Youg Urban Men), czyli pokoleniem wydającym pieniądze rodziców, bądź „Henry" (High Earner Not Rich Yet) – pokoleniem, które ceni sobie wystawne życie i zaciąga na ten cel kredyty. Często nazywa się ich także „pokoleniem płatków śniegu".

„Nie jesteś wyjątkowy. Nie jesteś pięknym i unikalnym płatkiem śniegu" – mówi bohater powieści „Fight Club" amerykańskiego pisarza Chucka Palahniuka, która ukazała się w 1996 roku. W nawiązaniu do tego cytatu, około 2010 roku „płatkami śniegu" zaczęto powszechnie nazywać młodych ludzi z generacji Z, którzy postrzegają siebie jako jedynych w swoim rodzaju. Są przekonanymi o swej wyjątkowości indywidualistami, skoncentrowanymi na sobie i swoich potrzebach. Jednocześnie nadmiernie wrażliwi, także na swoim punkcie, nieodporni na stres i mało samodzielni. Termin „snowflakes" stał się na tyle popularny, że w 2016 roku został uznany przez prestiżowe brytyjskie wydawnictwo Collins English Dictionary za jedno ze słów roku.

Najtrudniejsze dla „śnieżynek" jest zderzenie się z rzeczywistością, z prawdziwym obliczem świata. Często nie są na to przygotowane. Nie znoszą kryty-

eprasa.pl 42e06210b5

ki, łatwo je urazić, zestresować i wyprowadzić z równowagi. Wykazują również tendencję do dramatyzowania i stawiania siebie w roli ofiary, obwiniając innych za swoje niepowodzenia. Winą za to obarcza się wychowanie przez „helikopterowych", czyli nadmiernie opiekuńczych rodziców, którzy poprzez „trzymanie pod kloszem", zbytnie wyręczanie, nieustanne chwalenie czy unikanie krytyki powodują nierealne wymagania młodych ludzi wobec świata i ich problemy w przyszłości. Wielkimi winowajcami są również media społecznościowe, które budują w młodych ludziach nieadekwatne przekonania na własny temat i wypaczają poczucie ich własnej wartości, zaniżając bądź zawyżając samoocenę.

Sytuacji nie poprawia fakt, że pokolenie to cechuje niechęć do autorytetów i nastawienie na wartości, które podlegają negocjacji oraz są czysto umowne w danej społeczności, nie zaś ustalone i trwałe. Trudno zostać dla „płatków śniegu" autorytetem, gdyż nadmiernie porównują się do wirtualnych wzorców. Trudno im zaimponować, wykazują bowiem silną tendencję do sprawdzania faktów i podważania wszystkiego, co zostało zasłyszane.

Cechy „śnieżynek"

Pokolenie Z cechuje w przeciwieństwie do wcześniejszych generacji całkowite zanurzenie w nowoczesnych technologiach, gdyż całe ich życie przebiegało w rzeczywistości zdominowanej przez cyfrowy świat. Dlatego pokolenie to wykształciło specjalną łatwość do poruszania się na granicy świata realnego i cyfrowego. Cechuje je zdolność do łatwego odnajdywania się w świecie prostym i oferującym szybkie, łatwe rozwiązania. Jednocześnie sytuacje bardzo złożone i wymagające rozwiązywania złożonych konfliktów jest dla niego trudne, gdyż obcowanie ze światem społeczności internetowych i wirtualnymi modelami rzeczywistości przyzwyczaiło do prostych, szybkich i intuicyjnych rozwiązań skupionych na natychmiastowych efektach.

Pokolenie to otwarte jest na technologiczne rozwiązania, nie ma problemu z przyswajaniem sobie nowych rozwiązań z zakresu techniki, nastawione jest na rozwój, pozytywną atmosferę, dobre relacje społeczne, również online, oraz na bezpośrednią gratyfikację swoich wysiłków i działań. Jest to również generacja, która nie przejawia w przeciwieństwie do poprzednich takiego nacisku na stałość miejsca pracy oraz nie jest w równym stopniu zdeterminowana, aby wytrwać w pracy za wszelką cenę. Mimo że jest to pokolenie, które wzrastało w atmosferze późnego kapitalizmu i jest nastawione na dobrobyt, nie stawia go ponad relacje społeczne, rozwój i satysfakcję życiową. Nie przejawia ono kultu pracy, ale traktuje ją jako środek, a nie cel sam w sobie. To instrumentalne traktowanie pracy przejawia się w małym przywiązaniu do miejsca pracy, sprecyzowanymi oczekiwaniami finansowymi oraz dużą pewnością siebie, za którą idzie z reguły istniejące już zaplecze materialne zapewnione przez pokolenia wcześniejsze.

Wydaje się, że nastawienie na negocjację dotyczącą świata wartości, rozwój osobisty, duże docenianie komunikacji społecznej oraz ważności bycia w społeczności online i realnej w dobrej atmosferze czyni to pokolenie szczególnie wyczulonym na zdolność odnajdywania się w grupie. Dlatego też badacze społeczeństwa przyjmują, że jest to pokolenie głównie zorientowane społecznie („socially-oriented"). Jednocześnie „śnieżynki" chcą, aby rozwój był szybki i prosty, nie są bowiem odporne na trud i frustrację związaną z powolnym i żmudnym pozyskiwaniem wiedzy. Cenią sobie rozwiązania jednocześnie kreatywne i proste. Problemy wymagające złożonych analiz oraz brania pod uwagę różnych czynników zdecydowanie je przerastają. Mimo to świetnie radzą sobie w świecie IT, e-commerce czy analiz danych internetowych. Jednocześnie nastawione są na hedonistyczny tryb życia. Korzystanie z niego. Ma to swój pozytywny wymiar w postaci potrzeby rozwoju, również kulturalnego czy potrzebie poznawania świata – licznych podróżach po świecie, gdyż różnice kulturowe i społeczne nie mają dla nich dużego znaczenia.

Nadchodzą kolejne pokolenia

Pokolenie Z cechuje we wszystkim dążenie do równowagi życiowej, co jest zjawiskiem pozytywnym, jednak można uznać, że niektóre z jego oczekiwań życiowych i zawodowych są mało realistyczne, a połączone z dużą pewnością siebie i roszczeniowym podejściem do życia mogą świadczyć o pewnej arogancji i nieuznawaniu ograniczeń, które narzuca rzeczywistość. Dlatego niektóre cechy „zetek" mogą wydawać się niezrozumiałe i są postrzegane krytycznie przez pokolenia wcześniejsze. Czy jednak pokolenie trzeba oceniać negatywnie? Z pewnością nie. Należy pamiętać również o tym, że kiedy mówimy o „złych cechach" pokolenia, to tak naprawdę nie krytykujemy tylko jego pokolenia, lecz także to starsze, które to młodsze wychowało, a nawet więcej – kondycję świata, w którym żyjemy, moment historii, w którym młodzi ludzie się urodzili i który ich ukształtował w taki, a nie inny sposób. Co będzie dalej? Nadejdą nowe pokolenia. Już teraz mówi się o generacji Alpha, czyli grupie ludzi urodzonych po 2010 roku do – najprawdopodobniej – 2025 roku. Przed nimi kolejne wyzwania i problemy. ■

eprasa.pl 42e06210b5

KOBIETY POTRZEBUJĄ DZIŚ DZIEDZICTWA WIKTORII ULMY

Historia Ulmów zapisała się wielkimi zgłoskami miłości na każdym obszarze ich życia. W chwili egzekucji Wiktoria była w siódmym miesiącu ciąży, więc nienarodzone dziecko miało już w pełni ukształtowane wszystkie narządy, nadto rozpoczęło swoją drogę na świat. Niestety śmierć matki przerwała ten proces... Beatyfikacja nie w pełni narodzonego dziecka jest wyrazem szacunku Kościoła dla życia ludzkiego – z MARIĄ ELŻBIETĄ SZULIKOWSKĄ, autorką książki „Wiktoria Ulma. Opowieść o miłości", rozmawia SYLWIA KRASNODĘBSKA.

▶ Do tej pory wszystkie publikacje dotyczące rodziny Ulmów, po które sięgałam, skupiały się na dokumentacji bohaterstwa małżeństwa z Markowej, które pomagało Żydom, wiedząc, że grozi za to kara śmierci nie tylko im, lecz także ich dzieciom. Pani książka „Wiktoria Ulma. Opowieść o miłości" w głównej mierze jest opowieścią o kobiecości, którą cechuje wrażliwość i ofiarność. Opisuje, jakie dobro, piękno i jaką miłość rodzi na świecie właśnie kobieca wrażliwość i ofiarność. Nazwać to można słowami św. Jana Pawła II, które też Pani przytacza – „geniuszem kobiety". Chciała Pani napisać książkę o kobiecości, taki był cel?

Przyznaję rację, że często na rodzinę Ulmów patrzy się przez pryzmat ich decyzji o udzieleniu schronienia ośmiorgu Żydom. Ale zanim do tego aktu woli doszło, życie ich płynęło zwyczajną codziennością bogatą w radości i trudy, jakie niesie życie. Monolit rodziny nie wyodrębnia osobno roli męża i żony. Dużo mówi się i pisze o utalentowanym Józefie, jego zaangażowaniu społecznym i pasjach, a żona jest ukryta w czterech ścianach domu, zajęta dziećmi i posługiwaniem rodzinie. Tymczasem Wiktoria Ulma, bohaterka wspomnianej książki, jest kobietą-tajemnicą, która w miarę poznawania odsłania swoje walory, zwłaszcza te wewnętrzne, duchowe, bo dopiero wtedy można coś więcej i prawdziwiej powiedzieć o człowieku. Pisząc książkę o kandydatce na ołtarze – o kobiecie córce, siostrze, żonie, matce – mogłam śledzić jej życie, przemianę, dorastanie do zadań, jakie postawiła przed nią natura i łaska. Jak drogocenna perła ukryta jest w małżowinie, tak urzekające piękno Wiktorii kryje się w jej duszy. Ma ona dobre i wrażliwe serce, niesamowitą intuicję, emanuje ciepłem, które budzi zaufanie. Jej miłość jest czuła i delikatna, nie ma w niej jakiejkolwiek wyniosłości czy agresji; przeciwnie – daje się zauważyć jej osobistą godność, która implikuje szacunek... I tę prawdę o geniuszu mężnej niewiasty pokazują karty książki.

▶ Podczas lektury miałam nieodparte wrażenie, że to idealna książka dla kobiet, które uczestniczą w tzw. strajkach kobiet. Można by ją rozdawać na proaborcyjnych marszach. Jak Pani myśli, jakie przyniosłoby to efekty?

Bardzo pozytywne i dobre w kręgu kobiet zdolnych do myślenia i wartościowania, które niejako przypadkiem znalazły się na ulicy. Zaś co do innych... z przykrością stwierdzam, że lata propagandy antyludzkiej i antyrodzinnej mają swoje negatywne ko-

eprasa.pl 42e06210b5

notacje w myśleniu tej części społeczeństwa. Baza wartości i jakość ukształtowanego sumienia decydują o postrzeganiu rzeczywistości nawet w temacie ludzkiego życia. Nadzieja podpowiada, że nie można przekreślać szansy nawrócenia człowieka i tu mogą pojawić się dobre rezultaty lektury o pięknej postawie Wiktorii, jej umiłowaniu i szacunku dla życia.

▶ To odważne pytanie, ale zaryzykuję. Co Pani zdaniem Wiktoria Ulma – patronka kobiet, które utraciły dzieci przed urodzeniem – mogłaby powiedzieć dziś kobietom, które krzyczą: „Mój brzuch, moja sprawa"?

„Jakie życie, taka śmierć, nie dziwi nic" – słowa piosenki Edyty Geppert odsłaniają pewną logikę zależności czy współzależności między początkiem i końcem ciągu, który nazywamy życiem. Prawda jest taka, że życie ludzkie ma swój początek, ale nie ma końca, bez względu na to, czy ktoś wierzy czy nie. Najgłośniejszym i wulgarnym krzykiem tej prawdy nie da się zmienić! Na arenie świata po przejściu marszu zostaje człowiek okłamany, samotny, okaleczony i kaleczący innych. Żadna masówka w żałobnym kolorze nie ma wpływu na to, że człowiek poczyna się z miłości, żyje miłością na ziemi i dojrzewa do Królestwa miłości, pokoju, sprawiedliwości. Wiktoria słysząc te wulgarne hasła, bardzo by się zdumiała i zasmuciła, bo akceptowała inną kulturę życia. Co by powiedziała? Zamiast odpowiedzi proponuję wiersz: „Czy nikt nie uczył was"

Jako matka
wiem co to jest życie
nosiłam je pod sercem
czułam jak rośnie
i rozwija się we mnie
byłam jego ziemią
deszczem
rosą poranną
kołyską i schronieniem
chlebem powszednim i ukojeniem

nie mówcie mi
że dziecko przeszkadza
zagraża
odbiera wolność i czas
czy nikt nie uczył was
„że Bóg stał się człowiekiem
i w matce znalazł urodzajną ziemię"
zanim pojawił się w stajence

jako matka
wiem co to jest życie
szczęśliwie urodziłam sześcioro dzieci
kolejnego – nie zdążyłam...
śmierć
przyszła za wcześnie

▶ We wstępie Pani książki, autorstwa krewnego Wiktorii Ulmy, Mateusza Szpytmy, czytamy: „Ulmowie przypominają Polakom, Żydom, Niemcom, ale i całemu światu, o chrześcijańskim wymiarze miłości wobec potrzebujących". Dlaczego o chrześcijańskim, a nie jakimś bliżej nieokreślonym, uniwersalnym wymiarze dobroci ludzkiego serca?

Mnie wypada zaznaczyć, że ani Wiktorii, ani całej rodziny Ulmów nie da się zrozumieć bez odniesienia do wiary w Chrystusa i Ewangelii. Tam są wyznaczniki ludzkiego działania i normy ukazujące, jak wiara przekłada się na czyny. Pan Jezus powiedział: „ubogich zawsze mieć będziecie"; i tak jest przez wieki aż do dzisiaj. Inne słowa precyzują: „wszystko, cokolwiek uczyniliście jednemu z tych maluczkich, Mnieście uczynili". Ważkie są słowa o sądzie, gdy Jezus powie: „Pójdźcie błogosławieni i posiądźcie Królestwo zgotowane wam od założenia świata... bo byłem głodny, a daliście Mi jeść, byłem spragniony, a daliście Mi pić, byłem w podróży, a przyjęliście Mnie...". Jest również dobroczynność płynąca z egoizmu, promowania siebie, z litości, jest altruizm naturalny, ale to nie ma odniesienia do Boga, do miłości, która jest wypełnieniem prawa. Chrześcijański, bo wszystkie dobre czyny mają wartość nieprzemijającą, „Bóg odda każdemu według jego uczynków".

▶ Już 10 września rodzina Ulmów dołączy do grona błogosławionych. W decyzji Kościoła katolickiego uderza, że w poczet błogosławionych dołączone będzie nie w pełni narodzone dziecko Wiktorii i Józefa Ulmów. Dlaczego doceniono dziecko, które przecież żyło w łonie matki w nieświadomości toczących się zdarzeń? Jak Pani odczytuje tę decyzję?

W chwili egzekucji Wiktoria była w siódmym miesiącu ciąży, więc nienarodzone dziecko miało już w pełni ukształtowane wszystkie narządy, nadto rozpoczęło swoją drogę na świat. Niestety śmierć matki przerwała ten proces... Beatyfikacja nie w pełni narodzonego dziecka jest wyrazem szacunku Kościoła dla życia ludzkiego od poczęcia do naturalnej śmierci, a ta nie była naturalna. Zgodnie z katechizmową wiedzą, „chrzest jest pierwszym i najważniejszym sakramentem inicjacji chrześcijańskiej". Poza sakra-

eprasa.pl 42e06210b5

mentem chrztu – dla tych, którzy bez własnej winy nie poznali Chrystusa – funkcjonuje jeszcze chrzest pragnienia i chrzest krwi. Z całą pewnością Józef i Wiktoria pragnęli ochrzcić swoje siódme dziecko, jak ochrzcili poprzednie, lecz wcześniej przyszła śmierć i nienarodzone dziecko zginęło na równi z rodziną. Wolno mieć nadzieję – jak w przypadku Świętych Młodzianków z Betlejem – że to dziecię otrzymało chrzest krwi jako nowe życie w Chrystusie.

▶ Małżonkowie z pewnością pragnęli ochrzcić dziecko, bo chrzcili wcześniejsze, i to dosłownie chwilę po narodzinach. Ulmowie uznani są za obrońców życia i patronów rodzin wielodzietnych. Wierzy Pani, że historia Ulmów naprawdę może być inspiracją i wzorcem do naśladowania w kwestii decyzji prokreacyjnych? W obliczu niżu demograficznego żadne zachęty – ani kościelne, ani socjalne państwa – nie działają...

Historia Ulmów zapisała się wielkimi zgłoskami miłości na każdym obszarze ich życia. Jako małżonkowie darzyli się wzajemną, piękną miłością, która połączyła ich na całe życie w sakramencie małżeństwa. Dziś młodzi lekceważą ślub kościelny i nie chcą swojej miłości powierzyć Bogu, by otrzymać sakramentalne błogosławieństwo jako łaskę stanu. Gdy się lepiej poznaje życie Ulmów, można się zdumiewać prawdą, jaką realizowali przez miłość, prawdę o szczęściu rodziny, o nowym życiu, o bogactwie daru, jakim jest owoc miłości, kwiat życia – dziecko. Demografia jest tylko obrazem jakości i kształtu miłości w ogóle, a małżeńskiej w szczególności. Rodzicielskie zobowiązanie niweczy wygodnictwo, egoizm, brak trwałości związków, zwyczajny hedonizm w miejsce miłości, która jest cierpliwa, łaskawa, nie szuka swego, nie ustaje, nie pamięta złego. Zdaje się być prawdą, że prokreacja to prosty wynik oceny życia jako najważniejszego daru – warunek *sine qua non* całej reszty egzystencji na tym świecie, a kto odrzuca element wiary, jakim jest wieczność, ten nie rozumie ani sensu, ani celu życia.

▶ Moje ulubione słowa z Pani książki to: „bogactwem prostych ludzi jest skromność". A historia, która najmocniej mną wstrząsnęła, to opis ciała Wiktorii Ulmy po śmierci, gdy podczas ponownego pochówku odkryto, że z jej ciała wystawała głowa dziecka i jego ramiona. Do dziś nie wiemy, kiedy i w jakich okolicznościach rozpoczął się poród. Czy Wiktoria Ulma poczuła przed śmiercią nadchodzące narodziny... A co Panią szczególnie chwyciło za serce podczas badania historii rodziny Ulmów? Co w Pani sercu odcisnęło się najmocniej?

Egzekucja z porodem w tle jest na tyle szokująca, że nie pozostawia żadnego dobrego śladu na niemieckich żandarmach, którzy beztrosko strzelali do brzemiennej kobiety, podczas gdy ona... w tej najtragiczniejszej chwili zaczęła rodzić! Ponieważ nie był to pierwszy poród, więc doskonale wiedziała, że Beniaminek – tak go nazwałam – dość pośpiesznie chce wyjść na świat. Okoliczności sprawiły, że nie mogła już nic zrobić, by ocalić życie niewinnemu. I – tak mi się zdaje – że dla Wiktorii-matki to był tragizm z niczym nieporównywalny, może tylko z agonią Pana Jezusa na krzyżu. Jedyne wyjście to modlitwa: Ojcze, w ręce Twoje oddaję ducha mego. Skonała razem z dzieckiem, którego nie dane jej było wziąć w ramiona...

Macierzyństwo jest wyjątkowym darem i przywilejem kobiety, która rozumie, czym jest życie! Wiktoria w sposób zaiste wyjątkowy i profetyczny pojmowała rolę żony i matki. Na licznych fotografiach, jakie zostały po Józefie, najczęściej widnieje rodzina. Zdjęcia, które pokazują Wiktorię jako mamę, uchwyciły ten bliżej nieokreślony, jaśniejący element szczęścia w oczach, gdy patrzy na dziecko, trzyma je na ręku, pochyla się, by obetrzeć łzy. Świadectwo kuzynki Stanisławy Kuźniar, która często odwiedzała dom Ulmów, jest tu bezcenne. O miłości Józefa do żony powiedziała: „jak on był za nią!". (Na jednym z archiwalnych zdjęć zobaczyłam to jego miłosno-radosne spojrzenie na Wiktorię.) Kuzynka lubiła się bawić z dziećmi Ulmów, ponieważ „były radosne, grzeczne i dobrze wychowane". Czy nie kryje się za tym wielka zasługa pracy i serca kochającej mamy, która zawsze była w domu?

Odkrywanie tajemnicy i piękna rodziny Ulmów od 2017 roku daje mi podstawę do stwierdzenia, że Boży zamysł stworzenia mężczyzny i kobiety, by uczynić z nich wspólnotę życia i miłości, był, jest i będzie dobry wbrew, a może na przekór przeciwnikom piękna i dobra. I chyba ten aspekt zachwyca najbardziej, że Józef i Wiktoria wpisali swoją piękną wspólnotę w Boży plan i na ścieżkach Ewangelii realizowali swoją trudną, ubogą, ale i radosną codzienność. Być może ten wzór jest dzisiaj mocno potrzebny światu, skoro ich droga na ołtarze właśnie teraz dobiega kresu. Mam nadzieję, że będą skutecznymi orędownikami życia i rodziny po drugiej stronie. ■

Książka „Wiktoria Ulma. Opowieść o miłości" dostępna na sklep.gazetapolska.pl i pod nr tel. 722111655.

eprasa.pl 42e06210b5

Ryszard Czarnecki

Karakałpakstan. Zapiski

Nazwa trochę jak z bajki dla dzieci albo z ludowej baśni. Jednak istnieje naprawdę. Jest autonomiczną republiką wchodzącą w skład Uzbekistanu. Mieszkańcy mają własny język oparty na tureckim i poczucie etnicznej odrębności. Turyści, którzy przylatują do największego pod względem ludności państwa postsowieckiej Azji, wolą udać się do legendarnych – i pięknych – Samarkandy, Buchary czy Chiwy. Do stolicy Karakałpacji (to polska nazwa) – Nukus – mało kto zagląda, choć mają przecież międzynarodowe lotnisko. Gdy na nim lądujemy, jedyną maszyną, którą widać, jest wojskowy helikopter. Godzina jest ta sama co w Uzbekistanie, a to oznacza, że mamy trzy godziny do przodu w porównaniu z Polską. Wita nas żołnierz z karabinem maszynowym przewieszonym przez ramię. Jego koledzy pilnują lotniska. W samolocie Uzbekistan Airways uczę się nazwy krainy, w której spędzę najbliższy czas: to proste – pierwsza część jest taka jak francuskie helikoptery, a druga jak Pakistan tylko bez literki „i"...

Ichni parlament nazywa się Jokargy Kenes, a tutejszy marszałek Amanbaj Orenbajew jak wszyscy przedstawiciele władzy w Uzbekistanie chwali prezydenta tego kraju Szawkata Mirzijojewa. Alfabet mają tu nasz, a wiele słów brzmi identycznie albo bardzo podobnie do polskich. Wynotowuję: pochta to poczta, ale są też: mebel, market, klinika, doktor, prokuratura, bank, salon, radar – pisane tak jak po polsku – oraz stomatologiya, avto, kanali –podobne i zrozumiałe. Rodak nieznający języków może poczuć się jak w Polsce. Sporo jest też napisów rosyjskich albo pochodzących z rosyjskiego, ale zapisanych naszym alfabetem np. morojenoe – lody, tyle że bez cyrylicy. Na budynku biurowym dostrzegam napis: „I love Nukus", przy czym zamiast „love" jest serce.

Przed jednoizbowym parlamentem stoi pomnik Berdaqa Qatgaboya – karakałpackiego poety i pisarza. W ichnim „sejmie" króluje już uzbecki prezydent, którego portrety są i przy wejściu, i w sali oficjalnych spotkań. Parlament liczy 65 posłów. Poprzedniego dnia była tu duża delegacja ambasadorów krajów Zachodu, w tym Polski. Uzbecki MSZ zorganizował im tę wyprawę, aby pokazać, że w Karakałpakstanie sytuacja jest stabilna i nie ma nawet śladu nastrojów, które spowodowały wielkie zamieszki w lipcu 2022 roku. Zachodnie media podawały wówczas szokujące liczby tysięcy zabitych, ale oficjalne dane podają 21 ofiar śmiertelnych. Nawet europarlament zabrał w tej sprawie głos.

Szef parlamentu mówi to samo, co słyszę od każdego ministra i wiceministra, którego spotykam w Taszkiencie: „od 6 lat są duże zmiany". Data nieprzypadkowa, bo to czas, w którym po 25 latach rządów prezydenta Isloma Karimowa władzę objął Murzijojew.

Widać jednak wyraźnie, że to nie Orenbajew rządzi parlamentem, bo Orenbajewem rządzi jego wiceprzewodniczący Rustam Saparbaew. Tu jest jak w dawnym Związku Sowieckim czy jak w pierwszych latach niepodległości środkowoazjatyckich dawnych republik ZSRS: rządzi nie ten „pierwszy", tylko ten „drugi". Słyszę o państwowych subsydiach dla emerytów i kalek.

Spotkania z przedstawicielami tutejszego rządu. Są wicepremier Darjabaj Kajpow i minister Rasul Zarekiejew. Na stole wyłącznie woda mineralna Chartag. Słyszymy, że głównym problemem Republiki jest brak wody i dewastacja środowiska po tym, jak Morze Aralskie w ciągu sześćdziesięciu paru lat cofnęło się o 150 kilometrów (!). Struktura rządu: na czele stoli „premier", który ma dziewięciu „wicepremierów", którzy nadzorują poszczególne dziedziny, na przykład ekologię czy turystykę. Karakałpakstanowi pomaga Bank Światowy: dał 6 mln euro, aby poprawić jakość gleby.

Wreszcie podróż do Munjaku – niegdyś miasta portowego, jeszcze w 1960 roku położonego nad Morzem Aralskim, które od tego czasu cofnęło się i cofa w nieprawdopodobnym tempie, powodując katastrofę ekologiczną.

Patrzę na wracających ze szkół młodych, schludnie ubranych Karakałpacjan – tak samo eleganckich, jak poprzedniego dnia młodzież na taszkienckim uniwersytecie, gdzie jestem doktorem honoris causa. To ich różni od szkół i uczelni Europy Zachodniej, gdzie nie ma ani szacunku dla starszych, ani chłopaków w garniturach i krawatach... ■

eprasa.pl 42e06210b5

29 czerwca 1920 roku rozegrany został mecz, który przeszedł do historii jako „mecz o polski Śląsk”. Z niemiecką drużyną Beuthen09, mistrzem Górnego Śląska, wzmocnionym bramkarzem reprezentacji Niemiec, zmierzyli się Czarni Lwów. Mimo fanatycznego dopingu niemieckiej publiczności, Czarni do przerwy gromili Niemców 3:0. Po przerwie Niemcy grali skrajnie brutalnie. W efekcie najlepszy polski środkowy pomocnik, uznawany za najlepszego piłkarza Galicji Henryk Bilor, padł ze złamaną nogą. Ale polska drużyna wygrała 3:2, a Wojciech Korfanty ogłosił, że to dodatkowe 20 tys. głosów za polskim Śląskiem. Nie było to jedyne patriotyczne poświęcenie polskiego środkowego pomocnika. W tym samym roku Bilor zrezygnował z udziału w igrzyskach olimpijskich w Antwerpii, by walczyć w wojnie polsko-bolszewickiej.

Piotr Lisiewicz

Bicie bolszewika ważniejsze od igrzysk olimpijskich

eprasa.pl 42e06210b5

FOT. NAC

eprasa.pl 42e0621 0b5

Relacje z „meczu o polski Śląsk" opisują niesamowitą atmosferę tych wydarzeń. Oto sędzia spotkania dr Hipp przy stanie 3:0 z obawy przed linczem ze strony niemieckiej publiczności uznał bramkę strzeloną przez Beuthen09 po podaniu... kibica, który wykopnął ją, gdy wypadła za boczną linię.

Przerażony Korfanty, sterroryzowany sędzia

„Korfanty przed meczem był przerażony. – Każdy wie, że oni ściągnęli z Berlina najlepszych piłkarzy. Wy nie będziecie grali z drużyną z Bytomia, a z reprezentacją Niemiec – martwił się. – My jesteśmy reprezentacją Polski – odpowiedział spokojnie Wacek [Kuchar – przyp. P.L.]. Zdecydowana większość publiczności kibicowała miejscowej drużynie. Przybyło jednak także sporo propolskich Ślązaków, którzy wspierali lwowian" – opisuje Krzysztof Lewandowski w książce „Wojewoda śląski Jorg. W kotle czarownic". „Król Jan Kazimierz po ślubach lwowskich uciekał na Śląsk. Wtedy był to początek sukcesu. Dziś jest druga ważna eskapada ze Lwowa na Śląsk" – pocieszał się Korfanty.

W książce Jacka Bryla Wacław Kuchar czytamy z kolei: „Na przerwę gracze niemieccy schodzili zgnębieni, a wśród publiczności zapanował nastrój dla nas złowrogi. Widzieliśmy to i słyszeli, bo publiczność otaczała boisko ciasnym murem, a co wykrzykiwali rozumieliśmy dobrze, bo każdy z nas przecież znał ich język. Po przerwie już w drugiej minucie okazało się, że Niemcy nie chcą grać fair. Sfaulowali Henryka Bilora grającego na pozycji środkowego pomocnika. Wejście niemieckiego gracza było tak brutalne, że Henrykowi złamał nogę! Straciliśmy bezcenną siłę, bo był on dosłownie kręgosłupem naszej drużyny i podporą defensywy. Nie o strzelaniu bramek należało więc teraz myśleć, ale nastawić się na obronę korzystnego dla nas wyniku".

O kuriozalnej bramce dla Niemców czytamy: „Piłka wyszła na aut poza naszą linią bramkową, a jeden z widzów niemieckich kopnął ją z powrotem na boisko. Wtedy jeden z Niemców strzelił obok spokojnie idącego po piłkę Szwarca grającego w naszej bramce. Publiczność niemiecka ogłuszająco zawyła i zaczęła klaskać szalejąc z radości. Sędzia dr Hipp stał blady i nie wiedział co czynić, z naszych graczy nikt nie odezwał się nawet – żeby nie dać powodów do awantury, która zawisła w powietrzu. Wówczas Bongers chwycił piłkę i pobiegł z nią na środek. Tłum wiwatował i ryczał, a najzagorzalsi »kibice« runęli ławą ku dr. Hippowi, który zląkł się nie na żarty i pod takim terrorem bramkę tę uznał. W ten sposób mistrzowska drużyna Górnego Śląska niemieckiego »zdobyła« bramkę".

Polscy górnicy z pistoletami i granatami na meczu

Mimo utraty lidera Lwowianie „dowieźli" wynik 3:2 do końca meczu. Przed linczem Niemców uratowała ich... bojówka polskich górników uzbrojona w broń palną. „Co się działo na boisku po gwizdku – trudno opisać. Radowaliśmy się ze zwycięstwa niezaprzeczalnego, ale zaraz zaczęliśmy się bać wszyscy o swoje kości, bo na murawę wpadło kilkudziesięciu ludzi. Wydawało się, że to dzień sądu prawie ostatecznego! Tłumy wyły i gwizdały, a ci którzy wdarli się na boisko, otoczyli nas wszystkich, graczy, kierownictwo drużyny, dra Hippa i Heńka ze złamaną nogą ciasnym kołem. Ale – uśmiechali się do nas i mówili po polsku! Rychło wydało się, że jest to bojówka polskich górników, która nie opuściła nas aż do hotelu Lomnitz, strzegąc nas cały czas jak oka w głowie. Nasze kochane »pierony« miały tylko szczery żal do dr. Hippa za to, że uznał tę pierwszą »bramkę« Niemców. Gdyśmy to tłumaczyli naszą obawą przed zmasakrowaniem nas – »pierony« nasze zaczęły się śmiać na cały głos. – Niechby tylko spróbowali! – odparli, a przy tym odchylali poły swych surdutów. A tam w pięknym ordynku wisiały sobie ... ręczne granaty, pistolety automatyczne i inne podobne zabawki dla niegrzecznych dzieci. [...] Tak to wtedy szło w krainie czarnych diamentów i w taki kocioł wpakowaliśmy się, co naszych graczy tylko podniecało" – wspominał Wacław Kuchar.

A w hotelu Lomnitz Korfanty przemawiając, powiedział o owych 20 tys. dodatkowych głosów. I nie wydaje się, by była to przesadzona liczba, bo efekt propagandowy był niewyobrażalny.

Dzikie postacie młodzieńców z nagimi kolanami

Henryk Bilor, najdzielniejszy bohater tych wydarzeń, urodził się 19 listopada 1889 roku we Lwowie jako syn Tomasza i Zofii z domu Czaja. Marian, brat Henryka, podobnie jak on był sportowcem i żołnierzem, znanym sędzią piłkarskim i kapitanem artylerii Wojska Polskiego. Siostra Zofia była z kolei mistrzynią w łyżwiarstwie figurowym. Na lodzie tanecznych akrobacji dokonywała u boku Tadeusza Kowalskiego, w przyszłości tak jak Henryk Bilor ofiary zbrodni katyńskiej, ale tej przyszłości nikt jeszcze wtedy nie znał.

Młody Henryk w rodzinnym Lwowie ukończył szkołę ludową. Potem, w latach 1897–1903, uczył się we lwowskim gimnazjum. Następnie uczęszczał do C. K. I Szkoły Realnej i C.K. II Szkoły Realnej we Lwowie, gdzie zdał wojenny egzamin dojrzałości 1 lutego 1916 roku. Rozpoczął studia na Politechnice Lwowskiej.

eprasa.pl 42e06210b5

„Był to czas sportowej rywalizacji i silnych emocji adepta piłkarstwa, które wtedy kiełkowało w Galicji. Futbolowa rewolucja zaczęła się w podwawelskim grodzie, gdzie rywalizowały ze sobą drużyny lwowskie i krakowskie i dokąd przyjeżdżali zagraniczni zawodnicy Sportverein Troppau czy Diany Katowice" – piszą o młodości Bilora autorzy książki „Sportowcy dla Niepodległej. Katyń".

„Po starych spodniach poszły nożyce i wnet dzikie postacie młodzieńców z nagimi kolanami i rozwianym włosem zaczęły straszyć cnotliwe matrony [...]. Jak grzyby po deszczu powstawały kluby szkolne i błoniowe" – pisało o tym „Życie sportowe".

Czarni, czyli Powidlaki

Na tej fali popularności futbolu Bilor już w szkole średniej postanowił założyć własną drużynę piłkarską. I tak wraz z bratem Marianem oraz kolegą Walerianem Pappiusem w sierpniu 1903 roku powołał do istnienia I Lwowski Klub Piłki Nożnej „Sława". Z czasem przyjął on czarno-czerwone barwy i nazwę Czarni, której Henryk był pomysłodawcą (choć na graczy mówiono także „Powidlaki") – piszą autorzy książki „Sportowcy dla Niepodległej. Katyń".

W maju 1906 roku Czarni rozegrali pierwszy oficjalny mecz z gimnazjalnym Klubem Gimnastyczno-Sportowym (późniejszą sławną Pogonią Lwów) i zremisowali 1:1. Rywalizacja tych dwóch klubów elektryzowała później Lwów przez długie lata, a jako ciekawostkę przytoczyć można brzmiący dziś politycznie niepoprawnie hymn Pogoni Lwów, autorstwa znanego lwowskiego poety Henryka Zbierzchowskiego:

Wiele w Polsce mamy drużyn,
Każda inny kolor ma.
Czarną farbę lubi Murzyn,
Mnie nie nęci barwa ta.
Kolor czysty i bez kreski
To jest serc gorących znak,
Nasz czerwono jest niebieski.
Tak jak niebo i jak mak.
Przecudny tak Pogoni znak.

Ale Henryk Bilor był po drugiej stronie barykady. Przed wybuchem I wojny światowej Czarni grali m.in. z Cracovią. W 1911 roku przegrali z nią 0:3, ale w 1912 roku już tylko 0:1. Rywalizowali też ze wspomnianą Pogonią Lwów, remisując 2:2. AZS Kraków rozgromili natomiast 6:1.

W 1913 roku doszło do meczu pomiędzy drużynami Lwowa i Krakowa. Paradoksalnie, choć lwowianie przegrali 0:1, to Bilor zyskał dzięki temu wydarzeniu miano najlepszego polskiego środkowego pomocnika. „Siły fizyczne tego gracza były wprost niewyczerpane. Na przeciwnika szedł niezwykle ostro, z pojedynków prawie zawsze wychodził zwycięsko" – pisał również znany piłkarz, a zarazem dziennikarz Stanisław Mielech w artykule „Między napadem a obroną" w czasopiśmie „Stadjon". W 1914 roku Czarni zakwalifikowali się do Mistrzostw Galicji, ale decyzja Józefa Piłsudskiego o podjęciu zbrojnej walki o niepodległość przerwała rozgrywki.

HENRYK BILOR MIMO SUMIENNYCH PRZYGOTOWAŃ NIE WZIĄŁ UDZIAŁU W IGRZYSKACH OLIMPIJSKICH W ANTWERPII W 1920 ROKU, KTÓRE MOGŁY BYĆ NAJWAŻNIEJSZĄ IMPREZĄ SPORTOWĄ W JEGO ŻYCIU. BO WAŻNIEJSZE OD BICIA REKORDÓW BYŁO BICIE BOLSZEWIKÓW.

Legionista Bilor ranny pod Konarami

„Krwawy bój Legionów Polskich z armią rosyjską pod Konarami, rozpoczęty 16 maja 1915 r., trwał już osiem długich dni i nocy. Huk rozrywanych granatów, świst kul, złowrogie krakanie wron – wszystko to tworzyło piekielny koncert. Pod Konarami nikt się jednak nie bał. Wśród dzielnych żołnierzy był ranny w walce Henryk Bilor, lwowianin, najlepszy piłkarz Galicji przed I wojną światową. [...] W szarym mundurze, z mannlicherem w ręku, w czapce maciejówce zsuniętej na wysokie, marsowe czoło dzielił z legionistami trudy żołnierskiego żywota, najpierw służąc w 1. Pułku Piechoty, a potem prażąc wroga z dział artyleryjskich" – czytamy w książce „Sportowcy dla Niepodległej. Katyń".

Po wstąpieniu do Legionów Bilor służył jako sekcyjny w 1 pułku piechoty w składzie I Brygady. Następnie przeniesiony do artylerii służył w 4. baterii 1. pułku artylerii. Później objął funkcję dowódcy działonu.

„Furia footballowa"

Gdy nie było działań bojowych, w legionach grano w piłkę. „Siedzenie w okopach zaczęło się mocno dłużyć. [...] Po-

eprasa.pl 42e06210b5

sępność zaglądała w serca, a tęsknota roiła rozmaite wyprawy i plany na dni, które przyjść musiały. Dogryzło to już wszystkim tak gruntownie, że wszystkich ogarnęła furia footballowa. Potworzyły się drużyny i wzdłuż całej linii zaczęto wierzgać nogami" – pisze Adam Dobrodzicki w książce „ Z bojów brygady Piłsudskiego".

Pionierem piłkarskiej historii Legionów był właśnie Henryk Bilor. W artykule „Legia na Wołyniu, sto lat temu" na łamach „Polski Zbrojnej" Tomasz Stańczyk opisuje to tak: „Mecze odbywały się m.in. przed kwaterą sztabu brygady w Grudzynach oraz w Mierzwinie, gdzie stacjonowały odwody. Wśród grających w piłkę byli także niedawni zawodnicy klubów, m.in. Henryk Bilor i Tadeusz Kowalski z Czarnych Lwów oraz Witold Rutkowski z Wisły Kraków. Antoni Poznański, który przed I wojną światową grał w Wiśle Kraków, a później w Cracovii, zaczął kompletować drużynę piłkarską w Piotrkowie. Stanisław Mielech, legionista i futbolista Cracovii, wspominał, że spośród legionistów wracających ze szpitali do pułków wyławiano piłkarzy o znanych nazwiskach i wcielano do formującej się kompanii sztabowej".

Gra w piłkę „przy wtórze pękających wokół szrapneli"

Według relacji autorów „Sportowców dla Niepodległej...", kiedy latem i jesienią 1915 roku brygady legionowe zajęły pozycję na pograniczu Wołynia i Polesia, legioniści nie tylko sypali okopy, lecz także budowali osady żołnierskie ze szpitalami, szkołami, no i oczywiście boiskami sportowymi, bo futbol był namiętnie uprawiany na froncie w czasie wojennego bezrobocia. I tak wyrosły Karasin, Rojowe Osiedle, Nowy Anielin czy słynne Legionowo, gdzie w kwietniu 1916 roku utworzono jedną z najlepszych polskich drużyn piłkarskich, w której składzie znalazł się Henryk Bilor. Był to zespół biało-czarnych – Drużyna Komendy Legionów „Legia". „Wśród odgłosów wojny grała ona z drużynami pułkowymi na Wołyniu, a na wiosnę 1917 r. stoczyła w Warszawie piłkarskie pojedynki z Polonią i Cracovią" – czytamy.

Według licznych relacji, na które powołują się autorzy, w ostatnim z wymienionych starć wyróżnili się dwaj najwybitniejsi gracze Czarnych ze Lwowa – środkowy pomocnik Bilor i lewy obrońca Kowalski. „Niewątpliwie Bilor był jednym z najlepszych zawodników legionowych, którzy grali nawet przy wtórze pękających wokół szrapneli, a także wtedy, gdy lotnik rosyjski przypatrywał się zawodom z góry, wyrażając swój zachwyt kulomiotem" – piszą.

Obrońca Lwowa

Po kryzysie przysięgowym Bilor został zwolniony z Legionów, po czym był internowany w obozie Bustyaháza od 26 sierpnia 1917 roku, gdzie odzyskał wolność 20 listopada 1917 roku. W tym samym roku odbył kurs w szkole podoficerskiej, kurs przeszkolenia w Górze Kalwarii.

Został wówczas wcielony do c.k. armii i skierowany do służby w szeregach LIX Brygady Artylerii Polowej w Czanalos na stanowisku instruktora. Od 14 kwietnia do 30 lipca 1918 roku odbył naukę w szkole oficerów rezerwy artylerii w Ołomuńcu. Był instruktorem baterii zapasowej 111 pułku artylerii polowej w Balatonkenese. Został mianowany chorążym rezerwy 28 września 1918 roku i urlopowany na studia na Politechnice Lwowskiej. I wtedy od razu podjął współpracę z Polską Organizacją Wojskową.

Tam przebywał, gdy Polska odzyskiwała niepodległość. „W momencie wskrzeszenia państwa polskiego Bilor przebywał we wstrząsanym walkami Lwowie, który w listopadzie 1918 r. wykrwawiał się odcięty ze wszystkich stron, pozbawiony żywności, światła i wody... sypał okopy i szańce, rozrywał uliczny bruk, w bramach domów stawiał twarde, niezdobyte reduty. Szeregi walczących Polaków zasilali zaprawieni w bojach legioniści, wśród których był wierny swemu rodzinnemu miastu Henryk – oficer wywiadowczy artylerii" – piszą autorzy „Sportowców dla Niepodległej...". Od 18 listopada 1918 roku Bilor służył w dywizjonie artylerii 1. pułku artylerii polowej Legionów organizowanym przez mjr. Edmunda Knolla-Kownackiego, sprawując funkcje oficera wywiadowczego i I oficera baterii podczas walk frontu ukraińskiego. Od 24 grudnia 1918 roku był dowódcą kolumny amunicyjnej tej jednostki.

Bilor rozważny i Kuchar ruchliwy

Po odzyskaniu niepodległości Bilor 18 marca 1919 roku został awansowany do stopnia podporucznika artylerii. Pełnił funkcję oficera wywiadowczego w dywizjonie pułku. Ale już 20 marca 1920 roku został urlopowany celem kontynuacji edukacji na studiach wyższych. Jednak 22 kwietnia 1920 roku został powołany do służby i skierowany do Krakowa, gdzie wszedł w skład polskiej ekipy na Letnie Igrzyska Olimpijskie 1920 w Antwerpii.

„Tego zaszczytu dostąpiło wówczas 50 piłkarzy z Krakowa, Lwowa, Warszawy, Łodzi, Poznania, Przemyśla i Stanisławowa. W teamie olimpijskim Lwów miał 12 przedstawicieli" – piszą autorzy „Sportowców dla Niepodległej...".

Jak czytamy, wiosna i lato 1920 roku były szczególnie trudne dla mieszkańców rodzinnego miasta Henryka, gdzie szerzyła się epidemia tyfusu, wybuchały strajki robotnicze, brakowało żywności, a najgorszą spodziewaną zarazą miała być inwazja bolszewików na Polskę. Ale „mimo to lwowiacy czekali w napięciu na mecz między lwowską drużyną olimpijską a zespołem reprezentantów

eprasa.pl 42e06210b5

miasta. Gdy więc naprzeciwko siebie stanęły »najlepsze siły futbolowe we Lwowie«, kibice nie mogli oderwać oczu, szczególnie od Kuchara i Bilora". „Obaj zawsze na swoim miejscu, obaj doskonale podają schwyconą piłkę; Bilor rozważny jak przystało na dobry środek pomocy i Kuchar ruchliwy jak fryga, strzelający do bramy przeciwnika z każdej pozycji" – pisała „Gazeta Lwowska". Olimpijczycy wygrali 6:2. A Bilor ze Lwowa udał się na Śląsk, by wziąć udział w opisanych na początku wydarzeniach.

Bicie bolszewika ważniejsze niż igrzyska olimpijskie

Henryk Bilor mimo sumiennych przygotowań nie wziął udziału w igrzyskach olimpijskich w Antwerpii w 1920 roku, które mogły być najważniejszą imprezą sportową w jego życiu. Bo ważniejsze od bicia rekordów było bicie bolszewików...

W sierpniu 1920 roku przybył po raz kolejny do Lwowa i przydzielony został do baterii Wanda, gdzie służył pod dowództwem ppłk. Kowalewskiego. Od września brał udział w walkach frontowych jako żołnierz artylerii polowej w szeregach macierzystego 1. pułku, a od 24 grudnia 1920 roku służył w baterii zapasowej 12. pułku artylerii polowej. 19 stycznia 1921 roku został awansowany do stopnia porucznika czasu wojny. W 1924 roku został awansowany do stopnia kapitana ze starszeństwem.

Znowu grał też w Czarnych Lwów. Podczas obchodów 20-lecia istnienia klubu i zorganizowanego wówczas turnieju towarzyskiego Bilor wystąpił w meczu 29 czerwca 1923 roku w wieku 34 lat. Był wtedy najstarszym polskim aktywnym piłkarzem.

„Przegląd Sportowy" relacjonował: „Heniek Bilor, który po długim czasie po raz pierwszy wystąpił na nowem stanowisku, wykazał kolosalną rutynę i grał bez zarzutu, kierując racjonalnie grą. [...] Po zakończeniu gry wzniosły obie drużyny trzykrotny okrzyk, poczem Czarni znieśli na rękach Bilora z boiska".

Natomiast „Sport" z 4 lipca 1923 roku oceniał: „Grający tego dnia w środku, dawno już niewidziany na naszych boiskach, Heniek Bilor doskonale atak prowadził i piłkę łącznikom podawał do strzału; przyzwyczajony jednak do gry środkowego pomocnika zanadto trzymał się w tyle. Obok niego Müller dnia tego obok Synowca był najlepszym na boisku. Gra cała ostra lecz fair prowadzona była zanadto krzykliwą; okrzyki »na niego«, »spokojnie«, »naprzód« i t. p. przemieniają grę w jarmark i rażą publiczność. Sędziował nieszczególnie kpt. Engel".

„Z pasją równą piłkarskiej śmigał na nartach"

Ale piłka nożna nie była jedyną dyscypliną, w której odniósł sukcesy. Dla żołnierzy prowadził też kursy narciarskie. „Z pasją równą piłkarskiej śmigał na nartach jako instruktor wojskowy po ośnieżonych stokach Sławska, »Zakopanego Bieszczadów Wschodnich«. W marcu 1922 r. podczas zawodów narciarskich w Worochcie zdobył brązowy medal mistrzostw Polski i armii w biegu na 15 km" – piszą autorzy „Sportowców dla Niepodległej".

Po zakończeniu kariery sportowej Bilor został trenerem drużyny Janina Złoczów, a także sportowym działaczem Lwowskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej. Został członkiem zarządu i objął funkcję kapitana związkowego. Jako emerytowany oficer zamieszkiwał we Lwowie przy ulicy Gródeckiej. W 1938 roku był pracownikiem Ubezpieczalni Społecznej we Lwowie.

Pod którąś z sosen...

Ale gdy w 1939 roku zaczęła zbliżać się wojna, kapitan Bilor został powołany do sztabu DOK nr VI we Lwowie. Po wybuchu wojny, w czasie kampanii wrześniowej, po raz trzeci w swym życiu wziął udział w obronie Lwowa.

Po agresji Związku Sowieckiego na Polskę z 17 września 1939 roku udało mu się uniknąć niewoli. Ale później został aresztowany przez Sowietów. Został zamordowany przez NKWD prawdopodobnie na wiosnę 1940 roku. Jego nazwisko znalazło się na tzw. Ukraińskiej Liście Katyńskiej opublikowanej w 1994 roku. Został wymieniony na liście wywózkowej 71/2-83, oznaczony numerem 199. Ofiary tej części zbrodni katyńskiej zostały pochowane na otwartym w 2012 roku Polskim Cmentarzu Wojennym w Kijowie-Bykowni.

„To najsłabiej poznana część zbrodni katyńskiej. Wiadomo jednak, jak wyglądała praktyka wykonywania wyroków śmierci: Więźniów [...] dowożono windą z cel do specjalnego pomieszczenia, służącego do przeprowadzania egzekucji. Tu skazaniec był odwracany twarzą do ściany i zmuszany do uklęknięcia. Następnie przyginano mu głowę do dołu, a stojący za nim oprawca oddawał strzał z pistoletu w potylicę. W ten sposób, podczas egzekucji odbywających się wyłącznie w nocy, tracono od 100 do 150 więźniów. Z dużym prawdopodobieństwem właśnie tak zginął Henryk Bilor" – uważają autorzy książki „Sportowcy dla Niepodległej. Katyń". Opisując ów czwarty cmentarz katyński piszą: „Na tym leśnym cmentarzysku, być może właśnie pod którąś z sosen, wiosną 1940 r. wrzucono do dołu śmierci ciało Henryka Bilora – obrońcy Lwowa, sportowca i żołnierza zasłużonego dla Niepodległej".

„Nasz wspólny wróg poniesie odpowiedzialność za Buczę i Smoleńsk, Bykownię i Katyń" – powiedział o miejscu pochówku polskiego piłkarza podczas ostatniej wizyty w Polsce prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski. ■

eprasa.pl 42e06210b5

Historię powstania w getcie opowiadali ci, którzy ocaleli

eprasa.pl 42e06210b5

fot. Arch.

Dariusz Jarosiński

Był poniedziałek 19 kwietnia 1943 roku, początek Wielkiego Tygodnia – w chrześcijańskich domach trwały przygotowania do świąt Wielkanocy, w domach żydowskich była to wigilia święta Paschy. Wczesnym rankiem na teren warszawskiego getta od strony ulicy Nalewki i skrzyżowania ulic Gęsiej i Zamenhofa wjechały samochody z esesmanami i wozy pancerne. Niemcy przystąpili do ostatecznej likwidacji żydowskiej dzielnicy.

Jakże wielkim zaskoczeniem musiało być dla Niemców powitanie ich na ulicach getta strzałami z karabinów, granatami, koktajlami Mołotowa. Hitlerowscy żołnierze przyzwyczajeni byli do posłuszeństwa i bierności Żydów, do karnego wykonywania poleceń w drodze do miejsc śmierci. Latem 1942 roku, w czasie tzw. wielkiej akcji, Niemcy wywieźli z getta około 300 tys. osób do obozu koncentracyjnego w Treblince. Emanuel Ringelblum, kronikarz historii warszawskiego getta, po zakończeniu deportacji napisał: „Dlaczego daliśmy się prowadzić na śmierć jak stado baranów na rzeź? Czemu wrogowi wszystko udawało się tak łatwo? Dlaczego kaci nie odnieśli żadnych strat? Czemu 50 esesmanów (są tacy, którzy twierdzą, że jeszcze mniej) z pomocą 200 policjantów ukraińskich i podobną liczbą litewskich zdołało przeprowadzić całą operację z taką łatwością? Od samego początku należało nie pozwolić na wysiedlenie. Powinniśmy wybiec na ulice, podpalić wszystko, co było w zasięgu naszych rąk, rozwalić mury i uciec na drugą stronę. Niemcy mściliby się na nas, zginęłyby zapewne dziesiątki tysięcy, lecz nie 300 tysięcy". Ufność, jaką pokładali mieszkańcy warszawskiego getta w obietnice okupanta była wręcz niewiarygodna.

Dlaczego doszło do zrywu?

W żydowskiej dzielnicy pozostało około 50 tys. 60 tys. mieszkańców. Większość stanowili młodzi ludzie, którzy pracowali w niemieckich zakładach umiejscowionych na terenie getta. Niemcy sądzili, że jak zwykle szybko poradzą sobie z nimi i sprawią Hitlerowi prezent na urodziny, które przypadały 20 kwietnia.

Zbrojny opór został zapisany w historii Polski jako powstanie w getcie warszawskim. Nie bez powodu zaznaczam, że w historii Polski, bo na Zachodzie przedstawiano tę walkę pod nazwą powstanie warszawskie. Zachodni politycy, odwiedzający Polskę, Warszawę, ze zdziwieniem dowiadywali się o powstaniu, które wybuchło 1 sierpnia 1944 roku.

Było to pierwsze miejskie powstanie w okupowanej przez Niemców Europie. Był to nie tylko wyraz desperacji, niezgody na umieranie jak zwierzęta, lecz także pokaz bohaterstwa. Powstanie wybuchło wówczas, kiedy nie było już nadziei, kiedy wywiad Armii Krajowej przekazał żydowskim bojowcom wiadomość o zamiarze Niemców ostatecznej likwidacji getta. Cytowane są często słowa listu jednego z przywódców walk w getcie, Mordechaja Anielewicza, skierowane do Icchaka Cukiermana „Antka", który przebywał w tym czasie po aryjskiej stronie: „[...] Najważniejsze, że marzenie mojego życia się spełniło. Dane mi było zobaczyć żydowską obronę w getcie – w całej jej wielkości i chwale". Marek Edelman, zastępca Mordechaja Anielewicza, w swoim stylu, z ironią, tłumaczył Hannie Krall motywy podjęcia walki w getcie: „Ludzkość

eprasa.pl 42e06210b5

umówiła się, że umieranie z bronią jest piękniejsze niż bez broni. Więc podporządkowaliśmy się tej umowie" („Zdążyć przed Panem Bogiem"). Ale natknąłem się na jeszcze inną wersję powodu podjęcia kwietniowej walki: „Tak naprawdę o tym powstaniu powinno się mówić, że było ono zemstą, że chodziło tylko o to, by zabić jak najwięcej Niemców" – mówił przed laty Szewach Weiss.

Regularne walki w getcie trwały jedynie kilka dni, później bojownicy musieli kryć się we wcześniej przygotowanych bunkrach, piwnicach, spora grupa przeszła też na aryjską stronę. Symbolicznym końcem powstania było wysadzenie Wielkiej Synagogi 16 maja 1943 roku. W trakcie powstania ujęto na terenie getta około 43 tys. Żydów. Zastrzelono około 7 tys. osób. Dalsze 5–6 tys. zginęło w wyniku niszczenia i palenia budynków. Po upadku powstania i ostatecznej likwidacji getta na jego terenie utworzono obóz koncentracyjny KL Warschau.

Dla Żydów uratowanych z Zagłady powstanie w getcie stało się źródłem dumy, że potrafili przeciwstawić się Niemcom, zerwać z postawą bezradności i bierności wobec eksterminacyjnej polityki Niemców. Powstanie było też źródłem inspiracji twórczych, powstała na jego temat bogata literatura, nakręcono liczne filmy.

Kiedy do historii wkrada się polityka

Przez kilkadziesiąt lat mieliśmy do czynienia z zafałszowanym obrazem powstania w getcie warszawskim. Niestety dzieje się tak wówczas, kiedy do historii wkrada się polityka. Już w roku 1944 zmanipulowaną historię powstania w getcie na potrzeby propagandy sowieckiej tworzył w Moskwie Bernard Ber Mark. Mark, przedwojenny działacz Komunistycznej Partii Polski, w latach 1949–1966 pełnił funkcję dyrektora Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie i miał duże możliwości kreowania jedynej właściwej wersji wydarzeń. Przez długi czas, a właściwie dla niektórych środowisk politycznych nadal, najważniejszym świadectwem tamtych dni z kwietnia 1943 roku, są relacje Marka Edelmana. W roku 1945 została wydana broszura jego autorstwa pt. „Getto walczy". Edelman, przywódca Żydowskiej Organizacji Bojowej po śmierci Mordechaja Anielewicza, dokonał politycznego zawłaszczenia powstania – wymienia w swojej książce jedynie walczącą w getcie ŻOB oraz wchodzące w jej skład – Bund, socjalistyczną partię, której był członkiem, i Polską Partię Robotniczą. Przywódca ŻOB nawet nie zająknął się o drugiej organizacji walczącej w powstaniu, jaką był Żydowski Związek Wojskowy o proweniencji prawicowej.

Kiedy ukazały się pierwsze publikacje na temat bojowników ŻZW i nie można już było udawać, że nie brali udziału w powstaniu w getcie, Marek Edelman deprecjonował ich rolę, nie krył wobec nich wrogości, uważał członków ŻZW za „reakcjonistów, bandytów, faszystów, bandę szmuglerów, tragarzy i złodziei", „którzy trochę postrzelali i uciekli tego samego dnia" (z rozmowy z Anką Grupińską). Zarzucał im tchórzostwo, choć wykazali się walecznością, niemal wszyscy zginęli w bohaterskiej walce. Uwzględniając siłę militarną, uzbrojenie, umiejętności wojskowe, skuteczność podejmowanych działań bojowych, ŻZW odegrał dużo większą rolę w powstaniu aniżeli ŻOB. W czasie powstania zginęli wszyscy przywódcy Żydowskiego Związku Wojskowego, uratował się jedynie dr Dawid Wdowiński i dosłownie kilku bojowników, pisali więc historię ci, którzy ocaleli – członkowie lewicowego ŻOB. ŻZW miał zostać wymazany z kart historii, dopiero tacy badacze, jak na przykład wybitny izraelski polityk, dyplomata profesor Mosze Arens, przywrócili pamięć o nich, zadbali o należne im miejsce w historii.

Książka Mosze Arensa, wydana w Izraelu w roku 2009, wywołała duże kontrowersje, spory. W Polsce ukazała się w roku 2011 i nosi tytuł „Flagi nad gettem. Rzecz o powstaniu w getcie warszawskim". O jakich flagach mowa jest w tytule książki? Otóż bojownicy z ŻZW toczyli przez cztery dni bitwę na placu Muranowskim pod dwiema flagami zatkniętymi na dachu kamienicy przy ulicy Muranowskiej – syjonistyczną, która stała się później flagą Izraela, oraz biało-czerwoną, polską. Bitwa na placu Muranowskim była największym, najbardziej krwawym starciem w powstaniu. Autor przedstawia genezę powstania obu organizacji walczących w powstaniu w getcie: ŻOB, na której czele stanął Mordechaj Anielewicz, oraz ŻZW, którym dowodził Paweł Frenkel, oraz przygotowania do walki, a także samo powstanie. Arens nie mógł zrozumieć, dlaczego przywódcy obu organizacji nawet w obliczu śmiertelnego zagrożenia nie potrafili się porozumieć. „Nawet wówczas, gdy stało się jasne, iż Niemcy są zdeterminowani zabić każdego Żyda bez względu na jego przynależność polityczną, wciąż nie można było pokonać przepaści między syjonistami i Bundem z jednej strony a rewizjonistami z drugiej" – pisał we „Flagach nad gettem".

Przez wiele lat „rodzimi" komuniści próbowali przeciwstawić powstanie w getcie powstaniu warszawskiemu. Pierwsze, według nich, było słuszne – w obronie godności, drugie – niesłuszne, bo wywołane przez faszystów z Londynu. Manipulowano historią obu powstań, interpretując ją w zależności od potrzeb politycznych. W latach stalinowskich plakaty „AK – zapluty karzeł reakcji" wyszydzające Armię Krajową sąsiadowały z plakatami „Cześć Bohaterom Powstania w Ghetcie Warszawskim" czy z napisami na murach ocalałych kamienic „Chwała bojownikom getta". Wiadomo, że eksponowanie bohaterstwa żydowskich powstańców, przy jednoczesnym szkalowaniu żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego, do niczego dobrego nie prowadziło, powodowało niepotrzebne nieporozumienia między Polakami i Żydami.

eprasa.pl 42e06210b5

Pierwszy pomnik ku czci powstańców warszawskich powstał na placu Krasińskich i został odsłonięty dopiero 1 sierpnia 1989 roku. Czterdzieści pięć lat musieliśmy czekać na to, by zostało upamiętnione w Warszawie powstanie warszawskie. Pierwszy Pomnik Bohaterów Getta został odsłonięty z inicjatywy Centralnego Komitetu Żydowskiego w kwietniu 1946 roku. Warszawa leżała jeszcze w gruzach. Na froncie pomnika – kolistej tablicy znajduje się liść palmowy jako symbol męczeństwa, hebrajska litera „B" oraz napis w trzech językach – polskim, hebrajskim i jidysz: „Tym, którzy polegli w bezprzykładnej bohaterskiej walce o Godność i Wolność narodu żydowskiego, o Wolną Polskę, o wyzwolenie człowieka – Żydzi Polscy". 19 kwietnia 1948 roku obok wcześniejszego pomnika odsłonięto pomnik wykonany przez Natana Rapaporta według projektu Leona Marka Suzina. Z monumentem tym wiąże się jeden z najbardziej znanych symboli politycznych współczesnej historii – to przed nim w grudniu 1970 roku ukląkł kanclerz RFN, Willy Brandt. Zdjęcie z tego wydarzenia obiegło cały świat.

▶ Czy powstanie w getcie jest mitem?

Żydzi poza granicami Polski, na Zachodzie, nazywali swoje powstanie powstaniem warszawskim. Nie mieliśmy żadnego wpływu na to, co o nas pisano w zachodnich mediach, a już szczególnie w latach PRL-u. Nie mieliśmy wpływu na to, o czym historycy pisali książki, o czym kręcone były filmy w Hollywood. Nic dziwnego, że politycy zachodni przyjeżdżający do Polski po roku 1989 byli zaskoczeni, że było jakieś powstanie, które wybuchło 1 sierpnia 1944 roku. Nasi alianci z okresu II wojny światowej milczeli na temat powstania warszawskiego – zresztą podobnie jak milczeli w 1944 roku, kiedy trzeba było pomóc walczącej Warszawie. Dopiero Donald Trump, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, 6 lipca 2017 roku wygłosił na placu Krasińskich przed Pomnikiem Powstania Warszawskiego swoje doskonałe przemówienie, w którym opowiedział światu o powstaniu warszawskim.

Eli Gat, Żyd ocalały z Zagłady, autor wydanej w roku 2009 w Izraelu książki „Nie tylko kolejny Holocaust", publicysta dziennika „Haaretz", uważa, że powstanie w getcie jest mitem. Jego książka spowodowała burzliwą dyskusję w Izraelu na temat sensu powstania w getcie, wywołała liczne polemiki. I nic dziwnego, bo jego opinie na temat powstania są dość osobliwe: „Bardzo duża część powstańców z getta po krótkiej walce przedostała się kanałami na tzw. aryjską stronę Warszawy. Po prostu uciekła. Ludzie więc uratowali swoje życie, nie zginęli. Pozostawili za to resztę Żydów z getta na pastwę straszliwego niemieckiego odwetu". Eli Gat w wywiadzie dla „Historii Do Rzeczy" (nr 7/2014) mówił m.in. „Wszystko zaczęło się w 1948 roku, kiedy powstało państwo Izrael. Towarzyszyły temu bardzo krwawe, zacięte walki z Arabami. W ogniu tych walk narodził się mit żydowskiego bohatera, Żyda nowego typu – wojownika, siłacza, zwycięzcy. Przeciwstawiano mu Żyda z diaspory – słabego, trzęsącego się przed gojami. Człowieka, który daje się poniewierać i upokarzać. Ostatecznym upodleniem tego Żyda miał być Holokaust, podczas którego miliony dały się poprowadzić jak owce na rzeź. W Izraelu ocalałymi z Holokaustu pogardzano. [...] przybysze z Europy, chcąc udowodnić, że również są coś warci, stworzyli kontrmit. Był to właśnie mit powstania w warszawskim getcie. Patrzcie! My też walczyliśmy, my też zasługujemy na szacunek, my także byliśmy bohaterami – mówili. Walczyliśmy jak lwy do ostatniej kropli krwi z potężną Trzecią Rzeszą. Oczywiście musieliśmy przegrać, ale tanio skóry nie sprzedaliśmy".

Przywódca ŻOB, 23-letni Mordechaj Anielewicz, zginął w czasie powstania w getcie śmiercią samobójczą, przeżyło dwoje innych przywódców organizacji – Icchak Cukierman „Antek" oraz bojowniczka Cywia Lubetkin, późniejsza jego żona. Oboje wyjechali w roku 1946 do Palestyny. To oni opowiedzieli światu historię powstania w getcie. Co ciekawe, Cukierman chociaż był w getcie przywódcą socjalistyczno-syjonistycznej młodzieżowej organizacji „Dror", to nie brał osobiście udziału w powstaniu – kilka dni przed jego wybuchem przeszedł na stronę aryjską, by nawiązać kontakt z polską konspiracją. „Ich opowieść była całkowicie jednostronna" – mówił w wywiadzie dla „Historii Do Rzeczy" prof. Mosze Arens. „Wyolbrzymiali rolę ŻOB i pomniejszali rolę ŻZW. Gdy Cukierman już mówił o Związku, to lekceważąco. Jako o mało ważnej, podrzędnej grupce, która podczas walk nie odegrała większej roli".

Kiedy Cukierman i Lubetkin przyjechali do Palestyny, trwała tam, jak mówił dalej prof. Arens, „zacięta rywalizacja między prawicowymi syjonistami rewizjonistami pod wodzą Menachema Begina a żydowskimi socjalistami Dawida Ben Guriona. Toczyła się wówczas wojna o żydowskie dusze, o kształt przyszłego państwa. [...] lewica nie miała najmniejszego interesu w tym, żeby nagłaśniać heroiczne czyny członków formacji ideowej, którą zwalczała". (Notabene, obaj politycy pochodzili z Polski – Begin z Brześcia, a Ben Gurion z Płońska).

Lewica tę walkę wygrała – socjaliści rządzili krajem przez pierwsze trzydzieści lat. Profesor Arens nie ma wątpliwości, jak wielkiej manipulacji historią powstania w getcie dokonano w Izraelu: „Narracja ŻOB została wówczas [w czasie rządów socjalistów – przyp. D.J.] implantowana w umysły ludzi, a pamięć o ŻZW do cna wyrugowana. Wzmianek o tej organizacji próżno było szukać w podręcznikach szkolnych, w książkach czy gazetach. W efekcie, gdy pojedzie pan do Izraela i zapyta kogoś na ulicy, kim był Mordechaj Anielewicz, każdy bezbłędnie panu odpowie. Nie ma u nas miasta, w którym nie było-

eprasa.pl 42e06210b5

by ulicy jego imienia. A na nazwisko Paweł Frenkel ludzie tylko wzruszają ramionami".

Nie mogę nie wspomnieć o jeszcze innej, wyjątkowo haniebnej wersji historii powstania w getcie. Otóż Andrea Mitchell (rocznik 1946), znana i popularna dziennikarka amerykańska, komentatorka polityczna, główny korespondent ds. zagranicznych stacji NBC News, relacjonując w połowie lutego 2019 roku konferencję bliskowschodnią z Warszawy, powiedziała na wizji, że żydowscy powstańcy w getcie warszawskim walczyli przeciwko „polskiemu i nazistowskiemu reżimowi"; nie wymieniła przy tym Niemców, którzy stworzyli getto i wymordowali jego mieszkańców. Mitchell wychowała się w żydowskiej rodzinie, chodziła do szkoły, pełni w stacji NBC News ważną funkcję, wydawać by się mogło, że powinna choć trochę znać historię.

Struktury żydowskiej konspiracji

Pierwsze struktury żydowskiej organizacji konspiracyjnej powstały na jesieni 1939 roku. Tworzyli je oficerowie, podoficerowie rezerwy Wojska Polskiego, żołnierze Września pochodzenia żydowskiego. Początkowo organizacja nosiła nazwę „Świt", z czasem przyjęła nazwę Żydowski Związek Wojskowy. Nieco później do organizacji dołączyli członkowie przedwojennej młodzieżowej organizacji Betar, założonej w roku 1923 przez Włodzimierza Żabotyńskiego. I to oni stanowili trzon ŻZW.

Przedwojenna organizacja Betar miała charakter paramilitarny. Jej członkowie nosili uniformy, posiadali stopnie. W celu budowania nowej tożsamości, pozbawionej „niewolniczej mentalności" i „plugastwa getta", poznawali na obozach szkoleniowych hebrajską literaturę, poezję i kulturę. Wychowanie w Betarze miało kształtować patriotyczne postawy. Betar wyróżniał się spośród innych żydowskich organizacji młodzieżowych tym, że okazywał lojalność i przywiązanie do swojej obecnej ojczyzny – Polski. Członkowie ruchu uczestniczyli w oficjalnych uroczystościach podczas świąt państwowych. Razem z polskimi harcerzami, żołnierzami i oficjelami maszerowali na przykład podczas parad z okazji Święta Niepodległości. Wielkim szacunkiem darzyli marszałka Józefa Piłsudskiego, który był dla nich wzorem. Betar stawiał sobie za cel przygotowanie kadr do przyszłego Legionu Żydowskiego, który miał odbić Palestynę z rąk Arabów. Polscy instruktorzy przysposobienia wojskowego zapoznawali na poligonach młodych Żydów z żołnierskim rzemiosłem – obsługą broni, czytaniem map, organizowaniem zasadzek i aktów sabotażu. Najbardziej znaczącymi postaciami w Betarze byli Icchak Szamir i Menachem Begin, ostatni komendant ruchu w II RP. Obaj przygotowali w latach 40. kampanię terrorystyczną, która doprowadziła do zrzucenia brytyjskiego panowania w Mandacie i w konsekwencji do powstania niepodległego Izraela. Obaj pełnili później funkcję premierów tego kraju.

Komendantem Żydowskiego Związku Wojskowego został betarowiec Paweł Frenkel. Niestety niewiele o nim wiemy. Nawet nie zachowało się jego zdjęcie. Prawdopodobnie urodził się około roku 1920, studiował na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Jedyny uratowany sztabowiec ŻZW, dr Dawid Wdowiński, mieszkający po wojnie w USA, wspominał, że Paweł Frenkel „był jednym z najpiękniejszych, inteligentnych i odważnych, a zarazem skromnych ludzi, z jakimi zetknął się podczas długich lat publicznej aktywności". Mówi się też o jego nadzwyczajnej charyzmie, energii. Zastępcą komendanta został Leon (Lejb) Rodel. Warto przytoczyć choćby kilka nazwisk bojowników ŻZW: Kałmen Mendelson, dr Józef Celmajster, Mieczysław Ettinger, Dawid Szulman (osądzający i wydający wyroki na żydowskich kolaborantów i zdrajców), Leon Wajnsztok, Moryc D. Apfelbaum. Tuż przed powstaniem do ŻZW dołączyła grupa szmuglerów, którym szefował Pinia Finkiel. Kierownictwo ŻZW utrzymywało kontakt z polskim podziemiem – z Armią Krajową oraz z Polską Ludową Akcją Niepodległości (PLAN).

Arsenał z Muranowskiej 7

Konspiratorzy z ŻZW konsekwentnie przygotowywali się do walki z Niemcami i powiększali arsenał broni. By zdobyć pieniądze na zakup broni, grupy bojowców prowadziły zbiórki pieniędzy na „fundusz zbrojeniowy" wśród mieszkańców getta. Jednak znacznie więcej pieniędzy uzyskiwali z tzw. eksów, czyli napadów na zamożnych mieszkańców getta, a także różne instytucje i urzędy funkcjonujące w dzielnicy. Broń nabywali na czarnym rynku po aryjskiej stronie.

Emanuel Ringelblum, kronikarz getta, twórca jego archiwum, zamordowany przez Gestapo w marcu 1944 roku, był człowiekiem o lewicowych poglądach, jednak niezwykle uczciwym, rzetelnym historykiem. Wysoko cenił ŻZW za jego świetną organizację, wojskowe umiejętności. Na kilka dni przed wybuchem powstania odwiedził siedzibę Związku. Był pod wrażeniem tego, co tam zobaczył: „Obejrzałem arsenał ŻZW. Lokal mieścił się w niezamieszkanym domu przy Muranowskiej 7, w 6-cio pokojowym lokalu na pierwszym piętrze. W pokoju kierownictwa zainstalowane było pierwszorzędne radio, przynoszące wieści z całego świata, obok stała maszyna do pisania. Członkowie kierownictwa ŻZW, z którymi prowadziłem rozmowę przez kilka godzin, byli uzbrojeni w rewolwery zatknięte za pasem. W dużych salach na wieszakach znajdowała się broń różnego rodzaju, a więc ręczne karabiny maszynowe, karabiny, najrozmaitszego rodzaju rewolwery, ręczne granaty, torby z amunicją, mundury niemieckie [...]. W pokoju kierownictwa był wielki ruch, jak w prawdziwym sztabie armii; odbierano tu rozkazy dla skoszaro-

eprasa.pl 42e06210b5

wanych »punktów«, w których gromadzono i szkolono przyszłych bojowców. Przynoszono raporty o ekspropriacjach, dokonanych przez poszczególne grupy u zamożnych osób na rzecz uzbrojenia ŻZW. W mojej obecności zakupiono tam u byłego oficera armii polskiej broń za ćwierć miliona złotych. [...] Zakupiono dwa karabiny maszynowe za 40 tys. złotych, większą ilość granatów ręcznych i bomb".

Żydowska Organizacja Bojowa powstała w październiku 1942 roku. Jej członkami byli młodzi ludzie należący do lewicowych, komunistycznych partii. Bojownicy z ŻOB-u nie mieli przygotowania wojskowego, byli działaczami partyjnymi. Do sztabu ŻOB weszli: Mordechaj Anielewicz (ha-Szomer ha-Cair), Icchak Cukierman (Dror), Berek Sznajdmil (Bund, zastąpiony później przez Marka Edelmana), Jochanan Morgenstern (Poalej Syjon Prawica) Hersz Berliński (Poalej Syjon Lewica), Michał Rozenfeld (Polska Partia Robotnicza). Wysłannik ŻOB za mury getta Arie Wilner „Jurek" nawiązał kontakt z dowództwem Armii Krajowej. Na przełomie 1942 i 1943 roku AK przekazała ŻOB w dwóch partiach 20 pistoletów, recepturę na butelki zapalające oraz instrukcje wojskowe. Dowództwo AK nie miało zbyt dużego zaufania do ŻOB z uwagi na to, iż wielu członków posiadało prosowieckie i prokomunistyczne poglądy. W literaturze wspomina się choćby o wypowiedzi Hersza Berlińskiego, a więc ważnej osoby w ŻOB: „Drodzy Towarzysze! W razie konfliktu między Związkiem Radzieckim a Polską zrobimy wszystko, aby osłabić obronny potencjał Polski. Nasze miejsce jest w szeregach Armii Czerwonej i zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by pomóc jej w odniesieniu zwycięstwa".

Bojowcy żydowscy zostali powiadomieni przez wywiad AK o tym, że Niemcy planują rozpocząć 19 kwietnia działania likwidacji getta. Do obrony getta przystąpiło około 220 bojowców ŻOB i około 200 ŻZW.

Powstańczy zryw

Bojowcy ŻOB zaatakowali wkraczających do getta Niemców z okien kamienic przy ulicy Gęsiej, Nalewek, Zamenhofa i Miłej. Mniej więcej po 16 godzinach walki ich oddziały pod naporem ognia Niemców musiały się wycofać. Po pierwszych dwóch dniach usiłowali przedostać się na aryjską stronę. Najdłużej bronił swego odcinka szopu szczotkarzy oddział dowodzony przez Marka Edelmana, ale i on w nocy z 20 na 21 kwietnia się wycofał. Później już tylko pozostało ukrywanie się w bunkrach i piwnicach. Kilkunastu bojowcom udało się przedostać kanałami na stronę aryjską. 8 maja Niemcy przystąpili do likwidacji głównej kwatery ŻOB, bunkra Mordechaja Anielewicza. Zablokowali pięć wejść i wpuścili do środka gaz. Jedynie garstce bojowców udało się wydostać na zewnątrz szóstym wejściem, o którym Niemcy nie wiedzieli. Wśród tych osób była Cywia Lubetkin, późniejsza żona Cukiermana. Ci bojowcy kanałami przeszli na stronę aryjską. Pozostałe osoby w bunkrze nie widząc szans na ratunek, popełniły zbiorowe samobójstwo. Znajdowało się tam 120 osób. Samobójstwo popełnił też przywódca ŻOB Mordechaj Anielewicz. Jak pisał Edelman w broszurze „Getto walczy": „Lutek Rotblat zastrzelił matkę i siostrę, a następnie siebie. Ruth strzelała do siebie 7 razy".

Trzon sił Żydowskiego Związku Wojskowego pod dowództwem Pawła Frenkla, około 60–80 dobrze uzbrojonych bojowników, rozmieszczono w kamienicach wzdłuż placu Muranowskiego. Drugi oddział, liczący około 30–40 osób, oczekiwał na Niemców w szopie Toebbensa i Schultza – tutaj dowodził Pinchas Taub. Trzecia grupa bojowców, pod komendą Szmuela Łopaty, gotowa była do walki na terenie szopu szczotkarzy przy Świętojerskiej. Mniejsze grupki członków ŻZW rozmieszczone były także w innych miejscach dzielnicy.

Bojowcy ŻZW uczynili z budynków przy placu Muranowskim ufortyfikowaną redutę nie do zdobycia. Na dachu najwyższej kamienicy zatknęli dwie flagi – niebiesko-białą syjonistyczną z gwiazdą Dawida i biało-czerwoną polską. Bojowcy dzielnie stawiali opór atakującym Niemcom przez cztery dni. To była najważniejsza, regularna bitwa powstania. W czasie bitwy bojowcy ŻZW zniszczyli butelkami z benzyną i granatami niemiecki czołg. O bitwie, o walecznej postawie bojowców dowodzonych przez Pawła Frenkla wiemy jedynie z raportów operacyjnych gen. Jürgena Stroopa, który był odpowiedzialny za krwawe stłumienie powstania. Niestety nie zachowały się żadne świadectwa Żydów biorących udział w walce, bo wszyscy później zginęli.

Zastosowana taktyka walki z żydowskimi bojowcami, czyli palenie kamienicy po kamienicy, kwartału po kwartale, uniemożliwiała ich walkę z Niemcami. Obie organizacje postanowiły opuścić getto. Większość walczących członków ŻZW zginęła w powstaniu, reszta – podczas próby wydostania się z getta, m.in. zginął też Paweł Frenkel. Uratowało się kilkudziesięciu bojowców ŻOB, część z nich trafiła do oddziałów komunistycznej Armii Ludowej.

***

Mary Berg (Miriam Wattenberg), autorka „Dziennika z getta warszawskiego" zanotowała pod datą 15 czerwca 1943 roku: „Ulice dzielnicy żydowskiej zmieniły się w piekło. W powietrzu rozrywały się szrapnele, a pociski padały tak gęsto, że trafiały każdego, kto wysunął głowę przez okno. Podczas walki o getto Niemcy użyli większej siły ognia niż podczas oblężenia Warszawy. Nalewki, Nowolipie, Franciszkańska, Karmelicka, Smocza, Miła, Niska i Gęsia oraz plac Muranowski zostały całkowicie zniszczone. Przy tych ulicach nie pozostał ani jeden dom. Nawet nagie mury wypalonych budynków wysadzono później dynamitem. Przez szereg nocy pożar getta było widać z odległości wielu kilometrów wokół Warszawy". ■

eprasa.pl 42e06210b5

GŁOSY Z SOWIECKICH MIEJSC KAŹNI

Agnieszka Kowalczyk

Gdy 17 września 1939 roku na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow Sowieci zdradziecko napadli na Polskę, zajmowane przez nich wschodnie ziemie Rzeczypospolitej stały się przestrzenią zbrodniczej działalności Armii Czerwonej i NKWD. Na terenach tych wnet ruszyła machina terroru. Rozpoczęły się masowe aresztowania i przesłuchania oraz wywózki tysięcy ludzi w głąb Rosji. Celem Stalina stało się unicestwienie polskiej inteligencji jako warstwy przywódczej narodu, tak by Polska nie mogła się już odrodzić.

fot. Leszek Szymański/PAP

W marcu 1940 roku w więzieniach NKWD we Lwowie, Równem, Łucku, Tarnopolu, Drohobyczu, Stanisławowie, Brześciu, Pińsku i Baranowiczach Sowieci przetrzymywali ponad 18 tys. polskich obywateli uznanych za „wrogów ludu". Zgodnie z wolą Józefa Stalina, na mocy rozkazu Ławrientija Berii z 22 marca 1940 roku, 3 tys. ludzi więzionych na terytorium zachodniej Ukrainy przewieziono do Kijowa, Charkowa i Chersonia, tyle samo przetransportowano z terenów zachodniej Białorusi do Mińska. W tych to właśnie miastach, decyzją Biura Politycznego KC WKP(b) z 5 marca 1940 roku, doszło do masowych egzekucji, których ofiarą padło 7305 polskich obywateli. W ten sposób dokonała się ta, najmniej zapewne znana i ciągle jeszcze do końca niewyjaśniona, część zbrodni katyńskiej.

Wojna w wersji sowieckiej

A oto jaki obraz Tarnopola z 19 września 1939 roku utrwalił się w pamięci jednego z jego mieszkańców, Stefana Turka, emerytowanego urzędnika skarbowego: „Odgłosy zbliżających się maszyn były coraz to bliższe, aż z głębi ulicy wyłaniać się zaczęły kontury tanków uzbrojonych w armaty i karabiny maszynowe. Odczute wrogo, potworne wehikuły sunęły powoli, dudniąc żelaziwem i wyrywając z bruku kamienie [...]. Pierwsze maszyny zatrzymały się przed kościołem i z wnętrza ich wyłoniły się czapy o kroju hełmów, oznaczone dużymi, czerwonymi gwiazdami. [...] Tanki i czołgi huczały ciągle już do nocy. Po mieście rozbiegli się ludzie spotykani dawniej tylko w zaułkach o typie przestępców i zbrodniarzy i rozpoczęli rozrzucać ulotki". Jedna z pochwyconych przez Stefana ziała nienawiścią, nawoływała do zemsty na panach, wzywała do mordowania, czym się da: „siekierą, kosą, nożem – bez litości". Tymczasem najeźdźcy ze Wschodu rozpoczęli „uśmiercanie miasta" – „brzdęk tłuczonych szyb i ciągłe odgłosy walących się murów" wróżyły jakiś apokaliptyczny koniec – Tarnopola, Polski, świata...

Jednocześnie grasujące wszędzie oddziały NKWD „czyściły i przygotowywały teren pod poranne aresztowania". Stefan Turek nie wiedział, czy przeżyje. Gdy doczekał rana, postanowił przedostać się do znajomego aptekarza, by zdobyć truciznę dla siebie i swoich bliskich. Aptekarz odmówił mu jednak, twierdząc, że takich zamówień ma na wiązki i pęczki.

Wracając do domu, Stefan ujrzał wyrastający z nagła oddział konnicy Budionnego. Na małych, skudłaconych koniach uginały się mongolskie typy jeźdźców „z karabinami na plecach, z rewolwerami w rękach i nożami w zębach". Wystarczyło, że pojawił się w polu widzenia tych żądnych krwi dzikusów, a już jeden z nich wyciągnął rewolwer i nacisnął na spust. Na szczęście strzelał niecelnie.

eprasa.pl 42e06210b5

Tam gdzie pojawiali się Sowieci, nie pozostawał kamień na kamieniu. Gdy nie stało im ludzi do zabijania, uśmiercali konie, walili z armat do opustoszałych domów i kamienic, a nawet do kościołów. Spalili zabytkową świątynię o.o. dominikanów, podziurawili dach jednego z tarnopolskich kościołów parafialnych, bez opamiętania grabili kolejne sklepy, wreszcie wymordowali uwięzionych w gimnazjum Mickiewicza polskich oficerów.

13 kwietnia 1940 roku o drugiej w nocy NKWD przyszło po Stefana i jego rodzinę. Podobnie jak tysiące współrodaków z Kresów, czekała ich wszystkich przymusowa zsyłka w stepy Kazachstanu. Na początku maja zostali wyładowani w Pawłodarze, po czym Irtyszem dopłynęli do Majska, skąd wozami dotarli do sowchozu Kirowa, by odtąd wieść życie niewolników.

W kowelskim więzieniu NKWD

O tym, jaki los czekał uwięzionych przez NKWD mieszkańców polskich Kresów, świadczyć może relacja podporucznika Michała Mariana S., inżyniera dróg i mostów, który po ucieczce z niemieckiej niewoli jesienią 1939 r. dostał się w ręce Sowietów. Wtrącony w marcu 1941 roku do kowelskiego więzienia, znalazł się w celi o wymiarach 5 na 5.5 m, w której przetrzymywano 86 osób. Gdyby podzielić jej powierzchnię na liczbę uwięzionych, okazałoby się, że na jednego człowieka przypada 21 cm miejsca! Gdzie indziej, w skupisku aż 200 aresztantów, było jeszcze gorzej. „Spało się w 4 rzędy »na waleta«, tak że nogi kładziono sobie na brzuchach". Wydostanie się z tego potwornego kłębowiska ciał wymagało stawania na głowach, piersiach czy nogach współtowarzyszy, co wywoływało falę przekleństw i gróźb tratowanych.

W brudnych, smrodliwych celach mnożyły się wszy i pluskwy, pijące krew „nie gorzej od pijawek". W zastraszających warunkach higienicznych szerzyły się choroby i epidemie. Michał rozchorował się na zapalenie oczu i stawów, miał szkorbut, przeszedł tyfus plamisty. Do izby chorych przyjmowano tylko w najcięższym stanie. Była to niewielka sala złożona z czterech piętrowych łóżek dla ośmiu pacjentów (na około 2 tys. osób). Pozostali musieli więc leżeć na gołej ziemi, bez okrycia i pomocy lekarskiej, skazani na powolne konanie. Tak też mając 40 stopni gorączki, wegetował Michał, którego w stanie agonalnym przeznaczono do transportu zgodnie z zasadą, by dochodiagów „brać na odstrzał do Kijowa".

Najgorsze były jednak w więzieniu przesłuchania, jakim NKWD poddawał aresztowanych. Jego funkcjonariusze doszli do takiej perfekcji, że „prześcignęli wszystkie najzmyślniejsze tortury całego świata". Najczęściej oskarżali pochwyconych o kontakt z wywiadem bądź policją, przynależność do organizacji polskich (OZN, PW, Związek „Strzelec", Harcerstwo itp.) lub tajnych komórek konspiracyjnych, o udział w wojnie polsko-bolszewickiej albo też o działalność kontrrewolucyjną. Swoim zbrodniczym praktykom Sowieci nadali pozory legalności z długim, wnikliwym przesłuchaniem i udowodnieniem winy, do której więzień musiał się koniecznie przyznać – najpierw wmawiano oskarżonemu, że „to co mu zarzucają, jest prawdziwe, że on się myli, zadawano podchwytliwie pytania, powtarzano z uporem po kilkadziesiąt razy, starając się przełamać jego wolę i upór. Badano zawsze w nocy, gdy człowiek już leżał w celi. [...]. Badanie trwało 6–10 godz. [...] Podsuwano nadzieję nawet zwolnienia za dobrowolne przyznanie się, dalej grożono represjami wobec rodziny (aresztowanie, wywóz). Robiono konfrontację z ludźmi, nawet Polakami, których już złamano i ci potwierdzali prawdziwość stawianych oskarżeń, nie dawano jedzenia lub zamykano do karceru, a gdy i to nie skutkowało, uciekano się do tortur cielesnych".

Michał wzywany był na przesłuchania co najmniej dwadzieścia razy. Śledztwo prowadzono w pomieszczeniu, gdzie płonęło około dwustu świec i gdzie stał rozgrzany do czerwoności piecyk, przy którym siedział, nie mogąc zdjąć zimowego futra. Gdy uparcie milczał w kwestii swej winy, przekazano go enkawudziście nazwiskiem Bondarenko. Ten najpierw uderzył go z całej siły w brzuch, a gdy nieszczęśnik upadł półprzytomny na ziemię, skopał go po głowie i ciele. Umęczonego czekała jeszcze konfrontacja z człowiekiem, którego Sowieci „złamali" i który gotów był powiedzieć wszystko, czego od niego żądano. Nazywał się Antoni Jagodziński, był naczelnikiem Wydziału Bezpieczeństwa Starostwa w Kowlu. Bolszewicy po wykorzystaniu go do swoich celów, skatowali go tak, że doprowadzili do obłędu, a następnie do śmierci.

Bez miłosierdzia bici byli też w Kowlu kpt. Strzałka, plutonowy Filipowski, por. Pryjma, którego okładano „jakąś sztachetą aż do utraty pamięci". Byłego legionistę Zgajewskiego zatłuczono pałkami na śmierć. Robotnikowi Michałowi Zielińskiemu od uderzeń gumowymi pałkami otworzyły się rany na plecach. Władysław Mastek, były poseł na Sejm RP, wprawdzie wydostał się na wolność, ale zaraz potem zmarł z wycieńczenia. Osiemnastoletni Czesław Doroszewicz, uczeń kowelskiego gimnazjum, którego aresztowano w sierpniu 1940 roku za działalność w tajnej organizacji, został zbity do nieprzytomności, po czym ocucony i napojony płynem, po którym utracił pamięć i zdolność myślenia. Odurzonemu Sowieci podsunęli do podpisu zeznania obciążające wielu ludzi, których zamierzali aresztować. Zaraz potem skazano na śmierć samego Doroszewicza.

Wiktora Barańskiego natomiast, maszynistę kolejowego z Kowla, w styczniu 1940 roku zamknięto na cały

eprasa.pl 42e06210b5

tydzień w karcerze. Miejscem jego udręki stał się zaułek pod schodami, gdzie panowało przejmujące zimno, a on pozbawiony czapki, w cienkiej bluzie, czuł, że powoli zamarza. W tym samym karcerze odbywały się różne egzekucje więzienne, stamtąd dochodziły „okropne ryki rzężenia", krzyki torturowanych kobiet, a nawet dziecięce głosy... Nagminnym zachowaniem było bezczeszczenie słowem przez Sowietów wszystkiego, co wiązało się z Polską. „Już wasza taka a taka Polsza propała i nigdy nie powstanie" – powtarzał z satysfakcją człowiek sowiecki.

Terror we Lwowie

We wrześniu 1939 roku „Lwów był [...] symbolem całej Polski – miastem, które dokładnie w tym samym czasie zostało oblężone przez dwóch agresorów – III Rzeszę Niemiecką i Związek Sowiecki". 20 września to kresowe centrum polskości okrążyły od zachodu i południa oddziały Wehrmachtu, a od wschodu i północy – Armia Czerwona. Ostatecznie po dziesięciodniowej obronie dostało się ono w ręce Sowietów.

Gdy do Lwowa dotarli Iwan Sierow – sowiecki komisarz bezpieczeństwa państwowego oraz najbliższy współpracownik Berii – Wsiewołod Mierkułow, w mieście zapanował okupacyjny terror. Do 1 października 1939 roku aresztowano 3914 osób uznanych za „antysowiecki element", w tym wysokich rangą wojskowych, przedstawicieli kadry kierowniczej policji, żandarmerii i Straży Granicznej, pracowników polskiej administracji, działaczy politycznych, ziemian i przemysłowców. Listy osób przeznaczonych do aresztowania były już dawno gotowe, skrupulatnie przygotowane na podstawie materiałów wywiadowczych Pogranicznych Wojsk NKWD. Wśród pojmanych znalazły się osoby wybitne i zasłużone dla Rzeczypospolitej. Jeszcze we wrześniu aresztowano gen. dyw. Kazimierza Dzierżanowskiego, walczącego o Mińsk i Bobrujsk z bolszewikami w 1920 roku. 3 października uwięziony został gen. dyw. Mieczysław Linde, obrońca Lwowa w 1919 roku i uczestnik wojny polsko-bolszewickiej. Do lwowskich Brygidek trafił ppłk piechoty Bronisław Mikołaj Szczyradłowski, zastępca dowódcy obrony Lwowa z 1939 roku oraz płk Jan Jordan-Rozwadowski, pracownik Wojskowego Biura Historycznego, współtwórca lwowskiej Straży Obywatelskiej. W więzieniu przy ul. Zamarstynowskiej zamknięto dr. Wiktora Nechay, wybitnego geografa i geologa, a także Wiktora Chajesa, działacza niepodległościowego, twórcę Muzeum Żydowskiego we Lwowie...

Kapitana Mariana Hełm-Pirgo zatrzymano 10 grudnia 1939 roku. Był inżynierem, po wybuchu wojny kierował budową schronów i rowów przeciwlotniczych we Lwowie. Dzielnie trwał na swym posterunku w czasie obrony miasta, a gdy opanowali je Sowieci i aresztowano 800 polskich oficerów, i on podzielił ich dramatyczny los. Od tego momentu czekała go „półtoraroczna wędrówka po więzieniach bolszewickich" – we Lwowie, Chersoniu, Dniepropietrowsku, Niżynie, Charkowie, Czelabińsku i Swierdłowsku. Oskarżony o działalność kontrrewolucyjną i nielegalne posiadanie broni został skazany zaocznym wyrokiem tzw. „trójki" NKWD w Moskwie na pięć lat przymusowych robót.

Wspominał potem, że warunki życia w sowieckich więzieniach „dalekie były od zasad jakiegokolwiek człowieczeństwa". Straszna ciasnota, głód, smród, roje insektów, brak należytej pomocy lekarskiej, nękanie nocnymi przesłuchaniami i nieustannymi rewizjami, wszystko to zdawało się współtworzyć jakiś celowy system „gnębienia i wygłodzenia na śmierć", tym bardziej że zabroniono rodzinom uwięzionych wysyłania dla nich paczek z żywnością. Marian wielokrotnie słyszał krzyki bitych i torturowanych, oglądał tych, którym poodbijano nerki i wybito zęby. Sam ucierpiał, pobity dotkliwie podczas transportu więźniarką z Chersonia do Dniepropietrowska. W kolejnych więzieniach przenoszono go z celi do celi, najczęściej w obrębie lochów, w urągających wszelkim zasadom warunkach sanitarnych. Zdarzało się, że w tych samych celach zamykano polskich więźniów z budzącymi grozę osobnikami albo też wpuszczano do nich ludzi umysłowo chorych, którzy, zdobywszy kawałek szkła, byli w stanie rzucić się na współwięźniów.

Najbardziej dramatycznym etapem więziennej odysei Mariana był jego pobyt w lwowskich Brygidkach, a potem straszliwe więzienie w ukraińskim Niżynie, gdzie nawet strażnicy byli tak obdarci i wynędzniali, że okradali więźniów z ich głodowych racji.

Mechanizm zbrodni

Zbrodnicza uchwała, jaką szef NKWD Beria przedstawił Stalinowi, jednogłośnie przyjęta przez Politbiuro 5 marca 1940 roku, mówiła nie tylko o zamordowaniu 14,7 tys. polskich jeńców wojennych, lecz także o zgładzeniu 11 tys. obywateli Rzeczypospolitej, aresztowanych i przetrzymywanych przez Sowietów w tzw. zachodnich obwodach Ukrainy i Białorusi. O tym, którzy więźniowie znajdą się ostatecznie na listach śmierci, decydowała trójka najwyższych funkcjonariuszy NKWD: Wsiewołod Mierkułow, Bachczo Kobułow i Leonid Basztakow. Strzałem w tył głowy Sowieci uśmiercali „członków różnorakich kontrrewolucyjnych organizacji, obszarników, fabrykantów, oficerów, urzędników i uciekinierów", czyli tych, którzy, chcąc się wydostać spod okupacji niemieckiej na tereny zajmowane przez Armię Czerwoną, zostali schwytani podczas przekraczania niemiecko-sowieckiej granicy. Jednocześnie dążono do ujęcia jak największej liczby oficerów Wojska

eprasa.pl 42e06210b5

Polskiego, którzy podczas działań wojennych nie zostali wzięci do niewoli. Beria oskarżył ich o działalność w „antysowieckiej konspiracji", w „szeregu kontrrewolucyjnych organizacji powstańczych" na terenie zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi. Sierow natomiast w specjalnym raporcie z listopada 1939 roku informował Moskwę o tym, że „oficerowie gromadzą się na nielegalnych zebraniach, planują także ucieczki do Rumunii, na Węgry, Litwę oraz do Francji, jakoby w celu formowania tam »polskich legionów« do zbrojnej napaści na Związek Sowiecki". Miesiąc później przeprowadzono na Kresach akcję aresztowań kadrowych oficerów polskiej armii. Do 3 grudnia zamknięto w więzieniach Zachodniej Ukrainy 1057 oficerów Wojska Polskiego.

Raptem po trzech tygodniach od uchwalenia zbrodniczej decyzji Politbiura o wymordowaniu ponad 25 tys. polskich obywateli, Beria wydał rozkaz nakazujący przetransportowanie 3 tys. przetrzymywanych w zachodnich obwodach Ukrainy i takiej samej ilości z obwodów zachodniej Białorusi do więzień w Kijowie, Charkowie, Chersoniu i Mińsku, gdzie ostatecznie śmierć z rąk stalinowskich oprawców poniosło 7305 osób.

Na Ukraińskiej Liście Katyńskiej znalazło się 3435 nazwisk polskich obywateli zamordowanych przez NKWD w 1940 roku na terenie sowieckiej Ukrainy. Było wśród nich: 480 wojskowych, ponad 500 policjantów, około 100 sędziów i prokuratorów, 50 ziemian, 35 adwokatów i kilkudziesięciu pracowników administracji państwowej i samorządowej. Na Białoruską Listę Katyńską złożyły się natomiast listy dyspozycyjne zawierające nazwiska 3870 obywateli polskich trzymanych przez NKWD w więzieniach sowieckiej Białorusi i zamordowanych w 1940 roku najprawdopodobniej w Mińsku. Lista nie została do tej pory ujawniona, choć czynione były starania o jej uzyskanie, a także częściowe odtworzenie. Białoruska Lista Katyńska stanowi jedną z największych tajemnic Zbrodni Katyńskiej.

▶ Bykownia. „Bliźniacza siostra Katynia"

Egzekucje wyroków śmierci w Kijowie, jak pisze Sławomir Kalbarczyk, przebiegały w następujący sposób: „Więźniów [...] dowożono windą z cel do specjalnego pomieszczenia, służącego do przeprowadzania egzekucji. Tu skazaniec był odwracany twarzą do ściany i zmuszany do uklęknięcia. Następnie przyginano mu głowę do dołu, a stojący za nim oprawca oddawał strzał z pistoletu w potylicę. W ten sposób, podczas egzekucji odbywających się wyłącznie w nocy, tracono od 100 do 150 więźniów".

Zwłoki pomordowanych w kijowskim więzieniu składano w lesie w okolicy wsi Bykownia. Na wydzielony teren o wymiarach 200 na 200 m, ogrodzony wysokim na ponad dwa i pół metra parkanem, od 1937 roku przywożono samochodami ciężarowymi trupy ofiar stalinowskiej Wielkiej Czystki. Od tego momentu aż do lata 1941 roku ciężarówki nieustannie kursowały między więzieniem Łukianowskim w Kijowie a Bykownią.

Jeden z badaczy mrocznych tajemnic bykowniańskiego lasu, S. Kisielow, wspomina, że przybył tam w celu wyjaśnienia prawdziwych przyczyn zagłady pomordowanych. Towarzyszyli mu działacze Towarzystwa Ukraińskiego „Memoriał" I. Riezniczko i L. Tanjuk, a także G. Michajluk, przewodniczący Rady Miejskiej Uczestników Oporu Antyfaszystowskiego, i W. Czerińko, przewodniczący nieformalnej organizacji bykowniańskiej „Nierawnodusznyje". Kisielow twierdzi, że „wiedzą oni wiele o tym lesie – rodzonym bracie białoruskich Kuropat [230 000 pomordowanych pod Mińskiem, za sprawą Canawy], osobiście znajdowali jeszcze dziś walające się pod sosnami czaszki; poczynając od lat sześćdziesiątych jacyś niegodziwcy urządzili tu kopalnię złotych zębów, obrączek. Lecz to, co usłyszeliśmy od świadków mieszkających w Bykowni przed wojną – potwierdziło w pełni najśmielsze przypuszczenia". Jednym z nich jest motorniczy D. Makarenko, który dobrze pamięta, że jeszcze przed wybuchem wojny do Bykowni przywożono samochodami trupy, które składano za zielonym parkanem. Gdy w 1943 roku Niemcy rozebrali parkan do ostatniej deski, oczom Makarenki ukazały się ludzkie czaszki. „Strzelano do nich z tyłu, w dodatku tak, że otwór wejściowy jest, a wyjściowego nie ma". Taki jednorazowy strzał, wymierzony tylko w jeden punkt potylicy, tak iż „kula z głowy nie wychodzi", sprawiał, że rozstrzelany wciąż jeszcze żył, był tylko sparaliżowany. Wrzucany żywcem do dołu, umierał dopiero po paru godzinach, a czasem nawet dniach.

Niedługo po tym, jak Niemcy 20 września 1941 roku zdobyli Kijów, odkryte zostały przez nich w lasach Bykowni zakopane w dołach śmierci zwłoki ofiar NKWD. Wtedy też przyprowadzili w to miejsce ludzi z wioski jako świadków zbrodni. „No i poszliśmy, poszłam i ja – opowiada A. Korchowa. – Kiedy tam przyszliśmy, patrzymy – dół wielki, nienakryty ziemią. I w tym dole, na wierzchu leżała kobieta: tak, z odrzuconą ręką, dobrze ubrana. Miała na sobie szal koloru cytrynowego. Trup był świeży, tylko trochę przysypany ziemią. Odkopaliśmy go. W dole byli jeszcze [inni] ludzie – cywile. To widziałam".

Wspomniany już Makarenko przypomina sobie również, że w 1973 roku w bykowniańskim lesie pojawili się żołnierze w maskach, zebrali czaszki i złożyli je w skrzyniach. „Skrzynie te przestały w lesie cały czas,

eprasa.pl 42e06210b5

wielu mieszkańców Bykowni widziało je. Ile tam było głów – widocznie tyle, co napisano na pomniku".

Dzisiejsza Bykownia to nekropolia ofiar sowieckiego terroru. „Wszędzie dookoła – jak opisuje to miejsce Izabella Sariusz-Skąpska – drzewa obwiązane ukraińskimi »rucznikami«, pięknie haftowanymi na czerwono i na niebiesko. I drzewa jak pomniki, jak nagrobki, bo na nich umieszczono dziesiątki, może nawet setki tabliczek epitafijnych. [...] Amatorskie wiersze. Modlitwy za ofiary i przekleństwa wobec oprawców. Głosy, głosy, głosy...". W 2012 roku otwarto w Bykowni Polski Cmentarz Wojenny – „czwarty cmentarz katyński", powstały dzięki staraniom Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, kierowanej od 2010 roku przez Andrzeja Kunerta. Szczątki Polaków złożone są w zbiorowej mogile przykrytej leżącym krzyżem, a na ścianie pamięci wyrytych zostało 3435 nazwisk pomordowanych. „Bykownia długo broniła ujawnienia prawdy, że wśród pochowanych tu ofiar stalinowskich są Polacy – pisze Sariusz-Skąpska, a przecież „tu leżą obywatele II Rzeczypospolitej, skazani bez postawienia zarzutów i zabici bez sądu mocą osławionego rozkazu z 5 marca 1940. Byli jeńcami wojennymi, nocami wyciągano ich z domów na Kresach, aresztowano i więziono na Zachodniej Ukrainie. Potem »dołączono« do listy katyńskiego mordu. 3435 Ofiar Zbrodni Katyńskiej".

Polski ślad w Kuropatach

Ciała ofiar zbrodni katyńskiej zamordowanych na sowieckiej Białorusi potajemnie składano w Kuropatach pod Mińskiem. Było to leśne uroczysko położone na wzniesieniu, nazwane tak od pokrywających je wiosennych kwiatów – jaskrów (gwarowo kurapaty – ślepokury), ulubione miejsce wypoczynku mieszkańców Mińska. W 1937 roku wydzielono z tej leśnej głuszy obszar o powierzchni 10–15 ha, który odgrodzono od świata wysokim, trzymetrowym drewnianym płotem i obwiedziono drutem kolczastym. Teren, na który nikt nie mógł wejść, pilnowany był przez strażników z psami. „Według świadectw mieszkańców okolicznych wsi – jak piszą Andrzej Przewoźnik i Jolanta Adamska – w latach 1937–1941 codziennie odbywały się tu egzekucje, początkowo nocami, potem również w dzień. Skazańców przywożono samochodami z Mińska, traktem nazywanym »drogą śmierci«". Zwłoki ofiar wrzucane były do wcześniej wykopanych dołów. Cmentarzysko w Kuropatach założone zostało, podobnie jak w Bykowni, w okresie, gdy rozpoczęła się likwidacja »elementów antysowieckich« i »operacja polska« NKWD. Obok Białorusinów, Rosjan i osób innych narodowości, spoczywa na nim wielu Polaków, rozstrzelanych w drugiej połowie lat 30. »za przynależność do agentury polskich organów wywiadowczych i agitację antyradziecką«, za »przynależność do POW«, za »szpiegostwo na rzecz Polski«". Zgodnie z rozkazem Berii z 22 marca polskich więźniów transportowano do Mińska, prawdopodobnie do centralnego więzienia przy ul. Wołodarskiego i do wewnętrznego więzienia NKWD przy ul. Urickiego. Po dokonanych na nich mordach, trupy wywożono do Kuropat.

Po zakończeniu II wojny światowej władze sowieckie dążyły do tego, by Kuropaty zostały zapomniane, a wszelkie ślady zbrodni zatarte. W związku z tym na przełomie lat 50. i 60. „część dołów śmierci opróżniono, posadzone zostały nowe drzewa", a przez ten obszar przeprowadzono obwodnicę. Podczas jej budowy „maszyny wyrzucały ludzkie czaszki i kości. Na odciętej drogą części wybudowane zostało osiedle mieszkaniowe". Dopiero w 1988 roku powstała komisja rządowa Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, której zadaniem było „wykryć tajemnicę 500 nieznanych mogił na wschodnim skraju Mińska". W wyniku podjętych prac badawczych ujawniono 510 rozpadlin różnej wielkości. Z rozkopanych ośmiu dwie były puste, a w pozostałych odnaleziono „szczątki 356 osób, ponadto fragmenty obuwia i odzieży oraz przedmioty osobiste zamordowanych [...]. Zbadano też 311 czaszek lub ich fragmenty wydobyte z grobów i na 222 wykryto uszkodzenia od broni palnej [...]. W 192 wypadkach strzelano w tył głowy, w 26 – w skroń". Andrzej Przewoźnik i Jolanta Adamska podają, że w Kuropatach spoczywa nie mniej niż 30 tys. osób, choć, jak podkreślają, według archeologa Zianona Paźniaka, lidera organizacji opozycyjnej Białoruski Front Narodowy, liczba ofiar sięgać może nawet 250 tys. Z odkrywanych dołów śmierci wydobyto też wiele przedmiotów, świadczących o tym, że należały one do Polaków. Oto na przykład grzebień z wyrytymi słowami: „Ciężkie minuty więzienia. Mińska 25.04.1940. Myśl o was doprowadza mnie do rozpaczy", dalej dwa srebrne medaliki z wyobrażeniem Matki Bożej Ostrobramskiej i Częstochowskiej czy emaliowany kubek z napisem „Warszawa".

W październiku 1989 roku na cmentarzysku w Kuropatach wzniesiono wysoki, drewniany krzyż i odprawiono pierwsze nabożeństwo w intencji ofiar zbrodni, a na szczycie wzgórza ustawiono głaz z napisem zapowiadającym wzniesienie w przyszłości pomnika ku czci pomordowanych w latach 1937–1941. Z czasem na głazie namalowano ikonę „Matki Bożej Kuropackiej wszystkich niewinnie rozstrzelanych" z wyrytymi słowami: „Ofiarom stalinizmu" oraz zaczerpniętym z Biblii wersetem: „Jeśli wasze grzechy będą jak szkarłat, jak śnieg wybieleją" (Iz, 1, 18). ■

_____

Źródła: A. Przewoźnik, J. Adamska, „Katyń. Zbrodnia, prawda, pamięć", Warszawa 2010; S. Kalbarczyk, „Ukraińska Lista Katyńska", „Biuletyn IPN" 2010, nr 4; „Bykownia. Cień Katynia", fot. T. Kretschmer; narracja I. Sariusz-Skąpska, Warszawa 2015; Z.J. Peszkowski, S.Z. Zdrojewski, „Kijów – Bykownia", Łódź 1999.

eprasa.pl 42e06210b5

Ewa Polak-Pałkiewicz

Wszystkie miłości Iłłakowiczówny

Była wielką pięknością i prawdziwą damą. Znała biegle sześć języków. W swoim czasie uznana za „najelegantszą Polkę". Cieszyła się sławą wybitnej poetki i należała do elity towarzyskiej przedwojennej Warszawy. Jako „sekretarz" Marszałka miała czytać i odpowiadać na listy, jakie przychodziły codziennie do Józefa Piłsudskiego. Wczytywała się zatem codziennie w niezliczone skargi i prośby, dopominanie się sprawiedliwości, miłosierdzia, zrozumienia, współczucia.

Jako czteroletnie dziecko mała Kazia została osierocona przez matkę, nauczycielkę muzyki i języków z Wilna. Ojciec – adwokat Klemens Zan, syn Tomasza Zana „Promienistego", przyjaciela Mickiewicza – zmarł tragicznie cztery miesiące po jej urodzeniu. Nie założyła nigdy rodziny, choć wielu ludzi ją kochało. Tych, którzy byli dla niej – i dla których sama bywała – „rodziną zastępczą".

Jak twierdzi autorka jej biografii, Joanna Kuciel-Frydryszak, decyzja o tym, by nie zakładać rodziny, była podjęta świadomie; poetka zdawała sobie sprawę, że ze swoim apodyktycznym, pryncypialnym usposobieniem, z silnymi skłonnościami do perfekcji ukochanego człowieka musiałaby krzywdzić. A jednak jako członkini rodziny zastępczej okazywała się prawdziwym wirtuozem.

„Moja stara"

Józefa Grabowska, nazywana przez poetkę Grabosią, była jej gosposią w latach 20. i 30. ubiegłego wieku, gdy Iłłakowiczówna pracowała jako urzędniczka w MSZ-cie, a potem została „sekretarzem" marszałka Piłsudskiego. Słowo gosposia czy służąca w żadnej mierze nie oddaje roli, jaką pełniła przy poetce. Nazywała ją „moją panią", ale bywała jej opiekunką, powiernicą, oddanym przyjacielem. Iłłakowiczówna bezgranicznie ufała tej prostej kobiecie, analfabetce; pisała o niej: „najdroższa w całym moim życiu". Powierzała jej całe swoje mienie, traktowała jak najbliższą rodzinę. Do końca życia pomagała jej materialnie. Gdy we wrześniu 1939 roku została zmuszona do ewakuacji, razem z całym personelem ministerstwa, zostawiła Grabosi swoje mieszkanie na Powiślu. Józefa regularnie nadsyłała do Rumunii listy – raporty (dyktowane), jaki jest stan mieszkania i czy niczego nie ukradziono. Gdy podczas bombardowania Warszawy do „naszego mieszkania", jak pisze, wpadł przez sufit granat i szyby z okien wyleciały, siedziała tam dzień i noc, a potem dopilnowała, by szkody zostały naprawione. „Codziennie rano i wieczorem modlę się, żeby Bóg dał, żeby Pani szczęśliwie wróciła" – pisała.

Dla Iłłakowiczówny przymusowy wyjazd z Polski był potężną traumą, straszliwym upokorzeniem. W rumuńskim Cluj, gdzie pozostała przez wszystkie lata okupacji, nie mogła pozbyć się palącego poczucia wstydu. Wstydziła się, jak pisała, „przed moją starą Grabosią, którą zostawiłam samą w mieszkaniu na Powiślu, przed dozorcą Masłowskim, który zostać musiał, przed skautami i skautkami, co opiekowali się jak Polska długa uciekającym rządem, wartami stali po drogach i w nocy kontrolowali nasze papiery, bladziutcy, rozgorączkowani i nierozumiejący ogromu nieszczęścia, jakie na nich spaść musiało".

Gdy po ośmiu latach spędzonych w Rumunii wreszcie – pokonując niezliczone przeszkody – udało jej się wyruszyć w drogę powrotną do Polski, jednym z największych

fot. NAC

eprasa.pl 42e06210b5

jej zmartwień był brak kontaktu z Grabosią i niepokój o jej los. Wpadła na pomysł – jeszcze będąc poza krajem – by dać ogłoszenie do prasy, może ktoś przeczyta i pomoże odnaleźć przyjaciółkę. Pośrednikiem w tym przedsięwzięciu okazał się znajomy z przedwojnia, Julian Tuwim. Umieścił w jednym z dzienników ogłoszenie-wiersz, zatytułowane „Do mojej Grabosi":

„Szedł rok po roku prędko, niestrudzenie,/ I ot już ósme idzie Boże Narodzenie, / bez Grabosi już ósme święta... Aż strach chwyta.../ Patrzę po listach: ostatnia odkrytka/ od starej była z czerwca, rok czterdziesty czwarty./ Potem już nic. Aż znowu kilka słów zatartych./ Pisze ktoś (luty, rok czterdziesty szósty):/ „Szukać starej Grabowskiej to zabiegi puste,/ Bo starcy po schroniskach, proszę drogiej Pani,/ Przez Niemców byli w pewien dzień wymordowani"./ Napisał raz i – zamilkł. Nikt więcej nie pisze/ I kraj jest jak fortepian o niemych klawiszach.

A ja nie wierzę. Moja stara – żywa. Nie wie, gdzie jestem/ Więc się nie odzywa./ Dlatego proszę wszystkie w Polsce pisma,/ Niech wydrukują to, co teraz wyślę,/ Tak żeby wszędzie w kraju jasno doszło,/ Że jestem w mieście Kluż (dawniej Kolozsvár)/ I że niech pisze moja dobra stara/ Pod numer piąty ulicy Ciparu./ [...] A teraz poczta niechaj list przynosi/ Do mnie tęskniącej od mojej Grabosi".

Trudno dziś sobie podobną sytuację wyobrazić, ale w tuż powojennej Polsce wszystko było możliwe (nazwisko Iłłakowiczówny miało wielki blask): Grabosia została błyskawicznie odnaleziona. „Najdroższa moja Grabosieńko!" – pisała uszczęśliwiona poetka i tłumaczyła, dlaczego jej powrót do kraju się przedłużał – „Jestem dość obdarta, buty mam zużyte, brak futra i kaloszy...", sygnalizowała od razu rzeczowo, „ludzie, którzy by mi dopomogli, wymarli, albo się rozproszyli... Ludzie są tutaj bardzo dobrzy [...] łagodny to i uprzejmy naród, a młodzież niezwykle zdolna: prawdziwa to przyjemność uczyć ich. Serca mają tak dobre, że aż za dobre. I Węgrzy, i Rumuni są daleko od nas weselsi. Łatwiej się cieszą i ogromnie lubią się bawić. Co smutne – tego nie lubią. [...] Myślę, Grabosiu moja, dużo bardzo o śmierci, do której ostatecznie wszyscy zdążamy i która będzie bardzo wielkim wypoczynkiem...".

Gdy zamieszkała po wojnie w Poznaniu, zabierała do siebie z podwarszawskich Marek starzejąca się Józefę. Zaciągała ją do muzeów, na koncerty, do teatru (skąd na prośbę Grabosi zwykle wychodziły wcześniej, bo jak mówiła stara służąca: „Wiadomo jak to się wszystko skończy", a nie chciała, będąc ze „swoją panią", wprawiać się w nastrój pesymistyczny).

▶ Uprawiać belferkę? To straszne!

O uczniach, których Kazimiera Iłłakowiczówna uczyła języków – z reguły byli to chłopcy w wieku gimnazjalnym – wyrażała się, w listach do siostry Barbary Czerwijowskiej, „moi synowie". Po raz pierwszy musiała sięgnąć po tę formę zarobkowania w Rumunii, żeby przeżyć, i tu szybko uzyskała renomę utalentowanej, choć bardzo wymagającej nauczycielki. Godziny spędzone z uczniami przy stole niewiele miały wspólnego z typowymi korepetycjami. Cluj zresztą też nie był wielkomiejskim ośrodkiem – był miastem prowincjonalnym, z owcami przechodzącymi przez rynek, z mnóstwem przydomowych sadów, ogrodów i ogródków.

Czternaście razy podczas spędzonych tu ośmiu lat zmuszona do przeprowadzki, poetka udzielała lekcji w najdziwniejszych miejscach (w klinice okulistycznej, gdzie musiała szukać schronienia pod koniec wojny, jej pokojem lekcyjnym był gabinet rentgenowski). Na przełomie 1943 i 1944 roku w ciągu tygodnia dawała pięćdziesiąt godzin lekcji. „Jakie to dziwne uczyć »Topielca« Puszkina w węgierskiej piwnicy po cichu, żeby nie przeszkadzać modlącym się. Rosyjski, potem dwie godziny angielskiego i trzy francuskiego, z językiem wykładowym na przemian rumuńskim, węgierskim i niemieckim" – notowała.

Gdy przyszedł wreszcie dzień wyjazdu do Polski, na peronie żegnał ją jeden z jej najzdolniejszych uczniów, przemądrzały Trajan, przyszły lekarz. Syna starosty, Nikiego, uczyła angielskiego. Był molem książkowym i niezwykłym erudytą, przed lekcją z nim wypijała filiżankę mocnej kawy. Lekcje poświęcone były nie tylko angielskiemu, w czasie konwersacji spacerowali po uliczkach Cluj. Chłopiec chłonął spojrzenie swojej nauczycielki na świat, przyrodę, ludzi. Po kilku latach, gdy został zmuszony do opuszczenia Cluj, napisał: „Nie wiem, czy Pani zauważyła, ale starałem się nieraz podpatrzyć, na co Pani spogląda, co Pani spostrzega; na horyzoncie czy na drodze, czy w lesie, czy pośród napotkanych ludzi. Byłem pewien, że uda mi się odkryć tę tajemnicę i że wówczas będę tak żywo czuł jak Pani...". Była mocno poruszona, gdy poprosił ją któregoś dnia, by zamieszkała z nim, gdy będzie już miał rodzinę, i opiekowała się jego dzieckiem. „Po czterech latach, kiedy miasto znów w należało do Rumunii, zjawiła się u poetki młoda dziewczyna. Chciała, aby nauczycielka ją poznała, bo być może kiedyś zamieszkają razem. Była to narzeczona Nikiego, który zamierzał dotrzymać swojej obietnicy" (Joanna Kuciel-Frydryszak).

Uporządkowana aż do przesady, narzucająca sobie ścisłą dyscyplinę codziennych obowiązków, czerpiąca równowagę psychiczną z drobiazgowego zachowywania porządku w swoich rzeczach i „papierach", nawiązała z uczniami szczególną relację. Była nie tylko nauczycielką, lecz także kimś w rodzaju przewodniczki życiowej. „Moi dwaj synowie, Trajan (Rumun) i Adam (Węgier) – pisała w sierpniu 1947 roku do siostry – są teraz jednocześnie tutaj i obaj uczą się po polsku [...]. Obaj są nadzwyczaj muzykalni i ja przy nich się umuzykalniam [...] chłopcy na tyle się zeszli, że grają Mozarta i Beethovena na cztery rę-

eprasa.pl 42e06210b5

ce... Nie rozumiem, jak będę bez nich żyła, liczę na swoją istną maestrię w zapominaniu".

W Poznaniu, po wojnie, gdzie także podjęła pracę nauczycielki języków, stała się obiektem złośliwych komentarzy. Koledzy pisarze czuli się w PRL kimś o wiele znaczniejszym niż zwykli śmiertelnicy, ważniejsi niż przed wojną, gdy im nie pochlebiano, nie rozdawano mieszkań i nie zapewniano apanaży. Mało też kto rozumiał, że ona po prostu bardzo lubiła uczyć. „Taki talent, taka piękna twórczość i – uprawiać belferkę!" – wykrzykiwał Aleksander Rogalski, pisarz i krytyk z Poznania, gdy Iłłakowiczówna pokazała mu swoje pomoce naukowe, „[...] to straszne! Wszystko się we mnie buntuje przeciw temu!". A dla niej harówka nawet z mniej zdolnymi uczniami była źródłem niesłabnącej radości; uważała też, że ma talent pedagogiczny. „Czasem, jak mój uczeń przemówi, to jakby kamień przemówił" – mówiła, nie bez dumy. Jednym z jej „sukcesów pedagogicznych" był Józef Ratajczak, przyszły poeta, pisarz i krytyk. Ich przyjaźń przetrwała lata, pomagali sobie wzajemnie.

Matka Zofia

Najważniejszą w jej dzieciństwie osobą, najmocniej kochaną i najgoręcej opłakiwaną, gdy odeszła, była Zofia Buyno, zamożna właścicielka ziemska z Inflant. To ona zaopiekowała się pięcioletnią Kazią. Zaraz po śmierci matki Barbary Iłłakowicz, przygarnął ją brat matki, ale w jego rodzinie dziewczynka czuła się obco, była zaniedbywana. Niepogodzona z sytuacją napisała nieporadnymi zdaniami rozpaczliwy list do innego swego krewnego, wuja ze Śniegów. Brudną i zawszoną odebrał wuj i przywiózł do siebie. „I wtedy właśnie u swojej znajomej, pani Żabiny w Krasławiu, arystokratka, Zofia Buyno z Plater-Zyberków zauważa fotografię dziewczynki w sukience w szkocką kratę. Gdy się dowiaduje, że dziecko jest sierotą, postanawia zabrać je do siebie. [...] Gdy Kazia przyjeżdża do majątku w Baltyniu, Zofia Buyno czeka na ganku obrośniętym winem, pijąc herbatę przy wiklinowym stoliku. Nie uśmiecha się na widok dziecka, a nawet lekko sznuruje usta. [...] Chociaż jest mężatką, zamiast z mężem hulaką Tadeuszem Buyno woli żyć sama, opiekując się sierotami (dzieci mieć nie mogła, jedyne urodziło się martwe)". Ta pozornie oschła i kostyczna wielka pani, w istocie osoba subtelna i pełna łagodności, okazała się niezwykle czułą matką zastępczą i mądrą wychowawczynią. Mając wiele doświadczeń w opiece nad dziećmi, szybko odkryła w Kazi nie tylko wyjątkową osobowość, lecz także niepospolite zdolności i zalety charakteru. Od początku przyzwyczajała ją do dyscypliny codziennego życia, niepobłażania sobie, niedogadzania i stawiania sobie wysokich wymagań, za co Iłłakowiczówna była jej do końca życia wdzięczna. Po czterech latach wspólnego życia Kazia zaczęła zwracać się do niej „mamo". Zofia wkładała ogromny wysiłek w jej wychowanie i edukację, zatrudniając cały zastęp bon i nauczycielek, nie zaniedbując wychowania moralnego, rozwoju fizycznego, nie szczędząc kosztów. Podsuwała jej książki w kilku językach ze swojej bogatej biblioteki, rozmawiała z nią na wszystkie tematy, sama wygłaszała pogadanki o historii Polski.

Języki obce, które stać się miały wkrótce jej mocną stroną, Kazia chłonęła także, obcując z pracownikami dworu przybranej matki. Oprócz międzynarodowej grupy nauczycielek był tam „ogrodnik Łotysz, z którym rozmawia się po niemiecku, służąca Matylda – Łotewka i bony Berta, Elza i Tina – Bałtyjki, co nadaje domowi ciekawy koloryt, wywiera wpływ na zwyczaje...".

„W noc noworoczną piło się pącz i jadło szpekuchy, z Dyneburga przywoziło się »Cischen«, parówki, a na moje urodziny piekło się »kręgiel«. Na Boże Narodzenie śpiewałam »Stille Nacht, heilige Nacht«, czytałam po niemiecku zachwycające bajki Andersena..." « wspominała Iłłakowiczówna.

Zofia Buyno bardzo dbała o wychowanie religijne Kazi, która wraz z siostrą Barbarą pierwszą komunię otrzymała z rąk ks. Edwarda Roppa, późniejszego biskupa wileńskiego, jej brata ciotecznego. Przybrana matka Kazi utrzymywała zarazem jak najlepsze stosunki z całą wielonarodowościową i wieloreligijną społecznością.

Spędziły razem ponad dziesięć lat, najpierw w pałacu w Baltyniu, potem w kolejnym majątku Zofii, w Stanisławowie (także w Inflantach) i w Warszawie, gdzie Kazia uczyła się w gimnazjum Cecylii Plater-Zyberkówny, kuzynki Zofii. Wreszcie w Szwajcarii.

Zofia Buyno sprowadziła do siebie także siostrę Kazi, by dziewczynki mogły razem dorastać. Barbara nigdy jednak nie traktowała domu opiekunki jako własnego, a po latach surowo osądziła jej środowisko. „Pani Zofia Buyno, osoba wielkiego serca i światłego umysłu, przerastała pod wieloma względami swoją »kastę«. Obie wiedziałyśmy o tym doskonale i na tym polegał główny dramat dziecinnych lat Kazi. Dziewczynka czuła się umiłowanym, wybranym dzieckiem pani Zofii, ale większość Platerów tego nie uznawała. Raniło to dumę i ambicję Kazi i budziło pewne rozgoryczenie i poczucie poniżenia". Jednak dla poetki ludzie z tej rodziny pozostali na zawsze wzorem szlachetności. Po II wojnie starała się pomagać każdemu z Platerów, z którym udało jej się nawiązać kontakt.

Więź między Zofią i Kazią nie była typową więzią między opiekunką i podopieczną. Silne uczucie oparte na zaufaniu, wdzięczności, docenieniu wzajemnych zalet łączyło kresową damę i pełną fantazji panienkę, pomimo niezliczonych wyskoków lojalną i oddaną Zofii – aż do czasu młodzieńczego buntu, gdy jako szesnastolatka postanowiła opuścić ten bezpieczny, zamożny, pełen ciepła dom i samotnie zakończyć edukację gimnazjalną, rozpoczętą w Warszawie. W 1905 roku pojawiła się w Petersburgu, w szkole polskiej sióstr miłosierdzia i tu zdała maturę. Wkrótce stawiała pierwsze kroki w życiu literackim, za-

eprasa.pl 42e06210b5

czynała być publikowana i doceniana. Spędziła jeszcze z matką Zofią jakiś czas we Fryburgu, zgodziła się podjąć opłacane przez panią Buyno studia w Oksfordzie, ale jej bunt i tak niespodziewanie zrodzony uczuciowy chłód nie mijały. Do końca życia wyrzucała sobie potem, że opuściła „matkę Zofię" pod koniec jej życia, że zdążyła tylko być przy jej śmierci, że ją zawiodła.

„[...] odeszłam z jedynego domu, który chciał być moim, od jednego serca, przy którym znalazłam całkowite zaspokojenie" – pisała. Zofia mieszkała wtedy w Pohulance Dyneburskiej nad Dźwiną, wkrótce przeniosła się z angielską damą do towarzystwa do Fryburga.

Najgłębiej strzeżoną tajemnicą z tego czasu pozostała rana, jaką wywołała u Iłłakowiczówny wiadomość przekazana przez nauczycielkę w szkole Zyberkówny – w sposób pozbawiony wszelkiego taktu i delikatności – że jest nieślubnym dzieckiem. Wtedy też rozpoczął się jej kryzys duchowy. Straciła wiarę na dziesięć lat. Odzyskała ją dopiero w czasie I wojny, gdy była sanitariuszką (odznaczona paroma medalami za odwagę) przy polskich oddziałach, w tzw. czołówkach w Rosji. Powalona straszliwą chorobą, dezynterią, stała na skraju śmierci. Uratował ją żydowski lekarz w Mińsku. Ten wojskowy, który, jak pisze autorka biografii poetki, ze zmęczenia ledwo trzymał się na nogach, nie szczędził trudu, by uratować pacjentkę, uważaną w szpitalnych barakach za straconą.

„Bardzo niebezpiecznie jest żyć"

Pracując jako „sekretarz" marszałka Piłsudskiego, ministra spraw wojskowych (w latach 1926–1935), Iłłakowiczówna mogła z bliska obcować z ludźmi, którzy od czasów Legionów wciąż byli na służbie u człowieka, którego nie mogli opuścić, widząc w nim nie tylko osobę opatrznościowego przywódcy państwa, wybitnego polityka, lecz także kogoś podobnie oddanego sprawie Polski jak dawni królowie. Szaleńca niepodległości. To składające się z samych wojskowych otoczenie Marszałka początkowo poetkę mroziło swoją surowością i obyczajami, potem zaś budziło coraz większy szacunek i wzruszało do głębi. Była nie tylko pod wrażeniem, jak ci weterani walk legionowych i wojny bolszewickiej, codziennie na najwyższych obrotach, „płomiennie się zapracowywali", ale dostrzegała w nich heroizm codziennych zmagań z własnymi słabościami, także fizycznymi, które wynieśli z okopów i pól bitwy. „Z mojego nic nieznaczącego, ale wysoko uczepionego miejsca, wyglądali jak mrówki, wlokące ciężary dziesięć razy większe niż one same i walczące z przeszkodami tak wielkimi, że przy nich wzrost ich stawał się karli. Byli zawsze w pogotowiu, nigdy niezmęczeni. Ja nie miałam ich hartu. Byli tak sobą niezajęci, że własne najważniejsze sprawy załatwiali często zupełnie opacznie i szczęście osobiste tracili nieraz przez brak czasu i wdeptywali w nieszczęście, jak ślepi czy głusi pod pociąg".

Byli wśród nich prawdziwi bohaterowie, inwalidzi wojenni, którzy nie korzystali z taryfy ulgowej, choć mogli wybrać wygodne życie, spoczywać na laurach. Nie potrafili jednak nie być na służbie, gdy sytuacja Polski dwudziestolecia daleka była od stabilności. „Iluż z nich dźwigało w sobie z wojny srogie i groźne pamiątki – kule i odłamki, protezy i platynowe blaszki. Krwawili z uciętych kończyn, psuły im się kręgi i wiązania stawów, brakowało zębów, włosów i oczu, zapadali na gruźlicę i różę, trzęsło nimi i wykręcało na różne sposoby. Umierali na serce przy najbłahszej okazji. Te ich motory były zajeżdżone na śmierć" – wspominała poetka. Widząc to codziennie, Kazimiera nie była w stanie korzystać z uprzywilejowanej pozycji, jaką dawało jej stanowisko „sekretarza". Gdy na przykład została poproszona o dołączenie do grona prezydenta i Marszałka pijących herbatę na kanapie w reprezentacyjnym salonie ministerstwa – na użytek Kroniki Filmowej – uciekła jak tylko mogła najszybciej, nie mogąc znieść, że gdy ona tak siedzi i popija herbatkę, oni, oficerowie zgromadzeni w salonie, stoją. Dziwaczka? Naiwne dziewczę ze żmudzkiej kniei? Znerwicowana panna, która nie rozumie co to przekaz medialny i ile znaczy kobiecy uśmiech do kamery w takiej chwili? Nic z tych rzeczy. „Iłła" była po prostu „nieprzemakalna". Wolała być śmieszna niż zachować się małodusznie. Konwenanse nic dla niej nie znaczyły.

„Chętnie bym kradła..."

Jako „sekretarz" Marszałka miała czytać i odpowiadać na listy, jakie przychodziły codziennie do Józefa Piłsudskiego. Przyszło ich ćwierć miliona. Instrukcja nakazywała dziękować za każda oznakę czci, hołdu, za powinszowanie, upominek; „żadnego biedaka nie pominąć w odpowiedziach, żeby nie myślał, że się go lekceważy" i „uważać, żeby nie odsyłać skrzywdzonego dla załatwienia – do krzywdziciela". Interweniować miała rzadko, tylko po sprawdzeniu wszystkich okoliczności.

Wpadały jej czasem do ręki jakieś nadprogramowe pieniądze, które przeznaczała natychmiast na pomoc, o którą błagano w listach. Nieraz dawali je oficerowie, z którymi pracowała pod jednym dachem. „Porucznika Zaćwilichowskiego trudno mi na tym miejscu nie wspominać jak najcieplej. Był wesół, jak większość ludzi dobrych, żelaznej energii i nieopisanie miłosierny. Ileż razy dał mi środki na dopomożenie wyjątkowej nędzy, na którą nie było skąd wziąć. – Mają dostać hycle, niech pani lepiej weźmie dla biednych – mawiał. Nie wiem jacy to mieli być hycle, grunt, że miałam tę forsę. Byłabym chętnie była zresztą kradła, żebym tylko umiała i miała czas, tak straszną była ta otchłań, nad którą sądzono mi było stać wpatrzonej i bezradnej w ciągu lat dziewięciu. Im dłużej na nią patrzyłam, tym mocniej utrwalało się we mnie przekonanie, że nie jest tu winien żaden rząd i żaden ustrój, ale winien każdy poszczególny człowiek

eprasa.pl 42e06210b5

w swoim kamiennym niedbaniu o drugiego człowieka....". Musiała wczytywać się codziennie w niezliczone skargi i prośby, dopominanie się sprawiedliwości, miłosierdzia, zrozumienia, współczucia.

Dróżnik kolejowy skarżył się, że został wyrzucony z pracy, bo na ścianie w domu powiesił Paderewskiego i Kościuszkę, a nie portret Marszałka. „Chłopi pisali podania, czarne od ziemi i złego tytoniu, że geometra źle ziemię podzielił przy komasacji, że sądy są niesprawiedliwe, że podatków nie mogą płacić, że się spalili, że ich powódź zalała, że nie wiedzą jak głosować. Powoływali się na królewskie nadania i przywileje, pisali bolesnymi, zgrabiałymi kulfonami, albo nadsyłali podania pisane na maszynie, opłacane zastawionymi poduszkami. Cała Polska modliła się do Marszałka chłopskim i babim lamentem – na moje bezsilne ręce". Iłłakowiczówna nie mogła zapomnieć matki młodego Ukraińca zastrzelonego przez policję w czasie próby ucieczki, pod Buczaczem, która szła przez dwa dni piechotą, by jeszcze odnaleźć syna w areszcie, nie wiedząc o jego śmierci. Został jej też na długo w oczach „ten czarny chłop ruski z zawiniątkiem z płótna, którego – zawołana przez żandarma – zastałam wieczorem siedzącego u oficera inspekcyjnego", który przyszedł pieszo spod Łucka. Czekał na posłuchanie u Marszałka, którego nie mógł otrzymać. „Żandarm położył obok niego własną paczkę z jedzeniem. Wetknęłam mu w rękę pięć złotych. Nie podniósł głowy...".

Z tych lat, gdy starała się ludziom pomagać, mogąc uczynić bardzo niewiele lub prawie nic, Iłłakowiczówna wyniosła przekonanie, że zawsze choćby najdrobniejszy kroczek w kierunku drugiego człowieka, by ulżyć jego nieszczęściu, to wypełnienie prawdziwego powołania każdego z nas, ludzi. „Nie zostawiajcie pijanego śpiącego na mrozie, nie bójcie się policji, ani choroby, ani śmieszności, wszy ani utraty dobrego imienia. Bójcie się ludzkiej krzywdy. Że to niebezpieczne?... Cóż, w ogóle – bardzo niebezpiecznie jest żyć".

Zapamiętała, że Józef Beck, Stanisław Zaćwilichowski, Seweryn Sokołowski, Stanisław Próchnicki, Marian Szumlakowski, Zygmunt Wenda nigdy jej nie zawiedli, gdy szukała pomocy dla podopiecznych. Bo mieli „to prędkie, braterskie, chrześcijańskie podejście do nędzy, to nie odwracanie się od niej plecami, które – wierzę – jest najważniejszym punktem w programie walki ze złem".

W obronie poety Bąka

W latach 50., gdy mieszkała w Poznaniu, w sublokatorskim pokoju w starej kamienicy (mieszkanie musiało pomieścić jedenaście osób), jej podopiecznym stał się poeta Wojciech Bąk. Niegdyś jaśniejąca postać środowiska literackiego, kierownik literacki Teatru Nowego i przewodniczący poznańskiego oddziału ZLP, w 1948 roku nagle stał się zawalidrogą, bo nie zamierzał słuchać partii i nie zgadzał się, by spotkania literackie, słynne Czwartki Literackie, były cenzurowane. Został objęty zakazem publikacji, a gdy próbował popełnić samobójstwo, koledzy pisarze z ZLP nagle wyrazili nadzwyczajne zainteresowanie jego mieszkaniem, „uznając, że jego postawa jest aspołeczna, skoro zajmuje dwa pokoje z kuchnią". Decyzja aktywistów z ZLP była natychmiastowa: koledze Bąkowi trzeba zabrać mieszkanie i ulokować go w pojedynczym pokoju; niech jego mieszkanie obejmie kolega, który ma rodzinę (sekundowali tym planom Jerzy Putrament i Leon Kruczkowski). Wojciech Bąk po wyjściu ze szpitala poprosił o paszport, nie widząc możliwości prowadzenia działalności literackiej w PRL. Jego list do Bieruta stał się pretekstem do nowych szykan ze strony ZLP. Uznano, że jest „amoralny", formułuje pod adresem władz „szereg fantastycznych inwektyw" – trzeba go ubezwłasnowolnić i zamknąć w Tworkach. Iłłakowiczówna widząc hucpę zawistnej kliki, zażądała od zarządu ZLP wycofania wniosku o ubezwłasnowolnienie poety. „Wydaje się rzeczą niesłychaną, by grono kolegów zamiast bronić pisarza, przyczyniało się do zaszczuwania go" – pisała. Jej działania odniosły skutek. Przywrócono go do ZLP, przestano wyrzucać z mieszkania, choć nadal nie mógł nic wydrukować. Następnie oskarżano go o szkalowanie Polski na Zachodzie. Iłłakowiczówna wyciągnęła go z aresztu z pomocą pisarki Anny Kowalskiej. Bąk stał się odtąd częstym gościem poetki na Gajowej. Ona z kolei bywała u niego, żeby sprzątać mu i gotować (choć to zajęcie zawsze ją męczyło). Nie mogła jednak mieć wpływu na tragiczne dalsze dzieje poety zamykanego w szpitalu psychiatrycznym, poddawanego elektrowstrząsom, izolowanego od rodziny.

Wtedy, bezradnie patrząc na jego samotność, być może przypominała sobie samotność swojej nagle porzuconej przybranej matki, którą kochała „za mało i stale za późno". I własną, bezbrzeżną samotność wrażliwego dziecka, sieroty, oswojoną w dzieciństwie przez kogoś, kto nie bał się kochać mądrze i z zupełnym oddaniem.

Tęsknię do ciebie stąd!
Przez grzech, przez ciemność, przez błąd
przedzieram się jak dziecko przez olbrzymów
I w biedzie, która mnie smaga,
Tylko mi jedno pomaga
– nić, którą ty w górze trzymasz.
Po tej nitce – takiej znikomej –
Spływa miłość niby rosa po źdźbełku słomy.
„Kolorowe bańki"

■

Kazimiera Iłłakowiczówna, „Ścieżka obok drogi", Warszawa 1939; Joanna Kuciel-Frydryszak, „Iłła. Opowieść o Kazimierze Iłłakowiczównie", Warszawa 2017; Kazimiera Iłłakowiczówna, „Listy do siostry Barbary Czerwijowskiej z lat 1946–1959", Poznań 2015.

eprasa.pl 42e06210b5

Tomasz Łysiak

ŚREDNIOWIECZNA III RZESZA, CZYLI DLACZEGO W 1941 ROKU POJAWIŁ SIĘ CESARZ BARBAROSSA

O świcie 22 czerwca 1941 roku niemieccy żołnierze w okupowanej Polsce obsadzający linię Bugu, usłyszeli rozkaz Adolfa Hitlera, który rozpoczynał „Operację Barbarossa". O godz. 3.15 feerią ognia artyleryjskiego ruszył atak Niemiec na ZSRS. Rudobrody cesarz, symbol tego uderzenia, dał się w historii zapisać przede wszystkim jako najeźdźca dokonujący po kilkakroć najazdów na północne Włochy, toczący zażarte spory z następcami Grzegorza VII, a nie jako zdobywca mitycznego Wschodu. Z jednym ważnym wyjątkiem... Polską, którą dwukrotnie najechał i upokorzył, przyjmując hołdy naszych książąt. Dlaczego więc po cesarza z dynastii Staufów sięgnął przywódca III Rzeszy?

eprasa.pl 42e06210b5

Cesarz Fryderyk (panujący w latach 1152–1190), któremu nadano włoski przydomek Barbarossa (być może w nawiązaniu do rzymskiego władcy, który spalił Rzym i zapisał się w historii jako ciemiężyciel chrześcijan i ludu rzymskiego) – zostawił po sobie wyrazistą pamięć nie tylko w narodzie niemieckim, lecz także w Italii. Jego kolejne najazdy na północne ziemie Półwyspu Apenińskiego, wojny toczone z miastami lombardzkimi, spory z papieżem, koronacja na króla Włoch (w Pawii) i na cesarza (w Rzymie), a wreszcie zniszczenie Mediolanu i potem porażka w emblematycznej dla Włochów bitwie pod Legnano w 1176 roku – uczyniły z niego postać, wokół której zaczęła się budować włoska tożsamość narodowa. Teutońska przemoc, buta, pycha, okrucieństwo – tym zapisał się Barbarossa w dziejach Lombardii. Apogeum owej agresywnej, imperialnej polityki stanowiło owo zniszczenie Mediolanu dokonane w 1162 roku. Fryderyk kazał miasto dosłownie zburzyć do ziemi, spalić, unicestwić. Popiół i zgliszcza, swąd spalenizny, płacz wygnanych rodzin, które utraciły wszystko – domy, majątki, zakłady rzemieślnicze czy stragany – oto, co zostawiał po sobie niemiecki władca pod stolicą Lombardii. Wieki później inny Niemiec, idąc śladem cesarza sprzed tysiąca lat, rozkazał zniszczyć Warszawę. Wolę Hitlera z sierpnia 1944 roku z lakoniczną precyzją przekazał podwładnym szef SS, Heinrich Himmler, wydając dyspozycję, by z miasta „nie został kamień na kamieniu".

„Żołnierski zakon" Himmlera

Zarówno Himmler, jak i Hitler byli zafascynowani średniowieczną historią Imperium Rzymskiego, które wskrzeszali niemieccy cesarze rzymscy. Himmler uważał, że najwybitniejszym niemieckim cesarzem był Henryk I Ptasznik, który w jego pojęciu „w przeciwieństwie do kościelno-chrześcijańskich metod rządzenia Karolingów" wprowadził nowy wzorzec germańskiej wierności i posłuszeństwa (Gefogschaftstreue). „Moim honorem jest wierność" – brzmiała dewiza SS. Himmler utworzył z Schutzstaffel (czyli z SS) swego rodzaju nazistowski zakon rycerski, w którym odwoływał się do tysiącletniej historii Rzeszy. Wierzył wręcz w reinkarnację przodków, dawnych duchów w postaci „nowych rycerzy" Niemiec, nowych herosów germańskiego imperium. W wydanej w 1936 roku książce „SS jako antybolszewicka organizacja bojowa" pisał o powstającym „zakonie żołnierskim". Odwoływał się do dawnych tradycji Zakonu Krzyżackiego, a przecież w obszarze działania kolonizacyjnego Zakonu w średniowieczu był właśnie Wschód, ziemia, która miała stanowić nową przestrzeń życiową dla rasy panów. Gdzie odbywała się przysięga nowych kadetów SS? W katedrze w Brunszwiku, przy grobie księcia Henryka Lwa – księcia Saksonii i Bawarii z dynastii Welfów. To Henryk Lew był bezwzględnym kolonizatorem Meklemburgii i terenów Słowian Połabskich – a trzeba pamiętać, że w XII czy XIII wieku były to jeszcze tereny, na których etnicznie przeważała słowiańszczyzna, dopiero potem dokonał się proces germanizacji.

W SS wprowadzano nową, nazistowską, religię – nazywaną dość ogólnie „wiarą w Boga", ale będącą jakąś swoistą hybrydą chrześcijaństwa i starogermańskich, nordyckich wierzeń. Na przykład chrzest dzieci esesmanów odbywał się w specyficznej przestrzeni: przed portretem Adolfa Hitlera, z „Mein Kampf" zamiast Biblii i ze znakiem swastyki zamiast krzyża. Wypowiadano formułę: „Wierzymy w Boga i posłannictwo naszej niemieckiej krwi, która wiecznie młoda wyrasta z niemieckiej ziemi. Wierzymy w naród, w którym płynie ta krew, i w Führera, którego nam Bóg zesłał". „Gottglaubig" – „wierzący w Boga" – wpisywali w oficjalnych dokumentach esesmani, w okienkach, w których należało podać wyznanie. Na siedzibę SS wybrano stary zamek Wewelsburg, w którym dokonano odpowiednich adaptacji – tak by dowództwo SS mogło się spotykać na sali rycersko-królewskiej, niczym król Artur i rycerze okrągłego stołu.

Sam Himmler miał siebie za reinkarnację albo Henryka Ptasznika, albo Henryka Lwa. Jednak niezmiernie ważne miejsce w tym niemieckim świecie wyobraźni historycznej zajmowli: Fryderyk Barbarossa, jego syn Henryk VI i jego wnuk Fryderyk II o przydomku „Stupor Mundi" („Zadziwienie Świata"). Tych trzech cesarzy rządziło królestwem Niemiec, królestwem Italii i przez całe stulecie – od 1152 roku (gdy koronował się Fryderyk Barbarossa) aż po śmierć jego wnuka, także Fryderyka, w roku 1250. Co takiego było w tych rządach, że zafascynowani nimi wysocy dygnitarze III Rzeszy tak chętnie nawiązywali do ich dziedzictwa?

Mit „świętego cesarstwa"

Fryderyk Barbarossa odszedł z tego świata w roku 1190 w czasie III wyprawy krzyżowej. Utonął w rzece Salef. Niemiecka część wyprawy znalazła się w kłopotach, ale jednocześnie urodziła się legenda. Mit zaczynał szybko przykrywać rzeczywistość. Zanim jednak o micie, skupmy się na faktach – które stały u podstaw zafascynowania Staufem ideologów III Rzeszy. To „Rudobrody" dokonał przełomu w walkach z papiestwem, ustanawiając tak silne podstawy władzy cesarskiej, że monarcha świecki mógł w nich stać się istotną przeciwwagą już nie tylko na polu czysto politycznej rozgrywki o władzę, strefy wpływów, inwestyturę, obsadzanie stanowisk czy dysponowanie regaliami, lecz wręcz w obszarze religijnym, duchowym. Król jako Pomazaniec Boży zyskiwał specjal-

FOT. ARCH.

eprasa.pl 42e06210b5

ną łaskę, stawał się narzędziem w rękach Boga, sprawującym władzę nad ludem, a wręcz (jak to opisał w „Królach cudotwórcach" Marc Bloch) zyskiwał moc quasi-świętego – mógł uzdrawiać ludzi.

Jednym z zasadniczych, a czasem nie do końca dostrzeganych zwrotów, jakie się dokonały w historii średniowiecza, był moment, w którym król niemiecki, a jednocześnie niedawno koronowany cesarz rzymski na zjeździe w Roncaglio w roku 1158 dodał w tekście konstytucji wówczas spisanej słowo „święte" do nazwy „cesarstwa rzymskiego". Gdy świętą była Rzesza (królestwo, imperium), to na jej czele musiał stać uświęcony łaską Bożą władca. Stąd też „zamach" na jedne z najważniejszych relikwii w historii chrześcijaństwa i przeniesienie ich do Kolonii (mowa o relikwiach Trzech Magów, których od czasów Barbarossy zaczęto nazywać Trzema Królami, dla podkreślenia wagi królów w chrześcijańskim uniwersum). Wreszcie Hohenstauf był cesarzem, który rządził twardą ręką, wymagał posłuszeństwa i uważał, że trzeba też bezlitośnie trzymać lejce najbliższemu Niemiec „Wschodowi" – którym była... rozbita wówczas dzielnicowo Polska. Jego wyprawa na tereny naszego kraju w roku 1157 pod pretekstem ujęcia się za Władysławem Wygnańcem „wygnanym" z kraju przez juniorów, stała się przyczynkiem do hańbiącej klęski dwóch książąt piastowskich – Bolesława IV Kędzierzawego i Mieszka III Starego. Barbarossa rozbił swój obóz w Krzyszkowie pod Poznaniem i to tam Piastowie musieli przyjść boso i z mieczem u szyi, by złożyć hołd lenny. Pokój w Krzyszkowie to niemiecki tryumf nad „krnąbrnymi Polakami", kolejny krok w germańskim podbijaniu Wschodu.

Historia zmyślona od początku do końca

Po śmierci Fryderyka w nurtach rzeki kronikarze „wzięli w obroty" jego biografię, szybko dodając do niej wątki mityczne, legendarne, które na stałe miały potem osiąść w świadomości niemieckiej. W XIII wieku zrobiono z niego nieledwie świętego, męczennika, który stracił życie w czasie wojny z niewiernymi. W roku 1519, dwa lata po przybiciu przez Martina Lutra 95 tez do drzwi kościoła zamkowego w Wittenberdze, ukazała się książka anonimowego autora, zatytułowana „Księga Ludowa Cesarza Fryderyka Barbarossy". Była to, jak chciał ów autor, „Prawdziwa Historia Cesarza Fryderyka, Pierwszego tego Imienia, z Długą Czerwoną Brodą, którego Włosi nazwali Barbarossa, Tego, który zdobył Jerozolimę, i który został przez papieża Aleksandra III zdradzony na rzecz Króla Saladyna, który trzymał go w więzieniu przez jakiś czas, oraz w jaki sposób Bundschuh [sztandar cesarski z wizerunkiem buta przewiązanego sznurem] stał się znany w Bawarii". Od razu trzeba wyjaśnić, iż właściwie wszystko, co napisano w tej książce, to wierutne bzdury. Ale kogóż interesują fakty, gdy powstaje legenda? Gdy może przeczytać, że Barbarossa w ogóle nigdy nie utonął w żadnej rzece, tylko umarł „czasowo", zasnął gdzieś w germańskiej ziemi i śpi długim snem rycerza-giganta, który któregoś dnia obudzi się, wstanie, a wówczas Germania odzyska dawną wielkość i świetność.

Już od 1416 roku w okolicy zamku w Kyffhäuser w Turyngii zaczęły krążyć plotki, że cesarz został pochowany gdzieś w pobliżu. W 1546 roku gruchnęła wiadomość, iż go widziano – powstał z martwych, by wskrzeszać wielkość dawnego cesarstwa. W epoce oświecenia mit Barbarossy powrócił, a potem został jeszcze„podrasowany" przez romantyków. Friedrich Rückert napisał w 1817 roku poemat „Barbarossa", który utrwalił w zbiorowej wyobraźni niemieckiej legendę śpiącego w podziemiach zamku Kyffhäuser cesarza. W trakcie rewolucji roku 1848 to właśnie w ruinach tego zamczyska załopotała, zatknięta przez patriotów, czarno-czerwono-złota flaga. Dziatwa szkolna wkuwała na pamięć poemat Rückerta, jako żelazny element repertuaru patriotycznych lektur.

Kiedy w 1871 roku pruskie oddziały wracały po zwycięskiej wojnie z Francją, w Stuttgarcie i Karlsruhe odbyły się uroczyste premiery spektaklu „Cesarz Rudobrody", który kończył się symboliczną sceną: oto Barbarossa zdejmuje koronę ze swej głowy i zakłada ją na skronie cesarza Wilhelma. Powstanie II Rzeszy miało być wskrzeszeniem dzieła Staufów. W Kyffhäuser zbudowano olbrzymi pomnik cesarza Wilhelma, a on sam zwany (w nawiązaniu do Barbarossy) „Białobrodym" uczynił z zamku Goslar drugi, symboliczny, punkt nawiązujący do średniowiecznej tradycji. Znalazły się w nim olbrzymie obrazy i freski ukazujące ważne chwile z dziejów Fryderyka – klęknięcie przed Henrykiem Lwem, reakcję cesarza na „obraźliwy" tekst listu wysłanego przez papieża i sugerującego, iż cesarstwo zostało oddane w lenno Barbarossie przez Ojca Świętego i wreszcie zwycięskiego Staufa w czasie bitwy pod Iconium w trakcie III Krucjaty. Całość opowiadała widzowi prostą prawdę – powstanie II Rzeszy jest w istocie jedynie nową inkarnacją dawnego cesarstwa...

W latach dwudziestych XX wieku mit znowu odżył. Pisali o nim publicyści niemieccy i pisarze. W teutońskich „sanktuariach" pamięci narodowej odbywały się celebracje poświęcone pamięci wielkich cesarzy epoki Staufów – Barbarossy, Henryka VI i Fryderyka II, którego jedni nazywali Antychrystem, a inni Nowym Mesjaszem. Hitler czuł się ich dziejowym następcą, a może i więcej – w jakiejś mierze kolejną inkarnacją Barbarossy, „cesarzem" nowego imperium, którym stała się III Rzesza. Kryptonim ataku na ZSRS to nie przypadek, lecz element bardzo głębokiej, wkodowanej w umysły niemieckie tożsamościowej schedy, którą Niemcy przyjęli odwołując się do średniowiecza i dawnych swoich władców. ■

eprasa.pl 42e06210b5

Marcin Wolski

Straty (nie)dopuszczalne

Truizmem jest stwierdzenie, że pierwszą i najtragiczniejszą ofiarą wszystkich wojen są dzieci. Zapominają o nich kroniki, a jeśli przypominają, to przy okazji bestialstw w rodzaju przywiązywania małoletnich zakładników do machin oblężniczych podczas obrony Głogowa czy też desperackich walk obrońców Lwowa czy Grodna.

Dla wojskowych zaś przeważnie są to straty dopuszczalne. Czasami jednak zdarza się, że same dzieci potrafią zgotować dzieciom koszmarny los. Oto w roku 1212 kilka lat po fiasku czwartej wyprawy krzyżowej, która zamiast zająć się odbiciem Ziemi Świętej, skończyła się zajęciem i złupieniem Konstantynopola, coraz wyraźniej widać było, że Europa przegrywa z Azją. I można było liczyć jedynie na cud. I zdarzył się para-cud, oto przed władcą Francji Filipem Augustem pojawił się dwunastoletni pastuszek Stefan z Clovies, twierdząc, że dostał list od Chrystusa nakazujący mu zorganizowanie krucjaty do Jerozolimy. Król nie potraktował chłopca poważnie i kazał mu wracać do domu, lecz ten nie posłuchał. Mając charyzmę na miarę Grety Thunberg, zaczął wygłaszać kazania wzywające do krucjaty „niewinnych serc". Wedle jego zapowiedzi, morze miało się rozstąpić jak przed Mojżeszem, a w Ziemi Świętej muzułmanie na sam ich widok nawrócić się na chrześcijaństwo! Uwierzono mu i w czerwcu 1212 roku tysiące młodych ludzi stawiło się w miejscowości Vendome – legenda mówi o pół milionie, bardziej realne szacunki wspominają o 30 tys. W tym samym czasie podobną krucjatę ogłosił w Niemczech Mikołaj z Kolonii. Pytanie brzmi: jak było to możliwe? Uczestnicy byli przecież czyimiś dziećmi, czeladnikami, poddanymi. Wiadomo, że część miała błogosławieństwo rodziców, ale reszta? Jak wieści w ciągu niecałego miesiąca rozeszły się po całej Francji? Co z logistycznym wsparciem? Miasta okazały się za ciasne, sporo uczestników koczowała na polach, jednak ktoś musiał ich karmić. Oczywiście ten okres średniowiecza sprzyjał działaniom spontanicznym, ruchom pokutnym, popularne były pochody biczowników. Wobec zagrożeń wojną, zarazą, głodem reagowano nieraz irracjonalnie. Zapewne masowość ruchu pozwalała widzieć w nim działanie Opatrzności.

Wokół samozwańczego proroka podróżującego wozem pod baldachimem narastał prawdziwy kult. Aliści po dotarciu do Marsylii pojawiły się problemy – morze nie chciało rozstąpić się przed młodzieńczym pochodem, toteż część zawróciła, wielu po drodze zmarło z głodu i upału. Pozostali skorzystali z ofert kupców marsylskich o przydomkach „Żelazny" i „Świnia", którzy obiecali przewieść ich za darmo do Ziemi Świętej. Stefan z Clovies przyjął to jako znak z Nieba. Nikt go więcej nie widział. Podobno dwa spośród statków zatopiła burza, pozostałych marsylscy cwaniacy sprzedali muzułmanom w niewolę. Podobny los spotkał grupę niemiecką wyruszającą z Genui. O części słuch zaginął, garstkę przyjął papież Innocenty i kazał jej wracać do domu... Nieliczni posłuchali.

Fenomen podatności na manipulację ludzi młodych jest znany od wieków. Nikt nie wie, czy ktoś inspirował organizatorów krucjaty i jaki miał cel. We współczesnych czasach nieco łatwiej odgadywać kulisy i reżyserów młodzieżowych rewolt – rok 1968 w Ameryce i Francji, hunwejbini w Chinach, rewolucyjna gwardia zbrojna w Kampuczy, działacze ekologiczni, pacyfistyczni... Jakże łatwo złapać młode umysły na parę durnych haseł. Różnica z dawniejszymi epokami jest zasadnicza – wtedy za swoistą psychozę zapłacili jej uczestnicy, obecnie płaci przeważnie reszta społeczeństwa. ■

Jakże łatwo złapać młode umysły na parę durnych haseł. Różnica z dawniejszymi epokami jest zasadnicza – wtedy za swoistą psychozę zapłacili jej uczestnicy, obecnie płaci przeważnie reszta społeczeństwa.

eprasa.pl 42e06210b5

Piotr Lisiewicz

To jedna z najbardziej wzruszających polskich książek. Weronika Hort – tak podpisała się jej autorka, gdy ukazała się ona na wygnaniu w czasach komunizmu. Pod pseudonimem tym kryła się Hanka Ordonówna, najwybitniejsza przedwojenna polska piosenkarka i aktorka. Pseudonim wziął się stąd, że bała się ona, iż za jej ukazanie się może zapłacić w PRL pozostająca tam na łasce komunistów jej rodzina. „Tułacze dzieci" to opowieść o polskich dzieciach, które trafiły do sowietów. I to bohaterskiej Ordonce, której ci sami sowieci kazali wyrąbywać kilofem drogi, udało się część z nich, po amnestii dla Polaków, wywieźć do Indii. Chyba nie muszę pisać, co przychodzi nam do głowy, gdy przypominamy o nich w czasach, gdy historia się powtarza i Rosjanie porywają ukraińskie dzieci... Poniżej przedrukowujemy fragmenty ostatniego rozdziału książki, o choince i polskich sierotach w Indiach, czyli chyba jedną z najbardziej wzruszających scen w polskiej literaturze. Właśnie, literaturze... Bo wszystko o II RP mówi to, jak pięknym, literackim językiem potrafiła pisać piosenkarka i aktorka. Nie mam wątpliwości, że „Tułacze dzieci" powinny być dziś lekturą szkolną, co polecam pod uwagę decyzyjnym osobom. ■

Hanka Ordonówna

Choinka

Trzeba przerwać ten okropny nastrój – kotłowało w głowie Anny. – Podnieś rękę, Boże Dziecię – zaintonowała głosem chrapliwym, łamiącym się, nie swoim... – Błogosław Ojczyznę miłą – podchwyciły jak ratunek, szlochające dzieci. Zaczęły zapalać świeczki na choince, nie jak na święto Bożego Narodzenia, lecz jakby w dzień Zaduszny na grobach ukochanych. – Świeczki zapala się przecież dopiero po kolacji – dziwiła się w duchu Mila – co one robią? – Jak najprędzej chciałaby uciec z tego smutnego miejsca, jak najprędzej. – Kraj nasz i majętność całą, i wszystkie wioski z miastami... – kończyły kolędę tułacze dzieci ze spalonych wsi i zbombardowanych miast.

Cięły kolorowe papierki, klejąc z nich długie łańcuchy na choinkę. Nie towarzyszyło tej pracy zwyczajne przy takiej okazji radosne podniecenie, a twarze dzieci były smutne i zamyślone. – Bo jakże inaczej było o tym czasie tam, w Polsce, za najszczęśliwszych dni, gdy były z rodzicami... Jak cieszyła wtedy każda zabawka, którą się w asyście mamy zawieszało na drzewku. Co za radość była w chodzeniu i szukaniu po straganach, których przed świętami wiele stało na placach targowych, szpica lub gwiazdki, bomb świecących, srebra o najdłuższych nitkach, by nim – jak pajęczyną – osnuć uginające się od zabawek, pierników i jabłuszek, mieniące się różnymi kolorami, drzewko. Pięknym był widok choinek, ośnieżonych i pachnących jeszcze lasem, ustawionych na sprzedaż. Baśka przypominała sobie, jak to jeździła do lasu, wybierać najpiękniejszy świerk, lub choinkę na święta – śnieg skrzypiał pod płozami i lśnił brylantowo, dzwoneczki przy uprzęży wesoło dzwoniły, mróz delikatnie szczypał w zaróżowione policzki. To dopiero było Boże Narodzenie!

▶ „Moja mała sierotko"

A nie tak jak tu, w Indiach, gdzie pot w grudniu strugami leje się z upału, a choinka? Aż śmiech pomyśleć – po prostu drzewko liściaste. – Zawiesimy na nie tyle zabawek, że go widać nie będzie – wpadła w tok myśli Basinych, Ala – podstrzyżemy je na kształt choinki, szeroko od dołu, a szpiczasto u góry i będzie to jakoś wyglądało. Słaba to była jednak pociecha. Jadzia wbiegła do pokoju, a za nią weszli obładowani boy'e. – Paczki przysłali z Bombaju. Pani prosiła, żebyśmy je rozpakowały, a do ciebie jest list – powiedziała, oddając Mili niebieską kopertę, ze znakiem Czerwonego Krzyża. Mila, zrobiwszy zdziwioną minkę, wzięła list, obejrzała kopertę i schowała go do kieszonki. Pewnie znów jakaś „dobra pani" pisze: – Moja mała sierotko – lub – o moje ty biedne dziecko – ma czas przeczytać. Co innego gdyby list był z Jamnagaru, od koleżanek, przeczytałaby go zaraz. Podbiegła do boy'ów, niosących paczki. – Ciekawa jestem, co nam przysłali? Chyba nie słodycze, bo byłyby inaczej opakowane. – A może to są pre-

eprasa.pl 42e06210b5

zenty dla nas – ucieszyła się mała Jasia. – Nie potrzebuję ich prezentów – wybuchnęła Basia, która wciąż myślami była w Polsce, po czym westchnęła i kleiła dalej łańcuchy, ale robota nie szła jej. – Czy u was na wsi chodzili na pasterkę? – spytała ją, pogrążona także w rozmyślaniach o domu, Ala. – Naturalnie, cała wieś jechała lub szła do sąsiedniego miasteczka, w którym był parafialny kościół, a nas mama zabierała sankami. A u was, czy zostawiało się jedno wolne miejsce przy stole wigilijnym? – Zawsze, a mamusia mówiła, że ten zwyczaj powstał dlatego, by od chwili, w której Chrystus urodził się dla zbawienia świata, wszyscy ludzie byli sobie braćmi, by żadnego głodnego lub pragnącego nie odepchnięto od drzwi, serca i stołu swojego.

Basia przerwała robotę i westchnęła. Z rozpaczą pomyślała, że już nigdy nie będzie miała takich szczęśliwych świąt Bożego Narodzenia, że nigdy matczyne ręce nie splotą jej warkoczy i że nigdy już nie będzie mogła przypaść do kolan mamy i patrzeć w jej dobre oczy. Coraz ciężej było jej na sercu. Wigilia – mój Boże – dziesięć osób zasiadało u nich do stołu: babka, dziadek, mama, ojciec, ciotka z mężem i dwojgiem dzieci, wujek i ona. Babcia brała opłatek i dzieliła się nim z wszystkimi. Jakże byli wtedy wszyscy pewni, życząc sobie wzajemnie zdrowia, szczęścia, pociechy z dzieci, że za rok spotkają się znowu przy tym samym stole.

Któż mógł przeczuć, że któregoś dnia przyjdzie rozbestwiona sowiecka banda, wywlecze za włosy babkę staruszkę i matkę i poderżnie im gardła z takim spokojem, z jakim kucharka podrzyna kury. Że ojca uderzą polanem w głowę, śmiejąc się, aż mózg rozpryśnie się na wszystkie strony. – Natie, pamieszczyki – krzyczeli. Z rąk tej dziczy wyrwał ją wówczas stary fornal i tak, jedyna ocalała. Razem z poczciwą rodziną fornalską wywieźli ją do Rosji – tam trochę z nich poumierało, reszta pogubiła się i tak została w końcu sama sierota w obcym, strasznym kraju. Przymknęła oczy. Nie, nie, nie mogła już o tym myśleć. Pamieszczyk – właściciel ziemski. Zaczęła zastanawiać się nad tym, że właściwie bardziej od samych świąt, lubiła nastrój przedświąteczny, kiedy to zapach drzewka napełniał mieszkanie, a szelest bibułek, w które owijano prezenty, budził ciekawość. – Znowu zaglądasz – przeganiała ją, śmiejąc się matka – to na jutro, to na jutro – mówiła – dzisiaj tego nie wolno ruszać. Potem ubierały razem wielką choinkę, dla folwarcznych i wioskowych dzieci, które zbierały się we dworze w pierwszy dzień świąt, na kolędy i po podarki. Chłopcy wioskowi przychodzili z szopką przez siebie robioną, a asystował im oczywiście anioł, diabeł, Żyd i Herod, ślicznie śpiewali i komicznie się przekrzywiali, a mama kładła im w czapkę złote, a na drogę dawała krążek kiełbasy i kawał babki. Dobra była mama, bardzo dobra i wszyscy ją kochali.

▶ Drzewko oliwne przefasonowane na choinkę

Żal, nie dający się opanować, chwycił Basię za gardło, rozpłakała się i uciekła na swoje łóżko, gdzie szlochając wtuliła twarz w poduszki. – Uspokój się, nie płacz, wszystkie nas jeden i ten sam los spotkał – uspokajała ją Ala – przestań – szeptała – bo małe zaraz także zaczną płakać. Jeśli kochasz mamusię, to teraz myśl nie o sobie, lecz o tych naszych małych, urządźmy im ładne, radosne święta. One nie pamiętają tego, co my starsze i będą się cieszyć. Chodź, kończmy robić zabawki, powiedz im, że cię ząb zabolał i dlatego płakałaś. Basia uznała radę Ali za słuszną. Postanowiła poświęcić swój smutek i żyć w tym dniu tylko myślą o tutejszych koleżankach, o tym by zrobić wszystko, by chociaż one były szczęśliwe. Janeczka i Władzia z oczyma pełnymi łez, zbliżyły się do jej łóżka. – A wy czego beczycie? – spytała małe dziewczynki. – My z tobą – odpowiedziała Władzia pochlipując. – To was także ząb boli? – spytała je, trzymając rękę przy policzku. – Ząb? Nie, myśmy myślały, że płaczesz za mamusią – odpowiedziała zdziwiona Jadzia. – Dlaczego miałabym płakać za mamusią? Przecież mamusia jest u Bozi w niebie i na pewno jej tam dobrze. Patrzy na nas i widzi co robimy i cieszy się, że będziemy miały piękną choinkę, bo nasza choinka będzie piękna, zobaczycie. Ala rzuciła

Dlaczego miałabym płakać za mamusią? Przecież mamusia jest u Bozi w niebie i na pewno jej tam dobrze. Patrzy na nas i widzi co robimy i cieszy się, że będziemy miały piękną choinkę, bo nasza choinka będzie piękna, zobaczycie.

eprasa.pl 42e06210b5

się jej na szyję. – Kochana, kochana, dobra Baśka – szeptała, całując ją. – Rozpakujmy paczki i zobaczmy, jakie tam są zabawki. Raz, dwa, trzy – dzieciarnia, marsz do paczek – zakomenderowała Basia, wstając z łóżka. – Ciekawa jestem, czy będzie gwiazdka, czy szpic? – zastanawiała się Mila. – Ja kce gwiazdkę – wołała Jasia. – A właśnie jest szpic – oznajmiła Mila, wydobywając go z paczki. – Jaki piękny, jaki duży – zachwyciła się Janeczka. Zaczęły wykładać z pudełek na stół lśniące bomby, łańcuchy ze srebra i złota, aniołki i gwiazdki i wiele innych najprzeróżniejszych ozdób, wśród których nie brakowało i zimnych ogni. – Gałązki się obłamią pod tyloma zabawkami, wystarczyłoby ich na trzy takie marne drzewka – biadała Jadzia. – Zaraz je poprawimy, zobaczysz – powiedziała wchodząc pani Anna – dajcie mi ogrodowe nożyce, zrobimy postrzyżyny. – Do tej pory rosłeś jako drzewko oliwne – mówiła z zabawnie poważną miną – ale „hokus pokus" i przefasonujemy cię na choinkę.

Dzieci śmiały się, ubawione ruchami naumyślnie komicznymi wychowawczyni. Szybko zmieniał się kształt rozłożystej oliwki pod cięciami nożyc, aż stała się podobną do ulubionego drzewka. Dobry nastrój wrócił i z zapałem zajęto się ubieraniem drzewka i nawet Baśka wesoło przymocowywała lichtarzyki ze świeczkami i zimne ognie, na podstrzyżonej „choince". W kuchni sanatoryjnej także wrzało. Hinduska kucharka z przejęciem przygotowywała dla dzieci tradycyjne polskie potrawy na wieczór wigilijny – zupę grzybową, rybę smażoną, kapustę z grzybkami, kompot ze śliwek oraz kluski z makiem i z miodem; co chwilę przywoływała Annę, by kosztowała potrawy, które dla niej były bez smaku, gdyż nie było w nich korzeni i ostrych przypraw. Gdy drzewko było już przystrojone, Anna wyprawiła dzieci do innego pawilonu i zaczęła układać przeznaczone dla nich prezenty.

Cóż z tego, że podarunków było dużo, czuła, że to nie ucieszy ich, a ona nie będzie mogła zastąpić im w ten dzień matczynej obecności, ni stworzyć, mimo wszelkich starań, nastroju domu rodzinnego [...].

„Mamusia twoja się odnalazła"

Z kieszonki Mili wypadł zapomniany list. Chciała go nierozpieczętowany schować do szafki, gdy wtrąciła się Baśka. – Przeczytaj, może tam jest coś ciekawego. – Et, zawracanie głowy i tyle, szkoda teraz czasu. – Daj, to ci go przeczytam. Mila niechętnie podała Basi list i zajęła się swoją toaletą. Basia, zbieraczka znaczków pocztowych, oderwała najpierw markę, potem rozcięła kopertę i zaczęła czytać list. – Mila – krzyknęła – mamusia twoja się odnalazła i Czerwony Krzyż zawiadamia cię o tym! Jest w Teheranie, podają jej adres. Co za szczęście, mój Boże, aż wierzyć się nie chce – wołała ściskając Milę, w której serce zamarło. Zbyt nagła radosna nowina była ponad fizyczną wytrzymałość dziewczynki. Nogi ugięły się pod nią, uczuła pustkę w głowie i upadła na podłogę. Przerażona Baśka zaalarmowała panią Annę. Długo nie mogły obie docucić się zemdlonej. Mila po przyjściu do przytomności rozpłakała się. – Co się stało? – pytała zaniepokojona pani Anna. – Basia bez słowa podała jej list i odeszła do swego łóżka. – Ach – denerwowała się opiekunka – jakże można było bez przygotowania przysłać dziecku taką wiadomość. Jeszcze parę razy musiała odczytać zawiadomienie rozdygotanej dziewczynce, odchodzącej od zmysłów ze szczęścia. – To mamusia żyje i jest w Teheranie, o mój Boże, mój Boże – łkała – a ludzie mówili, że umarła w szpitalu w Swierdłowsku na tyfus, a ona żyje, żyje moja mateczka. To pewnie tutaj przyjedzie, a może ja do niej pojadę! Baśka, Baśka kochana – rzuciła się na szyję przyjaciółce – mam mamusię, mam mamusię! Ach, szkoda, że nie będzie razem na święta, a może jeszcze przyjedzie, zrobi mi niespodziankę i przyjedzie. Baśka wyszarpnęła się z uścisku Mili, twarz jej była kredowo biała, usta miała zacięte. – Co mnie obśliniasz, zwariowałaś, czy co? – powiedziała opryskliwie. Mila nie zrażała się tym, raz po raz ją ściskając. – Odejdź ode mnie, masz mamusię, to ciesz się, ja się też z tego cieszę, ale zostaw mnie w spokoju! – wybuchnęła, odtrącając Milę. – Ach, mój Boże, Basiu, Basiu – powtarzała w kółko Mila, nie rozumiejąc nagłej opryskliwości przyjaciółki, która jeszcze przed chwilą

– Mila – krzyknęła – mamusia twoja się odnalazła i Czerwony Krzyż zawiadamia cię o tym! Jest w Teheranie, podają jej adres. Co za szczęście [...]. Zbyt nagła radosna nowina była ponad fizyczną wytrzymałość dziewczynki. Nogi ugięły się pod nią, uczuła pustkę w głowie i upadła na podłogę.

eprasa.pl 42e06210b5

była dla niej taka serdeczna. Łzy napłynęły jej do oczu, obróciła się, szukając przyjaznego spojrzenia, ale dzieci unikały jej wzroku udając, że są zajęte. – Pewnie zazdroszczą mi, że mam mamusię – pomyślała. – Och, niedobre, niedobre koleżanki, żeby tak zepsuć moją radość. – Zmroził ją nieprzyjemny nastrój, który ją nagle otoczył. Chciałaby już wyrwać się stąd, zostać sama, by w pełni nacieszyć się radosną nowiną. Drgnęła, gdy pani Anna pocałowała ją, było to dla niej niespodziewane. – Cieszę się, Milu, całym sercem się cieszę, że odnalazłaś mamusię, musisz za to gorąco Bogu podziękować, bo to niezwykła rzecz [...].

▶ Nasz ból nie powinien nas robić złymi

Dziewczynka ukryła twarz w dłoniach. Płakała. – Czemu płaczesz? – zapytała Anna, przyciągając Basię do siebie. – Ach, proszę pani, bo to takie straszne, ja nawet się wstydzę powiedzieć. – Powiedz, dziecinko. – Ja tak nienawidzę teraz Mili, że patrzeć na nią nie mogę. – Tak nagle? Lubiłaś ją przecież. – Właśnie to takie okropne, że ją wpierw lubiłam, a teraz zamiast cieszyć się razem z nią, że odnalazła mamusię, nienawidzę jej. Czuję to, że coraz bardziej jej nienawidzę i nie mogę sobie z tym dać rady. Wstydzę się tego, a nienawidzę jej. W ogóle po co mnie Pan Bóg trzyma jeszcze na tym świecie, chyba tylko po to, żebym się męczyła – rozżaliła się. – Jak możesz tak mówić, Basiu? – Bo proszę pani, jakie ja mogę mieć życie? Co za przyszłość mnie czeka? Wychoruję się, wychoruję i stracę siły. Mam już dwanaście lat, uczyć się nie mogę, pracować nie będę mogła. Gruźlica to przecież zła i wyniszczająca choroba. Co ze mną będzie? Nikogo, nikogo nie mam na calutkim świecie – mówiła zanosząc się od płaczu. – Och, z moich nikt z grobu nie wstanie, by mnie pocieszyć, ja nie mam na co liczyć, ani na co czekać. Umrzeć chciałabym, tylko prędko. Tylko umrzeć! – Jak możesz tak myśleć i mówić, Basiu, krzywdzisz nas. Sieroctwo nie tylko twoim jest udziałem. Gdzie zwrócisz oczy, pełno go dookoła, i nieszczęść pełno, gdy się je chce dojrzeć. Wszyscyśmy potracili swoich bliskich i przeszli okropności wojny. Takich jak ty, Basiu, jest tysiące i miliony, i nie może i nie powinna radość drugich zamykać naszych serc dla nich. Musimy się cieszyć, że jest o jedno nieszczęście mniej, o jedno sieroctwo mniej, nasz ból nie powinien nas robić złymi. Musimy przeboleć straty i stworzyć sobie inny dom i życie w warunkach, w jakich jesteśmy. Musimy stworzyć z nas, poszczególnych sierot, wielką, kochającą się rodzinę. Przemóż się, Basiu, idź i bądź dobra dla Mili [...].

* * *

Gdy pierwsza gwiazda zabłysła na niebie, skupiły się wszystkie dzieci koło choinki. Wspomnienia zasępiły im czoła. Anna wyciągnęła do Basi biały opłatek. – Życzę ci – powiedziała, i nagle pod wpływem bezdennie smutnego spojrzenia dziewczynki zabrakło jej życzeń. Czegóż ma im życzyć? Szczęścia? Bez rodziny, bez domu? – Powrotu do wolnej Ojczyzny – dokończyła i łzy zakręciły jej się w oczach. Złączone tym samym uczuciem dzieci rozpłakały się. Ach, wypłakać się, wypłakać wszystko, co utracone, a tak sercu drogie, na nowo ożyłe w tym dniu, w tej minucie... Miękł opłatek zlany łzami. – Trzeba przerwać ten okropny nastrój – kotłowało w głowie Anny. – Podnieś rękę, Boże Dziecię – zaintonowała głosem chrapliwym, łamiącym się, nie swoim... – Błogosław Ojczyznę miłą – podchwyciły jak ratunek, szlochające dzieci. Zaczęły zapalać świeczki na choince, nie jak na święto Bożego Narodzenia, lecz jakby w dzień Zaduszny na grobach ukochanych. – Świeczki zapala się przecież dopiero po kolacji – dziwiła się w duchu Mila – co one robią? – Jak najprędzej chciałaby uciec z tego smutnego miejsca, jak najprędzej. – Kraj nasz i majętność całą, i wszystkie wioski z miastami... – kończyły kolędę tułacze dzieci ze spalonych wsi i zbombardowanych miast. ■

– Podnieś rękę, Boże Dziecię – zaintonowała głosem chrapliwym, łamiącym się, nie swoim... – Błogosław Ojczyznę miłą – podchwyciły jak ratunek, szlochające dzieci. Zaczęły zapalać świeczki na choince, nie jak na święto Bożego Narodzenia, lecz jakby w dzień Zaduszny na grobach ukochanych.

_____

Przedruk za: Hanka Ordonówna, „Tułacze dzieci", wydawnictwo LTW, 2015.

eprasa.pl 42e06210b5

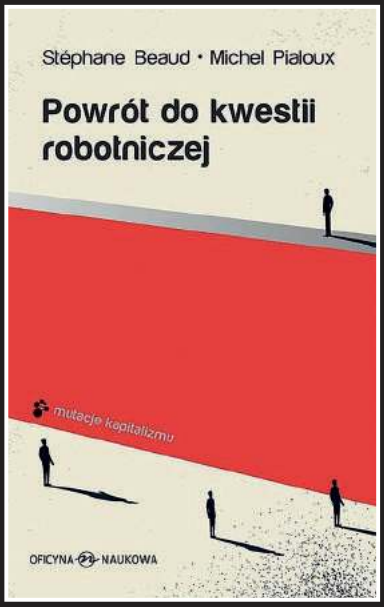

Stéphane Beaud, Michel Pialoux, „Powrót do kwestii robotniczej", Oficyna Naukowa, Warszawa 2022

Krzysztof Wołodźko

PROLETARIUSZE, ZNIKAJCIE JUŻ! KRÓTKA HISTORIA NEOLIBERALIZMU

„Powrót do kwestii robotniczej" Stéphane'a Beauda i Michela Pialoux to nie tylko wyzwanie dla antypracowniczego i antyrobotniczego modelu kapitalizmu, który także w Polsce święcił triumfy w ostatnich dekadach. W fenomenalnym wstępie do polskiego wydania prof. Małgorzata Jacyno zwraca uwagę na szerszy, cywilizacyjny kontekst i konsekwencje antyspołecznego nurtu, znanego jako neoliberalizm.

eprasa.pl 42e06210b5

Książka „Powrót do kwestii robotniczej. Badania socjologiczne przeprowadzone w fabryce Peugeota w Sochaux-Montbéliard" Beauda i Pialoux ukazała się we Francji w 1999 roku. Polskie wydanie w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki to 2022 rok. Zaznaczmy, że to praca w całości oparta na trwających przez kilka dekad (lata 80. XX wieku i później) badaniach terenowych, empirycznych. To wymowne – francuscy socjologowie przed dekadami podejmowali zagadnienia, które w Polsce przez niemal całą III RP wydawały się zbędne lub przestarzałe. Choć Solidarność przetrwała jako związek zawodowy (w o wiele mniejszym stopniu jako mit i wartość społeczna), to klasa robotnicza właściwie zniknęła z debaty publicznej.

Upadek klasy robotniczej

Nie był to wypadek przy pracy. Transformacja ustrojowa wymagała nowych idoli. Klasa robotnicza okazała się problematyczna – nie tylko ze względu na galopującą dezindustrializację, dwucyfrowe bezrobocie, fundamentalną zmianę modeli biznesowych, rozpad wszelkich form przemysłu od metropolii po małe miasta, które w czasach PRL dzięki swoim przetwórniom, odlewniom, zakładom naprawczym nie tylko dawały pracę, lecz także poczucie tożsamości i życiowej stabilności milionom Polek i Polaków.

Klasa robotnicza jako polityczna i społeczna siła miała zniknąć nie tylko dlatego, że kraje zachodnie uznały w pewnym momencie, że bardziej opłaca się przenieść produkcję do Chin; nie tylko dlatego, że upadek i rozproszenie klasy robotniczej oznaczały większe zyski dla kapitalistów; nie tylko dlatego, że zastąpić ją miała tania i rozproszona siła robocza, często rekrutująca się spośród imigrantów i imigrantek, anonimowa w swej masie, wroga podobnym sobie, sprowadzona do zasobu najmowanego krótkoterminowo choćby za pośrednictwem agencji pracy tymczasowej.

Klasa robotnicza stała się problematyczna, gdyż znaczna część polskich elit, niezależnie od ideowo-politycznej proweniencji, świadomie wybrała kurs na radykalny liberalizm jako nowoczesny i europejski. To była właściwie teza bezdyskusyjna – Europejczycy znad Wisły chętnie widzieli na Zachodzie mechanizmy rynkowe, a kompletnie prześlepiali (albo traktowali jako relikt zimnowojennych czasów) społeczne zabezpieczenia, prawa pracownicze i związkowe oraz usługi publiczne i mieszkalnictwo komunalne, z reguły zdecydowanie silniejsze w tzw. starych demokracjach niźli w krajach postkomunistycznych.

Świat liczył na Polskę?

Jak pisze prof. Jacyno: „Zmiany systemowe w krajach Europy Środkowej i Wschodniej, obiecujące dogonienie Zachodu, zachodziły równolegle do neoliberalnych reform prowadzonych na Zachodzie [...]. W oficjalnej, dominującej narracji politycznej przeprowadzane reformy miały przybliżać kraje Europy Środkowej i Wschodniej do Zachodu, tymczasem w krajach zachodnich dokonywał się wówczas proces demontażu państwa dobrobytu". Nie mówimy jedynie o ekonomicznej i gospodarczej teorii i praktyce. Uprawomocnienie zmian w oczach większości społeczeństwa wymagało nowych kulturowych dogmatów (albo reinterpretacji starej obyczajowości, w przypadku krajów takich jak Polska – w postaci neofeudalnej), których promowaniem i ugruntowaniem w wyobraźni społecznej zajęły się w III RP opiniotwórcze ośrodki medialne i wpływowe kulturalne gremia.

Czy był to nowy dziejowy determinizm? Nowa dziejowa konieczność, którą ugruntowało fiasko sowieckiego komunizmu? Czy raczej splot mnóstwa czynników, usankcjonowanych przede wszystkim dlatego, że okazał się korzystny dla staro-nowych elit potransformacyjnej Polski? Warto zwrócić uwagę na pewną wypowiedź prof. Jacyno ze wstępu do „Powrotu do kwestii robotniczej", który rzuca na sprawę szersze światło. Potrzebny będzie dłuższy cytat: „Decyzje rządów, lobbing, deregulacje projektowane przez środowiska prawnicze, zmiany w organizacji pracy, przepisy imigracyjne, osłabienie kontroli kapitału przez instytucje państwowe czy legitymizacja zmian przez powoływanie się na naukę to tylko niektóre z działań, które uczyniły z globalizacji proces naturalny i konieczny".

Dalej polska socjolog pisze: „Niezależnie od tzw. realiów politycznych Zachód, a w każdym razie zachodni świat idei, spodziewał się po Europie Środkowej i Wschodniej nie imitacji czy zwykłego przyłączenia się, ale wniesienia różnicy i podkopania hegemonii myśli neoliberalnej. Możliwe zresztą, że dynamikę wielu aktualnych sporów politycznych w Polsce, zwłaszcza dyskusje o wstydzie i dumie z polskiej tożsamości, organizuje niejako od spodu ta niejasna świadomość czy przeczucie, że w tamtych latach sprawy mogły przybrać inny, zupełnie inny obrót".

eprasa.pl 42e06210b5

Problemy klasy robotniczej

Stało się jednak inaczej. Na polską politykę i gospodarkę po 1990 roku nie miały większego wpływu ani społeczne nauczanie świętego Jana Pawła II, ani nonkonformistyczna niezgoda na kształt ustrojowych przemian ludzi tej miary co Joanna i Andrzej Gwiazdowie, ani alternatywne wobec pomysłów Jeffreya Sachsa i Leszka Balcerowicza koncepcje ekonomistów – dotyczące choćby sposobów walki hiperinflacją i przekształceń własnościowych w przemyśle i rolnictwie. Przekonanie o bezalternatywności ultraliberalnych przemian stało się nowym dogmatem, podobnie jak kseromodernizacja. Dlatego dziś zajmując się fenomenem powrotu kwestii robotniczej, musimy sięgać po francuską myśl socjologiczną i etnologiczną – po długich latach wydając po polsku książki, które na Zachodzie ugruntowały swoją renomę jeszcze przed kryzysem 2008 roku, jaki zadał (przynajmniej wizerunkowo) niemały cios neoliberalnym dogmatom. Choć i potwierdził gospodarczą potęgę, wpływy i bezkarność niemałej części elit kapitalizmu spekulacji.

„Powrót do kwestii robotniczej" Beauda i Pialoux jest książką wymagającą. Inaczej będzie ją czytał naukowiec, inaczej dziennikarz i publicystka, inaczej związkowiec i polityk. Autorzy zwracają uwagę na paradoks – choć francuska klasa robotnicza zdaje się kompletnie rozbita, sprowadzona do „odosobnionych, zatomizowanych, szarpanych podziałami jednostek, coraz bardziej poddanych presji zwiększenia wydajności pracy", niezdolnych do współpracy; choć robotnicy stali się „niewidzialni", to jednak „stanowią najliczniejszą grupę w społeczeństwie francuskim". Autorzy precyzyjnie wskazują problemy, jakie dotknęły klasę robotniczą: dewaluacja pracy, osłabienie zbiorowego oporu, pokoleniowy konflikt w fabrykach i rodzinach, „kryzys działalności związkowej i politycznej, narastająca fala napięć na tle rasowym, wywołanych masowym bezrobociem i rosnącą niepewnością jutra". Dostrzegają coś więcej: to rozpad „społeczeństwa robotniczego", możliwość funkcjonowania w pewnym świecie, który przestrzennie, obyczajowo, kulturowo i instytucjonalnie pozwalał trzymać się robotnikom razem i wspólnie żyć w rytmie pracy i edukacji, odpoczynku i świętowania, politycznego buntu i zaangażowania.

Badania w kolebce Peugeota

Beaud i Pialoux prowadzili swoje badania w kolebce koncernu Peugeot – regionie Montbéliard: „tam powstawały innowacje techniczne i organizacyjne, tam też skonstruowano »historyczne« modele marki Peugeot i tam rozgrywały się najzacieklejsze walki polityczne i związkowe, najostrzejsze konflikty". Powojenne dekady to czas prosperity, ale po 1979 roku – narastającego kryzysu, który postanowiono zażegnać wedle nowych reguł biznesowych, które nie tylko miały wzmocnić efektowność i rentowność przedsiębiorstwa, ale w znacznej mierze nastawione były na rozbicie etosu klasy robotniczej.

Nowy model zarządzania (just in time) nie był wyłącznie „neutralnym narzędziem ekonomicznym", opakowanym w atrakcyjnie brzmiące hasła dotyczące wydajności i sposoby rzekomej fraternizacji między robotnikami a menedżerami; w stosunkowo krótkim czasie pomógł zantagonizować starych i młodych robotników, robotników niewykwalifikowanych i wykwalifikowanych, miejscowych i zarobkowych migrantów. Neoliberalna nowomowa miała stworzyć fałszywe poczucie „fajniejszych" i atrakcyjniejszych relacji i perspektyw zawodowych.

Badania empiryczne pokazały, że neoliberalny system jest dla robotników znacznym obciążeniem: „na dawne formy wyzysku nakładają się nowe dominacji symbolicznej. Pracownicy mają poczucie obiektywnego i subiektywnego zagrożenia i pracują w stałej obawie o siebie i swoje dzieci. Groźba bezrobocia i niepewność zatrudnienia ciążą nad wszystkimi pracownikami najemnymi, a chociaż najbardziej dotyczy to kobiet, młodzieży i robotników, wszystkie kategorie boją się dziś utraty pracy. Obawa przed bezrobociem skłania pracowników nie tylko do obniżenia wymagań w odniesieniu do pracy, lecz także do przyjmowanie na siebie większych obciążeń".

Dlaczego robotnicy wolą „populistów"

Beaud i Pialoux zadają przy tym pytanie, które wydaje się ważne pod każdą szerokością geograficzną: w którym momencie zyski osiągane przez kapitał zaczynają się równać poważnym stratom społecznym? I czy wyzysk klasy robotniczej oraz jej rozpad w neoliberalnym świecie nie oznacza problemów dla całego państwa i społeczeństwa? Prywatyzacja zysków i uspołecznianie strat mają nie tylko wymiar ściśle ekonomiczny. A spójności społecznej nie budują wyłącznie zasobne elity – zaś neoliberalizm, wbrew pewnym obłudnym zapewnieniom, znanym również z polskiego podwórka, to naprawdę nie jest domek z trawniczkiem, grillem, dwoma samochodami i wakacjami dla każdej ciężko pracującej rodziny. Wprost przeciwnie: to wzrost liczby pracujących ubogich i degradacja „niewidzialnej klasy robotniczej".

Francuscy badacze prowadzili przez kilka dekad badania terenowe, żeby lepiej zrozumieć choćby to,

eprasa.pl 42e06210b5

co dla wielu intelektualistów nad Sekwaną stało się irytującym wyzwaniem: popularność Frontu Narodowego wśród robotników i robotnic. Beaud i Pialoux wskazują bez ogródek, że lekceważenie, protekcjonalizm i programowe przemilczenie robotników w debacie publicznej doprowadziło do logicznej reakcji: znaleźli sobie oni nową reprezentację. Analiza autorów „Powrotu do kwestii robotniczej" wydaje się nieźle pasować również do polskich realiów.

I to nie tylko tych odnoszących się do lat 90. XX wieku: „Rozpoczęty na początku lat osiemdziesiątych proces uzdrawiania przedsiębiorstw, który zbiegł się w czasie z »pożegnaniem z proletariatem« wielu »marksistowskich« intelektualistów, sprawił, że robotników zaczęto postrzegać jako przeszkodę w unowocześnianiu przemysłu, jako spadkobierców minionej epoki, toczących beznadziejną walkę o utrzymanie dawnego porządku. Stopniowo i niepostrzeżenie zniknęli oni z horyzontu myślowego ludzi pełniących funkcje ideotwórcze (intelektualistów, dziennikarzy, polityków itd.), a doszło do tego właściwie w chwili, kiedy w wyniku osłabienia form zbiorowego oporu w fabrykach nastąpiła intensyfikacja pracy, więzi społeczne w przedsiębiorstwie rozluźniły się, a robotników przekształcono w »zmienną dostosowawczą«, zredukowano do listy płac, którą należy coraz bardziej ograniczać".

Fabryka oczyma zwykłych ludzi

Mocną stroną „Powrotu do kwestii robotniczej" jest pokazanie życia w fabryce oczyma zwykłych robotników i robotnic. Dzięki przeprowadzonym z nimi i opublikowanym w książce wywiadom możemy zobaczyć, jak między ludźmi skazanymi na ciągłą rywalizację przy taśmie produkcyjnej rodzi się złość, wzajemna niechęć, antagonizmy, przeradzające się choćby w sytuacyjny rasizm. Płynność zatrudnienia i osłabienie relacji negatywnie wpływa na to, jak ludzie radzą sobie w sytuacjach kryzysowych – brak zawodowej zażyłości powoduje choćby, że oczywistych między ludźmi scysji nie da się rozładować żartem.

Więcej: robotnicy, z którymi autorzy rozmawiali przez lata, skarżą się, że miejsce „zwykłych żartów" zajmują bezpardonowe złośliwości, szyderstwa i słowne ataki, bazujące na narodowych stereotypach: „w miarę upływu czasu i pogarszania się relacji między robotnikami z wydziałów montażowych, w miarę jak każda podgrupa pracowników fabryki, a nawet każda jednostka zaczyna myśleć wyłącznie o własnych bezpośrednich korzyściach, tworzy się swoista sytuacja anomii".

Ta niespójność, poczucie niepewności i bezsensu staje się sytuacją egzystencjalną robotników – ponieważ wbrew pewnemu popularnemu neoliberalnemu mitowi miejsce pracy nie jest czymś wyłączonym z ludzkiego doświadczenia, ograniczonym do zawodowych zadań. Dobrze to zresztą było widać w polskich analizach dotyczących pracujących ubogich – ochroniarzy i sprzątaczek, zatrudnionych na umowach śmieciowych i na głodowe stawki w czasach Platformy Obywatelskiej.

Francja, Europa i nowa industrializacja?

Przemęczenie, frustracja, poczucie bezwartościowości rzutowały na życie tych niewidzialnych ludzi z klasy ludowej. I w tym względzie wyzysk często ukrywano za neoliberalną nowomową – oferując groszowe stawki mężczyznom i kobietom zatrudnianym do wykonywania funkcji ozdabianych językowymi kalkami z biznesowego, anglojęzycznego slangu. To może się wydawać rzeczą drobną, ale warto mieć świadomość, że różne aspekty rzeczywistości się przenikają, tworząc system skrajnie niebezpieczny dla ludzi z niewidzialnej na ogół również w Polsce klasy robotniczej.

Książka Beauda i Pialoux jest w jakiejś mierze lekturą zamkniętą – zamkniętą relacją z badań nad francuskim system pracy, edukacji, relacji zawodowych, społecznych, rasowych. Jednak jako otwarte stawia kwestie ładu społeczno-gospodarczego i jego celów, a także zamierzonych i niezamierzonych skutków dezindustrializacji, która okazała się dla Europy tylko krótkoterminową odpowiedzią na wyzwania z ostatnich dekad XX wieku. Spoglądając na sytuację we Francji, protesty związane z reformą systemu emerytalnego, widać dobrze, że robotnicy nad Sekwaną znów zabrali głos – w sposób niepokojący dla elit własnego państwa, ale także dający do myślenia w całym zachodnim świecie, którego i my jesteśmy częścią.

Wołanie o reindustrializację Europy, problemy demograficzne Starego Kontynentu, perspektywa wojen klimatycznych, napięcia między USA i Chinami, które również wpływają na globalne modele gospodarcze, lęki jednych i nadzieje drugich związane z automatyzacją/robotyzacją sprawią, że kwestia robotnicza prędzej czy później znów stanie się o wiele bardziej paląca. W Polsce pochodną rewolucji Solidarności była niestety neoliberalna rewolucja. I to przede wszystkim jej sztandary załopotały nad III RP. Beaud i Pialoux dobrze pokazują, dlaczego więcej z tym kłopotów niż pożytku – patrząc przez pryzmat zapomnianego dobra milionów ludzi pracy najemnej. ■

eprasa.pl 42e06210b5

PAMIĘCI TALENTU SOFONISBY, MISTRZYNI PORTRETÓW

Magdalena Łysiak

Latem 1624 roku na Sycylii szalała epidemia dżumy. Zarządzono kwarantannę i zamknięto bramy miast. W kościołach Palermo biły dzwony, wznoszono modły, szczególnie do św. Rozalii, patronki miasta. Modlitwy zostały wysłuchane rok później – w górskiej grocie odnaleziono szczątki Santuzzy („Małej świętej" – jak pieszczotliwie nazywano Rozalię) i sprowadzono je do katedry. Epidemia natychmiast ustała. Ale zanim to nastąpiło, w Palazzo Lomellini doszło do niezwykłego spotkania – 12 lipca młody Antoon Van Dyck odwiedził pewną staruszkę. Od tej „niewidomej kobiety dostałem rady mędrsze, niż mogłem znaleźć studiując dzieła najbardziej znanych malarzy" – zapisał w notatniku, w którym naszkicował także jej wizerunek, portret wielkiej renesansowej artystki – Sofonisby Anguissoli.

eprasa.pl 42e0621065

FOT. WIKIPEDIA

W chwili spotkania Anguissola miała 92 lata, a za sobą karierę na owe czasy niezwykłą. Jej talent doceniali najwięksi artyści, malowała dla królów i papieży, była nadwornym malarzem dworu hiszpańskiego, delikatna i silna jednocześnie, niezależna w życiu i w sztuce. „Bystra pamięć i umysł, bardzo uprzejma. Choć z powodu podeszłego wieku nie miała dobrego wzroku, to jednak z przyjemnością oglądała obrazy, przybliżając nos tak blisko, by choć trochę dojrzeć. Czerpała z tego wielką przyjemność. Dała mi kilka rad: nie podnosić światła za wysoko, żeby cienie w zmarszczkach starości nie urosły za bardzo, [...] a ponadto opowiedziała część swojego życia. [...] Największą udręką, jaką znała, był brak możliwości malowania z powodu słabego wzroku. Jej ręka była nadal stabilna, bez drżenia" – donosił Van Dyck, którego kariera właśnie nabierała rozpędu i który został wezwany do stolicy Sycylii przez wicekróla Emanuela Filiberto di Savoia. Miał wykonać kilka portretów oraz duży obraz do ołtarza Madonny del Rosario. Jednak zafascynowany Sofonisbą namalował najpierw jej konterfekt. Stara kobieta patrzy uważnie na kogoś, jakby obok widza, wielkimi, mądrymi oczami, które wielokrotnie sama odtwarzała w swych autoportretach. A zrobiła ich kilkanaście, zaczynając od pierwszego, na którym trzyma w ręku paletę i pędzle. Nad jej ramieniem wyraźnie widać podpis twórcy: „Sofonisba Aqusciola z Cremony, malarz, lat 20".

Podpora Italii

Sofonisba Anguissola urodziła się w 1532 roku, w rodzinie o arystokratycznych korzeniach. Ponieważ niedaleko Cremony nad rzeką Trebią rozegrała się w starożytności wielka bitwa między Rzymianami a Kartagińczykami, stąd w mieście od wieków modne były imiona bohaterów z Kartaginy. I tak generał kartagiński Hamilcar Barca stał się swoistym patronem przyszłego ojca malarki – Amilcara, który w 1530 roku poślubił szlachetną Biancę Ponzoni. Doczekali się sześciorga dzieci. Zgodnie z tradycją i pragnieniem małżonków pierworodna dostała imię na cześć tragicznej córki kartagińskiego wodza – Sofonisby. Potem na świat przyszły jeszcze Elena, Lucia, Europa, Minerwa i Anna oraz jedyny syn – Asdrubale (to z kolei imię jednego z dzielnych dowódców Hannibala). Amilcare Anguissola kochał sztukę, historię, a przede wszystkim swoją rodzinę.

Dzieci były zachęcane do wszechstronnej nauki i rozwijania swych talentów. Szybko okazało się, że wszystkie siostry mają zdolności malarskie (co wiemy z przekazów Vasariego – nieocenionego w zbieraniu wszelkich informacji o wielkich artystach ówczesnego świata), ale Lucia, która podobno była utalentowana na równi z Sofonisbą, zmarła młodo, Elena wybrała życie zakonne, Europa i Anna przestały malować po ślubie (choć podobno rodziny przechowały ich obrazy do czasów współczesnych i dzieła te zdradzały znamiona prawdziwego artyzmu), Minerwa zaś wybrała drogę literatury, poświęciła się pisarstwu, pisała wiersze po łacinie i włosku, i także ona była szczerze komplementowana przez kolegów po piórze. Z kolei Asdrubale zakochany był w muzyce i łacinie, choć o jego osiągnięciach historia milczy. Mówiono w Cremonie, że dom wielmożnego Amilcara wydaje się być siedzibą malarstwa i w ogóle wszelkich talentów, a szczególnie podziwiano jego córki. Na Półwyspie Apenińskim od dawna nie odmawiano płci pięknej dostępu do rozwijania swych zainteresowań – „jest rzeczą niewątpliwą, że na polu różnych talentów i kunsztów, na którym jeżeli tylko chciały się niewiasty odznaczyć, czyniły to w sposób doskonały i uzyskiwały sławę" – wspominał Vasari.

Mimo to rzadko dawano kobietom możliwość do nauki razem z chłopcami w warsztatach mistrzów malarskich i rzeźbiarskich, było to uznawane jako coś niestosownego. Jednak Amilcare, widząc zdolności swoich córek, rzucił wyzwanie światu – wysłał Sofonisbę wraz z Eleną na naukę do wielkiego cremońskiego malarza Bernardina Campiego. Mistrz przyjął dziewczęta jako członków rodziny, nauczył je wszystkiego o rysunku czy malarstwie, a ludziom wokół opowiadał o swej najzdolniejszej uczennicy, która wkrótce go doścignęła w kunszcie i stworzyła własny, niepowtarzalny styl. Także Amilcare pełnił rolę „pijarowca"córki i robił to świetnie. Gdy skończyła 18 lat, pisano o niej, że jest artystyczną „podporą Italii", i wymieniano „pośród najwyborniejszych malarzy naszych czasów". Z Campim i jego rodziną do końca życia łączyła ją głęboka przyjaźń, a składając mu hołd jako nauczycielowi, namalowała obraz zatytułowany „Bernardino Campi maluje Sofonisbę" (Pinacoteca Nazionale, Siena). Co ciekawe umieściła na nim siebie nieco ponad postacią malarza. Anguissola spogląda spokojnie i uważnie na widza. Jest pewna swej wewnętrznej siły. Potem, gdy Campi wyjechał do Mediolanu w poszukiwaniu zleceń, przez krótko uczył ją jeszcze także świetny malarz cremoński Bernardino Gatti, ale Amilcare chciał, by poznała najlepszego z najlepszych. Napisał list, do którego załączył jeden z rysunków córki. Adresatem był Michał Anioł.

eprasa.pl 42e06210b5

Praktykowanie najszlachetniejszej sztuki

„Wspaniały mój panie, twoje wybitne cnoty, którym towarzyszy dobroć twojej duszy (wszystko dane ci przez Pana Boga), zachowaj pamięć o mnie i całej mojej rodzinie. [...] Jesteśmy bardzo zobowiązani tobie za zrozumienie i kochające uczucie, jakie masz i okazujesz Sofonisbie, mojej córce, której kazałem zacząć uprawiać najszlachetniejszą umiejętność malowania. [...] Dzięki twej czcigodnej przychylności dla tej cnoty, z każdą nauką tak bardzo wspierasz jej umysł, że mam nadzieję, iż wynikną z tego doskonałe wyniki. Ani ona, ani ja z całą moją rodziną nie mogliśmy otrzymać ani najbardziej pożytecznego, ani najszlachetniejszego zadowolenia, tym bardziej, że raczyłeś jej przesłać swój rysunek, który maluje olejem. [...] Aby się odwdzięczyć mogę jedynie tę najdroższą rzecz, jaką mam, Sofonisbę, oddać ci jako sługę i córkę, która czcić będzie ciebie i twoją najdoskonalszą dobroć oraz najbardziej boskie cnoty. Pozdrawiamy cię z całego serca, polecając twej dalszej łasce" – pisał Amilcar do Bounarottiego.

Wielki artysta, chcąc sprawdzić talent Anquissoli, poprosił ją jeszcze, by narysowała płaczącego chłopca. Tak powstał szkic „Asdrubale ugryziony przez raka" (Museo di Capodimonte, Neapol), na którym uwieczniony został mały braciszek Sofonisby. „Nie tak dawno pan Tomasz Cavalieri, szlachcic rzymski, wysłał do księcia Cosmy (oprócz szkicu boskiego Michała Anioła, przedstawiającego Kleopatrę) rysunek zrobiony przez Sofonisbę. Widzi się na nim dziewczynkę śmiejącą się do płaczącego chłopczyka, który wsadził rękę do koszyka z rakami. Jeden z nich uszczypnął go w palec. Trudno zobaczyć rysunek z większym wdziękiem lub bliższy prawdzie. A ja dla pamięci talentu Sofonisby [...] włączyłem ten szkic do mego zbioru rysunków. Mogę tylko powtórzyć za boskim Ariostem i prawdziwie, że: »Gdzie tylko rękę położy niewiasta/ To w doskonałość jej dzieło urasta«" – zapisał Vasari o rysunku.

Wiele lat później ta wprawka węglem zainspiruje Caravaggia do namalowania obrazu „Chłopiec ugryziony przez jaszczurkę". Ale Michelangelo Merisi jeszcze się nie urodził, natomiast Buonarotti dostał dowód, że dziewczyna jest ogromnie utalentowana. Zaprosił ją do Rzymu. Stary mistrz zgodził się udzielać Sofonisbie lekcji i korygować jej prace. Ojciec natychmiast wyprawia najstarsze dziecko do Wiecznego Miasta. Zachował się list, w którym dziękuje Michałowi Aniołowi za „szlachetny i troskliwy afekt okazywany córce mej, Sofonisbie, oraz wprowadzenie jej w praktykowanie najszlachetniejszej sztuki, malarstwa".

Sama namalowałam

Anguissola jest pilną uczennicą, nieustannie maluje – powstają kolejne autoportrety, uwiecznia swoich najbliższych: ojca w otoczeniu sióstr i brata, matkę. Szczególną sławę zyskuje obraz „Gra w szachy" (jedno z najważniejszych dzieł w polskich zbiorach, kupiony w 1823 roku przez księcia Atanazego Raczyńskiego, obecnie znajduje się w Muzeum Narodowym w Poznaniu). Giorgio Vasari był zdania, że to arcydzieło. „Portret trzech sióstr swych sprawiła w szachy grających, z niemi wespół stara służąca, i namalowane są ze starannością wszelką i prawdziwie tak, że zda się żywe są i mowy im tylko brakuje" – pisał. Dzieło to pokazuje nie tylko życie rodziny Anguissola, ich wzajemne przywiązanie, serdeczność i miłość, lecz także żywą inteligencję, oddawanie się przyjemnościom rozrywek intelektualnych. Sofonisba jako jedna z pierwszych artystów tamtych czasów tworzy wiele autoportretów, które podpisuje zwykle formułką „Sofonisba Anquissola Virgo" („Sofonisba Anquissola panna"), czasem dodając „seipsam fecit" („sama namalowałam").

W 1558 roku dostaje zamówienie w Mediolanie na portret księcia Alby, Fernando Álvareza de Tole-

BUONAROTTI DOSTAŁ DOWÓD, ŻE DZIEWCZYNA JEST OGROMNIE UTALENTOWANA. ZAPROSIŁ JĄ DO RZYMU. STARY MISTRZ ZGODZIŁ SIĘ UDZIELAĆ SOFONISBIE LEKCJI I KORYGOWAĆ JEJ PRACE. OJCIEC NATYCHMIAST WYPRAWIŁ CÓRKĘ DO WIECZNEGO MIASTA.

eprasa.pl 42e06210b5

do. Książę, niezmiernie zadowolony z efektu jej pracy, poleca artystkę królowi Hiszpanii, Filipowi II. Władca właśnie poślubił młodziutką Elżbietę de Valois, proponuje Sofonisbie posadę damy dworu i nauczycielki rysunku dla swej żony, z pensją 200 złotych dukatów rocznie, pokojówką i służącym. Dla Anguissoli to ogromne wyróżnienie i możliwość spokojnej pracy twórczej. Cieszy się przyjaźnią młodej królowej i całego dworu. Jest obsypywana podarunkami. Wkrótce zostaje też nadwornym malarzem, jest ciepło przyjęta przez innych twórców przebywających w pałacu w Madrycie. Maluje rodzinę królewską, możnowładców i szlachtę Hiszpanii. Syna Filipa, Carlosa, portretuje w ujęciu trzy czwarte, dzięki czemu nie widać jego zdeformowanych nóg. Zachwycony Carlos zamawia 18 kopii swego portretu. Papież Pius IV po otrzymaniu portretu królowej pisze do Sofonisby: „Czujemy wdzięczność za to, że portret został wykonany Twoją ręką tak umiejętnie i pięknie. Dziękujemy Ci za to, zapewniając, że będziemy przechowywać ów portret między najcenniejszymi naszymi rzeczami. Chwalimy także Twą sztukę, która nie tylko jest godna podziwu, ale, jak sądzimy, jest najmniejszą spomiędzy ogromu Twych cnót. A kończąc przesyłamy Ci raz jeszcze nasze błogosławieństwo. Niech nasz Pan Bóg ma Ciebie w swej opiece". Giorgio Vasari, który przytoczył ten list w swych „Żywotach najsławniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów", stwierdza: „Jeżeli niewiasty tak dobrze wiedzą, jak wydać na świat człowieka żywego, to cóż za dziw w tym, że potrafią go przedstawić na obrazie, jeżeli tylko zechcą?".

▶ Twe pisma przyszły za późno...

W 1568 roku wyczerpana ciężkim porodem królowa umiera. Filip żeni się po raz czwarty, a Anguissola maluje także portret kolejnej władczyni Hiszpanii. Król chce zadbać o niemal czterdziestoletnią artystkę, namawia ją na małżeństwo, proponując jednego ze swych przyjaciół, ale ona ma inne plany. Woli poślubić Włocha i wybiera przebywającego w Madrycie Sycylijczyka Fabrizia Moncadę Pignatellego, syna księcia Paternò, wicekróla Sycylii. Filip II zgadza się z jej wyborem i wypłaca młodej parze 12 tysięcy skudów, ustanawia też 100 dukatów pensji dla malarki i prosi, by o nim nie zapomniała. Sofonisba przeprowadza się wraz z mężem do Paternò. Po śmierci ojca wspiera swym majątkiem rodzeństwo. W Paternò maluje dla tamtejszego kościoła Madonnę dell'Itria. Niestety, sześć lat po ślubie Fabrizio ginie z rąk piratów. Wdowa postanawia wrócić do rodzinnej Cremony. Wsiada na okręt dowodzony przez Genueńczyka Orazio Lomelliniego. Między młodszym o 11 lat kapitanem a malarką wybucha gwałtowne uczucie. Jeszcze z pokładu Sofonisba zawiadamia brata Asdrubale, że zamierza ponownie wyjść za mąż. Ten gwałtownie się sprzeciwia, uruchamia wszelkie znajomości włącznie z ojcem świętym, by powstrzymać siostrę przed nierozsądnym ruchem. Papież śle listy do Anquissoli, która dostaje je, wysiada w Pizie na ląd i natychmiast poślubia Orazia. Po czym pisze do Jego Świątobliwości w stylu „och, jak mi przykro, Twe pisma przyszły za późno".

Sofonisba nie ma swoich dzieci, ale zostaje najwspanialszą macochą dla Giulia, syna Lomelliniego, w przyszłości da on swej córce imię po przybranej matce. Rodzina mieszka w Genui, o której mówi się, że „złoto i srebro Ameryki za oceanem się rodzi, umiera w Hiszpanii, a pogrzebane jest w Genui". Do pracowni malarki pielgrzymują licznie artyści, między innymi odwiedza ją Rubens. Z wizytą wpadają członkowie hiszpańskiej rodziny królewskiej. Zamówienia na portrety nie ustają, bogaci Genueńczycy chcą, by malowała ich sławna Anguissola. Vasari podsumowuje jej mistrzostwo oddawania natury ludzkiej jednym zdaniem: „portretom nie brakuje nic prócz tchu" i dodaje „Sztuce, z większą niż ktokolwiek pilnością i z dużymi rezultatami, bardziej niż jakakolwiek niewiasta za naszych czasów, poświęciła się panna Sofonisba z Cremony. Umiała nie tylko rysować, malować portretować z natury i sporządzać kopie, ale niezależnie od innych wykonywała obrazy niezwykłe i piękne".

▶ Świadectwo podziwu

W 1615 roku małżeństwo Lomellinich przenosi się na Sycylię. Sofonisba pracuje, dopóki wzrok jej pozwala. Na rok przed śmiercią dochodzi do wspomnianego na początku spotkania z Van Dyckiem, który wspominać je będzie przez całe życie, pamięć ich rozmów nigdy nie zblaknie. Ta, którą uważał za największą spośród znanych mu malarzy, umiera mając lat 93. Mąż zostawia potomnym świadectwo swej miłości i uznania dla jej sztuki, każąc wyryć na płycie nagrobnej w kościele San Giorgio dei Genovesi w Palermo następujące słowa: „Do swojej żony Sofonisby, ze szlacheckiego rodu Anguissola, umieszczonej wśród wybitnych kobiet świata ze względu na jej niezwykłą urodę i naturalne dary, i tak wybitnej w portretowaniu ludzi, że nikt z jej czasów nie mógł jej dorównać, Orazio Lomellini, przeszyty niezmiernym bólem złożył to świadectwo podziwu, zbyt małe jak na taką kobietę, choć najwyższe dla zwykłych śmiertelników". ■

eprasa.pl 42e06210b5

Marek Kalinowski

Drogami Ryuichiego Sakamoto

Był autorem muzyki do wielu głośnych filmów, w tym nagrodzonej Oscarem ścieżki dźwiękowej „Ostatniego cesarza". W marcu w wieku 71 lat zmarł japoński kompozytor Ryuichi Sakamoto. Na krótko przed śmiercią wydał ostatni, pożegnalny album „12", przypominając, że muzyka filmowa to zaledwie niewielki fragment jego niezwykle bogatej, wielogatunkowej twórczości.

W obszernej dyskografii Ryuichiego Sakamoto można się zagłębiać bez końca, wciąż odkrywając nowe, zaskakujące rzeczy. Ta muzyczna podróż wiedzie niezliczoną ilością tropów, a każdy ze słuchaczy musi odnaleźć własny klucz do twórczości japońskiego kompozytora.

Zapewne wielu z łatwością przypomni sobie znajomą melodię z obrazu „Wesołych świąt, pułkowniku Lawrence", muzykę z filmów Bernarda Bertolucciego czy tę z „Małego Buddy'ego", „Pod osłoną nieba", czy wreszcie z „Ostatniego cesarza", która przyniosła mu nagrodę Grammy i Oscara. A przecież muzyka filmowa to zaledwie wierzchołek olbrzymiej, zahaczającej o wiele muzycznych gatunków twórczości Sakamoto. Elektronika, pop, ambient, a nawet jazz i muzyka klasyczna, twórczość solowa oraz duety i wreszcie znany na całym świecie zespół Yellow Magic Orchestra.

Ryuichi Sakamoto, „12", Milan Records

Choć zakorzeniony w kulturze japońskiej, nie tylko znajdował uznanie u zachodniego odbiorcy, lecz także nieustannie współpracował z zachodnimi artystami i kształtował zachodnią muzykę, zwłaszcza muzykę elektroniczną, której był jednym z prekursorów i orędowników. Od młodości zafascynowany twórczością Bacha i Debussy'ego, współpracował m.in. z Fenneszem, Iggy Popem, Davidem Byrnem, Davidem Sylvianem, zaś po jego twórczość wielokrotnie sięgali artyści z bardzo odległych muzycznych światów, od brytyjskiego frontmana grupy Pulp Jarvisa Cockera, związanego z hip-hopem Thundercata, aż po islandzką kompozytorkę muzyki filmowej Hildur Guðnadóttir.

W styczniu ukazał się ostatni, pożegnalny album Ryuichiego Sakamoto, krążek zatytułowany „12". Płyta bardzo ciekawa, ale też na wskroś smutna. Kompozytor nagrywał ją w trakcie zmagań z nawrotem choroby nowotworowej, ze świadomością zbliżającej się śmierci. Album jest rodzajem muzycznego dziennika, zapisem dźwięków, które rejestrował między kolejnymi pobytami w szpitalu. Tytułami utworów są ich daty powstania. Dość łatwo o skojarzenia z ostatnim albumem „You Want It Darker" Leonarda Cohena czy „Blackstar" Davida Bowiego, jednak u Sakamoto nie znajdziemy żadnego śladu przesłania ani też potrzeby jakiejkolwiek autokreacji.

Choć nagrania powstawały w skrajnie trudnym okresie, „12" jest ewidentnym zachwytem nad cudem życia. Sakamoto wciąż ciekawy świata, bardziej słucha, niż tworzy. Uważny na każdy dźwięk otoczenia, rejestruje nawet własny oddech, którym nie jest w stanie wejść w zwykły rytm. Dźwięki otoczenia i cisza są tu nie mniej ważne niż budujące nastrój syntezatorowe pasaże, czasem kojące, a czasem mocno niepokojące. To rzeczywistość wyznacza granicę, w której pojawią się kolejne dźwięki. Płyta skłania do medytacji, refleksji i odpoczynku, jest dla słuchaczy ważną lekcją pokory, przyjęcia tego, co życie nam oferuje. Być może trzeba było jaśniejszych chwil w tej trudnej codzienności, by Sakamoto usiadł do fortepianu i wracał do wolnych improwizacji, wprowadzając do muzycznego dziennika ledwie zarysowane linie melodyczne, które niczym promienie wpadającego słońca zaczarowują przestrzeń. ■

eprasa.pl 42e06210b5

Hanna Shen

Gdy 25-letni Etsuro Sotoo stanął w 1978 roku przed niedokończoną świątynią Sagrada Familia, wiedział już, że znalazł cel swojego życia. Zdecydował, że zostaje w Barcelonie i że zatrudni się jako jeden z kamieniarzy pracujących przy dziele Gaudiego.

Japoński rzeźbiarz i jego odpowiedź na cancel culture

Żyjemy w czasach nowej rewolucji kulturalnej, jaką jest ideologia „cancel culture", tj. „kultura unieważniania". Jej celem jest zniszczenie cywilizacji Zachodu, w budowę której fundamentalny wkład wniósł Kościół katolicki. Światopoglądowo „kultura unieważniania" czerpie z bolszewizmu, totalitarnej ideologii, które skupiały się na zniewoleniu i stworzeniu świata, w którym nie można bez strachu głosić własnych myśli i w którym, jeśli zostanie się określonym jako „wróg ludu", to jest się systematycznie usuwanym ze wszystkich aspektów życia.

W 2018 roku zwiedzając bazylikę Sagrada Familia w Barcelonie, stanęłam przy przepięknych Drzwiach Miłosierdzia stworzonych przez japońskiego rzeźbiarza Etsuro Sotoo. Mój hiszpański przewodnik określił to dzieło i twórczość Sotoo jako przykład zdrowego globalizmu. Nie tego, który każe nam, wychowanym w cywilizacji zachodniej, wstydzić się dorobku naszej kultury, lecz który pokazuje, że nasza zachodnia kultura i chrześcijańskie wartości mogą zmieniać świat i ludzi. Tak jak zmieniły życie pochodzącego z Dalekiego Wschodu artysty nazywanego dziś japońskim Gaudim.

W poszukiwaniu celu życia

Etsuro Sotoo urodził się w 1953 roku w rozciągającym się nad zatoką Hakata japońskim mieście Fukuoka. Po ukończeniu Wydziału Rzeźby na Akademii Sztuk Pięknych w Kioto i uzyskaniu pozycji nauczyciela sztuki na tej uczelni, Sotoo mógł wieść spokojne życie w swoim rodzinnym kraju. Japoński rzeźbiarz nie czuł się jednak spełniony. Jak sam przyznał, jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że jego artystyczną misją jest tworzenie z kamienia, a nie nauczanie. Miał też przekonanie, że odpowiedzi na wszystkie nurtujące go pytania dotyczące jego celu w życiu znajdzie w Europie. I tak w 1978 roku najpierw udał się do Paryża. Tam jednak nie poczuł, że odnalazł to „coś", czego szukał, i postanowił pojechać do Niemiec. Jednak najpierw wymyślił, aby wpaść do Hiszpanii. I tak wkrótce na własne oczy zobaczył świątynię Sagrada Familia w Barcelonie.

Największa poezja chrześcijańska w kamieniu

Kardynał Francesco Ragonesi określił bazylikę Sagrada Familia (Świętej Rodziny) „największą poezją chrześcijańską w kamieniu", a o jej twórcy Antonim Gaudim powiedział, że to „Dante architektury".

Gaudi rozpoczął pracę nad budową Sagrada Familia jeszcze w 1883 roku, mając zaledwie 31 lat. Gdy pytano go, kiedy zakończy budowę kościoła, odpowiadał: „Mój klient się nie spieszy". Dla Boga – jego „Klienta" – „tysiąc lat jest jak jeden dzień". Wiedział, że nigdy nie zobaczy ukończonego dzieła, gdyż zdawał sobie sprawę, że zaprojektował świątynię olbrzymią, która w jakiś sposób miała symbolizować potęgę i bezmiar Boga.

7 czerwca 1926 roku Gaudi uległ tragicznemu wypadkowi – wpadł pod koła tramwaju na jednej z ulic Barcelony. Zmarł trzy dni później, 10 czerwca 1926 roku, mając 74 lata. Pośmiertny hołd oddały mu tysiące ludzi. Został pochowany w krypcie w Sagrada Familia, która została wybudowana jako pierwsza część kościoła i składa się z siedmiu kaplic.

Gaudi chciał, aby Sagrada Familia była obecnością Kościoła i Ewangelii pośród miasta. Jej konstrukcja jest strzelista i bardzo lekka. Budowla ma 18 wież (niektóre są nadal na wykończeniu), po cztery z każdej fasady reprezentujące 12 apostołów, cztery wieże reprezentujące czterech ewangelistów, najwyższe dwie dedykowane są Jezusowi Chrystusowi i Maryi Dziewicy. Wymiary obiektu są imponujące: najwyższa z wież apostołów ma 107 metrów wysokości, ewangelistów po 135 metrów, wieża Maryi 138 metrów, a Jezusa 172,5 metra wysokości.

Obecnie budowla obejmuje trzykrotnie większą powierzchnię niż była pierwotnie planowana. Główna nawa jest zadaszona; w świątyni odprawiane są już nabożeństwa. Zakończenie budowy Sagrada Familia ma nastąpić w 2026 roku, w stulecie śmierci Gaudiego.

Gijs van Hensbergen, holenderski historyk sztuki i autor biografii Gaudiego, powiedział, że „podczas gdy to Gaudi zaprojektował świątynię Sagrada Familia, to Sagrada Familia uczyniła Gaudiego pobożnym chrześcijaninem".

Antonio Gaudi przed rozpoczęciem prac przy budowie Sagrada Familia właściwie stracił wiarę. Mimo, że wywodził się z głęboko wierzącej rodziny i uczęszczał do szkoły pijarów, to jako dorosły człowiek bardzo oddalił się od Boga i od Kościoła. Był członkiem bractwa antykościelnego. Prowadził hulaszczy styl życia, pił i bluźnił, odwiedzał domy publiczne i palił opium.

Ale prace nad Sagrada Familia wszystko zmieniły. Od momentu, w którym architekt podjął się zadania budowy kościoła, jego życie – jako to określił Ojciec Święty Bendykt XVI – „zostało naznaczone głęboką przemianą. Tak oto rozpoczął intensywną praktykę modlitwy, postu i ubóstwa, czując potrzebę duchowego przygotowania się, aby podołać wyrażeniu w rzeczywistości materialnej niezgłębionej tajemnicy Boga".

Sam Gaudi wyznał, że „tylko Kościół może godnie reprezentować ducha ludu, ponieważ religia jest najbardziej wzniosłą siłą w człowieku".

Sagrada Familia, największe dzieło Gaudiego, wobec którego od 1992 roku trwa proces beatyfikacyjny, jest też często nazywana hymnem do Boga. Nic więc dziwnego, że świątynia przeszkadzała komunistom, którzy w czasie wojny domowej w Hiszpanii próbowali ją zniszczyć. W 1936 roku grupa członków Frontu Ludowego okupowała świątynię na wczesnym etapie bu-

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 42e06210b5

dowy. Podpalili kryptę i zniszczyli większość planów Gaudiego, rysunków i modeli gipsowych. Naukowcy potrzebowali 16 lat, aby odtworzyć utracone dokumenty, zbierając ich zachowane fragmenty.

Rozmowa z Bogiem

Gdy 25-letni Etsuro Sotoo stanął w 1978 roku przed niedokończoną świątynią Sagrada Familia, wiedział już, że znalazł cel swojego życia. Zdecydował, że zostaje w Barcelonie i że zatrudni się jako jeden z kamieniarzy pracujących przy dziele Gaudiego. Sotoo nie znał hiszpańskiego, wiedział więc, że nie będzie to łatwe zadanie, ale rozumiał też, że jeśli się go nie podejmie, to będzie tego żałował całe życie. Udało się. Japończyk otrzymał pracę najpierw jako kamieniarz, a później rzeźbiarz na budowie Sagrady. Dziś ma tytuł głównego rzeźbiarza Sagrada Familia. Sotoo uczył się hiszpańskiego i studiował dzieła Gaudiego. Chciał wczuć się w idee i styl katalońskiego artysty, by móc tworzyć zlecone mu rzeźby w jego duchu. Uważał jednak, że nie bardzo mu to wychodzi, że cały czas czegoś brakuje.

Etsuro Sotoo często mówił, że „rzeźbiarz prowadzi rozmowę z kamieniem przez cały czas wykuwania rzeźby. Nie za pomocą ludzkiej mowy, lecz przy użyciu dłuta i młotka. Każde uderzenie w kamień jest moim pytaniem do niego, a każda zmiana formy, jaka ukazuje się moim oczom po takim uderzeniu, jest jego odpowiedzią. Sugestią, wskazówką lub zakazem".

Sotoo poznał wszystkie prace Gaudiego, a mimo to nie mógł zbliżyć się do jego stylu. I wtedy postanowił nie patrzeć na Gaudiego, lecz tam, gdzie patrzył Gaudi. Japoński architekt poczuł, że poza rozmową z kamieniami musi podjąć inny rodzaj dialogu – z Bogiem. „Kiedy przyjechałem do Barcelony byłem człowiekiem niewierzącym. Kiedy zostałem zatrudniony przy pracach nad Sagrada Familia, także. Kiedy dalej pracowałem, również. A ducha twórczości Gaudiego można zrozumieć tylko wtedy, kiedy jest się człowiekiem wierzącym, bo jego dzieła sakralne są przesiąknięte jego wiarą. Gdy to zrozumiałem, odkryłem chrześcijaństwo. Mając 37 lat, w 1991 roku, nawróciłem się. O Bogu, Jezusie, Duchu Świętym, o Maryi opowiadały mi przez lata dzieła Gaudiego albo sam też Gaudi przez nie, opowiadał mi o Nim. Bo te dzieła mówią o Stwórcy, te kamienie o Nim mówią" – wyznaje Etsuro Sotoo.

Odtrutka na „kulturę unieważniania"

Dziś ideologia „kultury unieważniania" w swej metodologii chce nas odizolować od przeszłości i w ten sposób odciąć od mądrości kultury katolickiej. Jednocześnie propaguje podejrzliwość i niechęć do Kościoła katolickiego i katolików. Wpaja w nas poczucie wstydu za osiągnięcia cywilizacji chrześcijańskiej i chce odwrócenia Zachodu od jego chrześcijańskiego etosu.

Niedawno w Polsce doświadczyliśmy, jak działają ideolodzy „kultury unieważniania". TVN24 wyemitowała szkalujący materiał, w którym kłamano, jakoby Jan Paweł II w kwestii pedofilii w Kościele chronił „instytucję, a nie ofiary". Tuż przed marszami papieskimi, jakie miały miejsce 2 kwietnia w wielu polskich miastach, w Łodzi i Stalowej Woli zniszczono pomniki papieża z Polski. Celem ataku na św. Jana Pawła II rozpoczętego przez TVN jest nie tylko zrujnowanie wielkiego symbolu religijnego i wielkiego Polaka. To jest także kampania, która ma wzbudzić nienawiść i pogardę wobec tego wszystkiego, co dla nas, Polaków, jest najważniejsze. Hunwejbini ideologii „kultury unieważniania" uderzyli w polskiego Papieża, bo to on przypominał, że losy cywilizacji zachodniej bez Boga to katastrofa dla całej ludzkości.

Święty Jan Paweł II w adhortacji „Ecclesia in Europa" napisał: „Odrzucić powracającą pokusę budowania miasta ludzi bez Boga, czy wprost przeciw Niemu. Gdyby do tego doszło, ludzka społeczność wcześniej czy później doznałaby ostatecznej klęski".

Etsuro Sotoo wywodzi się z tradycji kulturowej i religijnej bardzo odległej od chrześcijańskiej. Pokochał twórczość Gaudiego i chciał brać udział w dokończeniu jego dzieła, ale bycie wiernym duchowi Gaudiego przyszło mu z trudnością. Kiedy w końcu zrozumiał swoje prawdziwe intencje powstania Sagrada Familia, jego życie się zmieniło. „Zachęcam wszystkich, którzy chcą zrozumieć Gaudiego, aby nie wybierali niewłaściwych drzwi. Jeśli naprawdę chcesz go poznać, znajdź drzwi ducha i wiary".

Etsuro Sotoo mówi, że jego zaangażowanie w architekturę było pierwszym krokiem, dzięki któremu Gaudi pomógł mu przemyśleć jego wartości. Po pewnym czasie przeszedł na katolicyzm. Wkroczył w świat, w którym można budować tylko z Bogiem i dla Boga.

Kiedy mój hiszpański przewodnik po Sagrada Familia mówił, że Sotoo to przykład zdrowego globalizmu, miał na myśli to, że życie i twórczość japońskiego rzeźbiarza z Fukuoki to dowód na to, że gdy orient spotyka się z Zachodem, który nie unieważnia swoich chrześcijańskich korzeni, nie wstydzi się swojej kultury i wartości, to właśnie taki Zachód ma bardzo dużo do zaoferowania Wschodowi, całemu światu. W jakimś stopniu więc Etsuro Sotoo i jego droga do świątyni Sagrada Familia, droga do Boga, to odtrutka na cancel culture. ■

Wykorzystane materiały:
The Japan Times, www.japantimes.co.jp/life/2017/04/01/people/etsuro-sotoo-master-sculptor-spain-found-calling-pile-rocks/
Włodzimierz Rędzioch, „Antonio Gaudi – architekt Boga", „Niedziela" nr 27/2004;
Gijs van Hensbergen, „Gaudi. Geniusz z Barcelony".

eprasa.pl 42e06210b5

FOT. MAT. PRAS.

Krzysztof Karnkowski

Milicja Obywatelska w pogoni za świętością

„Święty" to nie tylko duchowe rozterki PRL-owskiego milicjanta z prowincji zderzonego z tysiącletnią historią Kościoła, lecz także sprawnie oddający realia epoki i dobrze nakręcony dramat kryminalny.

eprasa.pl 42e06210b5

W ostatnim tygodniu marca miał premierę nowy polski film w reżyserii Sebastiana Buttnego, zatytułowany „Święty". To bardzo ciekawa i sprawnie zrealizowana opowieść rozgrywająca się w realiach późnej Polski Ludowej. Wychodząc od autentycznej historii, która w 1986 roku wstrząsnęła całym krajem, Buttny stawia przed bohaterami pytania i wyzwania aktualne również dziś. A może nawet – zwłaszcza dziś, choć sam, jako twórca, unika tak jednoznacznych interpretacji, zostawiając je widzom.

Niematerialna wymowa czynu

Zacznijmy od wydarzenia, które stało się inspiracją do powstania filmu. Jego suchy opis znajdziemy na stronie Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Policji. „W nocy z 19 na 20 marca 1986 roku dokonano włamania do Bazyliki Archikatedralnej w Gnieźnie. Celem działania sprawców był sarkofag św. Wojciecha" – piszą policyjni eksperci, by przejść do całej listy koniecznych w śledztwie badań. Już jej początek wskazuje, jak złożona była to operacja, wymagająca powołania biegłych z takich dziedzin jak daktyloskopia, mechanoskopia i fizykochemia. Dzięki ich pracy dość szybko dokonano pierwszych ustaleń, które najpierw pozwoliły na miejscu odnaleźć pozostawione przez sprawców fragmenty relikwiarza i sprzęt przez nich użyty. W świątyni trwały wówczas prace remontowe, co zostało wykorzystane przez złodziei, którym chodziło tak naprawdę tylko o srebrne części relikwiarza, lecz którzy dokonali przy tym zamachu na autentyczną świętość.

Ta niematerialna wymowa czynu sprawiła, że trudno było rozpatrywać go jako zwykły rabunek, był to bowiem zamach na Kościół, na świętego, na historię Polski. Dlatego łatwo było księżom i wiernym nadać sprawie wymiar polityczny i dopatrywać się w niej działania wrogiego państwa komunistycznego. Państwa, którym raptem kilkanaście miesięcy wcześniej wstrząsnął mord na księdzu Jerzym Popiełuszce, dokonany rękami funkcjonariuszy SB i, jak podejrzewał każdy, z błogosławieństwem mocodawców bezpieki. Tamto morderstwo rzutowało na wzajemne relacje na linii Kościół–państwo z obu stron. Wierni i księża pozostawali nieufni, władza natomiast nie potrzebując eskalacji, chciała sprawę zamknąć szybko, ale sprawnie. To napięcie obecne jest w filmie Buttnego, budując jedną z jego warstw, o czym za chwilę.

Wróćmy do suchego policyjnego opisu: „W wyniku przeprowadzonych badań ustalono podejrzanych, a w dalszej kolejności w ich mieszkaniach zabezpieczono narzędzia. W toku postępowania odnaleziono bryły srebra z widocznymi fragmentami elementów ozdobnych pochodzących z trumny. [...] W badanych dowodach rzeczowych eksperci zaczęli trafiać na niecałkowicie zniszczone małe elementy pochodzące z relikwiarza. Najwięcej dowodów rzeczowych, które bezpośrednio powiązano z relikwiarzem św. Wojciecha, znaleziono w garażu, w którym sprawcy kradzieży przetapiali skradzione fragmenty relikwii. Były to m.in. nie przetopione do końca fragmenty sterówek orła, fragmenty lewych skrzydeł herm aniołów, klamra, nakrętka krzyżowa, gwóźdź z piramidalną główką z jednej z kończyn ukrzyżowanego Chrystusa, znajdującego się na krzyżu biskupim, fragment wstęg". Zatem poważne, naukowe, a więc i „filmowe" śledztwo.

Dualizm sacrum i profanom

Oprócz strony ludzkiej – zwykłych bandziorów polujących na srebro, którzy bezrefleksyjnie porwali się na zbyt wielką, dosłownie i w przenośni, sprawę, mamy jeszcze inne, ciekawsze warstwy – polityczną i duchową.

Buttny pochodzi z Gniezna i kradzież relikwiarza pamięta dobrze, było to wstrząsające dla całej lokalnej społeczności wydarzenie. W wywiadzie, który w dniu premiery ukazał się na łamach „Gazety Polskiej Codziennie", pokazanej przez siebie historii nadaje jednak szerszy wymiar niż tylko lokalne wspomnienie. „Nie opowiadamy historii kradzieży, lecz historię śledztwa prowadzonego przez fikcyjnego bohatera Andrzeja Barana. W naszym filmie – opowiada reżyser – pojawiają się fakty historyczne, które są dla nas inspiracją, ale opowiadamy o tym, co nie zostało podjęte w tamtych wydarzeniach. Zaglądamy do tamtej rzeczywistości od strony treści, które mają charakter ponadczasowy i uniwersalny. Głównym bohaterem jest ateista, który musi poprowadzić śledztwo pod bardzo dużą presją nie tylko swoich przełożonych, ale przede wszystkim wiernych i Kościoła. Materializm, przyziemny konkret i pragmatyzm spotykają się ze sferą sacrum. Obserwujemy tę konfrontację, ale też oswajanie się obu tych sfer. Jeżeli jest coś w naszym filmie, co staje się dzisiaj dla mnie jeszcze bardziej aktualne, to te zdarzenia, które prowadzą do pojednania. Tak się składa, że św. Wojciech po śmierci stał się symbolem łączenia, spajania. Wyrazem tego jest zjazd gnieźnieński z 1000 roku, potem odrodzenie kultu świętego w XII wieku, kiedy powstawały Drzwi Gnieźnieńskie, a Polska była rozbita na dzielnice, tak też było w 1986 roku. W moim przekonaniu obrazy

eprasa.pl 42e06210b5

związane z wydarzeniami tamtego marca symbolicznie zapowiadały rychły upadek komuny".

Ten dłuższy cytat mówi dużo o motywacjach twórcy, jednak ten dualizm sacrum i profanom towarzyszy filmowi na każdym kroku. Dość wspomnieć, że pierwszy raz dowiedziałem się o nim ze zwiastunów pokazywanych w kinach przed seansami lutowych nowości, jednak zaproszenie na pokaz przedpremierowy dotarło do mnie kanałami, którymi zwykle dostaję informacje o produkcjach jednoznacznie wpisujących się w religijny nurt kinematografii. Czy „Święty" jest filmem religijnym? Tylko w pewnym stopniu, przy wejściu w taki temat nie można od religii odejść, lecz nie przeszkadza mu to być przy okazji kryminałem, dramatem, wreszcie całkiem wierną pocztówką z PRL-u.

▶ Bardzo udana podróż w czasie

Od pierwszych minut seansu wiedziałem już, że „Święty" mi się podoba i tylko bałem się, że coś mi to pierwsze wrażenie zepsuje. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Przede wszystkim czułem silne zanurzenie w klimacie tradycyjnej, PRL-owskiej szkoły filmowej w każdym niemal aspekcie, ten obraz jest w pewnym stopniu wręcz hołdem dla polskiego kina z czasów, które pokazuje, choć jest przecież zrobiony całkiem nowocześnie. To stylizacja, nie archaizm. PRL-owskie są tu jednak nie tylko wnętrza i plenery, nie tylko muzyka, lecz także śladowo obecna na ekranie za sprawą żony głównego bohatera golizna ma pewien PRL-owski sznyt.

Ta konsekwencja zrobiła na mnie nie mniejsze wrażenie od samej treści filmu. Sporo wiemy już o niej z wypowiedzi reżysera. Do jego opisu dodam, że w śledztwie główny bohater, grany przez Mateusza Kościukiewicza, otrzymuje wsparcie zarówno od trochę tajemniczego księdza erudyty (granego przez Leszka Lichotę, który za chwilę stanie się zapewne najpilniej obserwowanym i ocenianym polskim aktorem z racji angażu do roli tytułowej w nowej wersji „Znachora"), jak i od żony – historyka sztuki (Lena Góra) i jej kolegów po fachu. Wątki, w których milicjant odkrywa, że poszczególne elementy śledztwa mają swe pierwowzory w malowidłach na Drzwiach Gnieźnieńskich, przywodzi na myśl intelektualne zagadki z prozy Arturo Pérez-Reverte'a. Jesteśmy jednak w Polsce, w konkretnym momencie dziejowym. Metafizyka miesza się z polityką w jej najbardziej obrzydliwym wydaniu. W śledztwie prowadzonym przez chcących po prostu pracować prowincjonalnych gliniarzy pojawia się nagle esbek z departamentu czwartego, a wraz z nimi podejrzenie, że wszystko może być akcją służb mającą na nowo ułożyć relacje dwóch kluczowych polskich graczy. Co więcej, Baran, tropiąc powiązania dawnego kolegi z SB, odkrywa, że zagraniczne podróże jego żony miały swą cenę, o której nie wiedział. Dość łatwe prześlizgnięcie się nad tym odkryciem to chyba jedyny zgrzyt w całej opowieści, choć z drugiej strony... Andrzej Baran był poznańskim milicjantem, nie opozycjonistą, więc może i wiadomość o zobowiązaniu żony do współpracy ze służbami nie było dla niego końcem świata. Nawet gdy sam ze zdziwieniem odkrywał, że świat ten ma swą duchową warstwę, której nie widział wcześniej.

„W nocy z 19 na 20 marca 1986 roku dokonano włamania do Bazyliki Archikatedralnej w Gnieźnie. Celem działania sprawców był sarkofag św. Wojciecha".

Recenzujący „Świętego" dla Interii Łukasz Adamski ogólnie chwaląc, trochę jednak narzeka, pisząc, że dbałość o realizm nie pozwoliła stworzyć naprawdę ciekawego filmu sensacyjnego. „Seans »Świętego« jest przyjemny" – pisze Adamski. „Szczególnie dla widzów pamiętających realia PRL-u, program 997 i porucznika Borewicza. Nie spodziewajcie się jednak czegokolwiek więcej niż solidnego i zachowawczego kryminału, osadzonego w słusznie minionej epoce. Brakuje tutaj choćby ukąszenia peerelowskiej »Kobry«" – konkluduje. To prawda, że Buttny mógł pójść jeszcze mocniej w kino gatunkowe, mógł dodać do swej opowieści więcej brawury, jednak moim zdaniem tak naprawdę niczego przez to nie stracił. To dobry polski film, mówiący o ważnych czasach i ciekawie pokazujący mały, dziś chyba trochę zapomniany wycinek historii Polski. Jeśli uznać „Świętego" za hołd artysty dla konkretnego momentu w dziejach kraju, nastroju społecznego i klimatu, również kultury, jest to bardzo udana podróż w czasie. ■

eprasa.pl 42e06210b5

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Miejsce pod dobry kadr

W ciągu dnia zagląda tu kilka, może kilkanaście osób. Bo i mało kto wie o istnieniu takiego rarytasu na mapie turystycznej wschodniej Polski. Dla mnie to nawet lepiej: będę mógł się tu pokręcić zupełnie sam. Przekraczając po raz któryś już próg innego wymiaru rzeczywistości. Rozśpiewanej nutami ptasiego koncertu, pachnącej wiosennie kwitnącą akacją, z cudnie opalanymi się w słońcu drewnianymi chatkami. Rzeczywistości stanowiącej gotowy plener dla filmu historycznego. Zresztą 21 scenarzystów już coś nieco może o tym powiedzieć...

Kadr, na który nie trzeba długo czekać

Krajowa trasa numer dwa łącząca Warszawę z Terespolem. Odcinek między wiecznie zakorkowanym Kałuszynem a siedemdziesięciopięciotysięcznymi Siedlcami. W tych dniach bardzo rozkopany w związku z budowaną obok autostradą. Po zasypanej pochodzącym z pobliskiej budowy pyłem i piaskiem szosie co rusz ślamazarnie toczy się jakaś koparka bądź wywrotka. Wkoło słychać warkot wiertnicy. Huk przesypywanego gruzu. Grzechot pracującej betoniarki. Pędzące do tej pory po pustawej dwupasmowej ekspresówce samochody tutaj muszą już zwolnić. A ich kierowcy uzbroić się w cierpliwość. Niektórzy natomiast uciekają w okoliczne odnogi. Czy będą w ten sposób szybciej u celu, to raczej wątpliwe. Ale to, że pojadą znacznie bardziej urokliwą trasą od tej dotychczas, jest oczywiste.

Podobnie jest w mijanej małej miejscowości Bojmie. Tu, gdzie tak często w pobliskiej zatoczce przy przystanku autobusowym chowają się panowie z siedleckiej drogówki. Minąwszy patrol, odbijamy z głównej trasy, skręcając w lokalną drogę prowadzącą na północ. Wkoło nas typowo wiejski pejzaż. Z siatką pól pocerowanych kępami traw. Ze stojącymi pojedynczo domostwami. Z wylegującymi się na podwórzach psami mrużącymi oczy do słońca. Z czujnymi bocianami patrolującymi podmokłości przepływającej obok rzeki Kostrzyń.

Jeszcze kilka chwil i będziemy na miejscu. Minąwszy Słuchocin ze słynnym wśród miejscowej ludności jazem, znanym przede wszystkim z wodowania kajaków, wjeżdżamy do maleńkiej wioski o poetyckiej nazwie Nowa Sucha. Jesteśmy na miejscu.

Pierwsze spotkanie

– Jak tu przybyli po raz pierwszy, zastali ruinę. Panie, to się nawet w głowie nie mieści, jak to wyglądało wówczas... – opowiada z charakterystycznym podlaskim zaśpiewem pani Jolanta. – Wszyscy specjaliści odradzali im kupowanie tej posiadłości. Zapadnięty dach, pozawalane ściany, nie było czego zbierać.

– A jednak zdecydowali się kupić... – Uśmiecham się, zachęcając panią kustosz do opowiedzenia dalszej części historii.

– Tak. – Podchwytuje pani Jola. – Bo pan profesor to był pasjonat. Jak coś sobie wyobraził, to robił wszystko,

eprasa.pl 42e06210b5

Zabytkowy wiatrak koźlak ocalał pomimo całej serii „przypadkowych uderzeń piorunem" w tej okolicy

aby to marzenie zrealizować. No i sam pan widzi, co się tutaj zadziało...

– Dobrze go pani znała?

Przez chwilę pani kustosz delikatnie się uśmiecha, potem na jej twarzy pojawia się wzruszenie. – Czy dobrze? Znałam go 25 lat. Chyba zdążyłam go troszkę poznać...

– I jaki był?

– Ciepły, dobry, nienarzucający się. Nie wywyższający się. Wszyscy mieszkańcy wsi za nim przepadali. Cieszyli się, jak przyjeżdżał.

– Trudno się dziwić – podsumowuję, zerkając na przepięknie otoczony kwitnącymi akacjami skansen. – *De facto* uratował to miejsce. Dał mu nowe życie.

– To prawda. Dzięki niemu mamy tu prawdziwie piękny świat.

Karczma i koźlak

Żeby poznać ten świat, wystarczy zaparkować samochód po drugiej stronie mało uczęszczanej asfaltowej drogi w Nowej Suchej. Minąć starodawną drewnianą studnię, rozsypujący się płot i nacisnąć na klamkę furtki od bramy znajdującej się w cieniu modrzewiowego gaju. Warto jednak pamiętać, że naciskając na klamkę, wyrażamy zgodę na przekroczenie bramy prowadzącej do innej rzeczywistości. Do wymiaru, który tak dalece odbiega od tego, co dziś wdzięczy się hałaśliwie wkoło nas. To trochę jakbyśmy zakupili bilet do teatru bądź kina, aby przez kilka godzin pobyć zupełnie gdzie indziej. Zająć zmysły innymi bodźcami, obrazami. A w tym wypadku także zapachem.

Do pobliskiej pamiętającej 1900 rok karczmy plebańskiej – niezwykłej konstrukcji zbudowanej bez jednego gwoździa, z dopasowanymi w jaskółczy ogon belkami – prowadzą drewniane schody. Część stopni jest już dość popękana. Gdzieniegdzie widać sporej wielkości szpary. Na górze schodów, na drewnianym tarasie siedzi trzech młodych chłopców. Przyjechali tu swoimi rowerami. Zostawiając je przy pobliskiej studni. Z racji pogody ubrani są w krótkie spodenki i koszulki. Przed słońcem chronią ich spiczaste czapki z daszkiem. Chłopcy popijają oranżadę. „Dzień dobry" – witają się, gdy pojawiam się na oświetlonym południowym słońcem piaszczysto-trawiastym placu.

eprasa.pl 42e06210b5

Odrestaurowany przez profesora Kwiatkowskiego dwór wygląda dziś zgoła odmiennie od tego, w jakim stanie zastał go dyrektor warszawskich Łazienek

Moja obecność chyba jednak ich płoszy, gdyż po chwili schodzą spod historycznego budynku wiejskiej karczmy i odjeżdżają w sobie tylko znanym kierunku. Idę dalej. Za karczmą rozpościera się malowniczy staw. A nad nim podupadające XIX-wieczne budynki miejskie, które niegdyś przewieziono w to miejsce z odległego o 30 kilometrów Mińska Mazowieckiego.

Nieco dalej między wysokimi chaszczami widać górną krawędź wiatraka. Żeby zobaczyć go w pełnej krasie, trzeba podejść bliżej, pokonując trawiaste zasieki pełne wygrzewających się ważek i much. Najwidoczniej dawno nikt tędy nie przechodził. Po kilku większych susach jestem pod samym koźlakiem. Podobno został w to miejsce sprowadzony aż z okolic Sokołowa Podlaskiego. Profesor kupił go za 26 mln ówczesnych złotych. Podczas okupacji mielono w nim zboże. Ale wyłącznie ukradkiem, gdy słońce zaszło już za horyzont. Tylko bowiem nocą zabraniający użytkowania wiatraka Niemcy mogli nie dowiedzieć się o tym, w jaki sposób użytkowany jest koźlak.

Dziś drewnianą konstrukcję należy traktować bardziej jako ocaloną pamiątkę niż historyczny rarytas. Tak się bowiem składa, że tuż po II wojnie światowej wyszło na węgrowskiej ziemi rozporządzenie gwarantujące właścicielom podobnych wiatraków znaczne odszkodowania w przypadku ich zniszczenia. Naraz więc kolejne koźlaki zaczęły płonąć jeden po drugim. Rzekomo, jak podawano w oficjalnych wersjach, od uderzenia piorunem. Ten jeden tutaj ocalał.

Okiem miejscowego chłopa

Profesor Marek Kwiatkowski. Pierwszy w historii dyrektor warszawskich Łazienek. Kustosz tamtejszego Pałacu na Wodzie. Muzealnik, varsavianista, honorowy obywatel m.st. Warszawy. Znawca sztuki. Człowiek niezwykle wrażliwy na piękno. Do tego stopnia, że nie mógł pozwolić, aby taki skarb jak ten tutaj w Nowej Suchej został pozostawiony sam sobie. Gdy wraz żoną Marią po raz pierwszy zobaczyli opuszczony i zrujnowany dworek, który jeszcze w 1743 roku postawił kasztelan liwski, pan Ignacy Cieszkowski, oboje doskonale wiedzieli, co powinni zrobić. Stworzą tu przedsionek nieba na ziemi. I stworzyli. Choć nie bez przeszkód.

Jest rok 1973. Przybywające do Nowej Suchej małżeństwo Kwiatkowskich zastaje obraz zupełnej ruiny. Frontowa ściana dworku jest cała zbutwiała. Portyk popękany. Wyłożony eternitem dach poniszczony. To jednak nie koniec. Wnętrze budynku przedstawia widok jeszcze gorszy. Po zadarciu głowy w górę w niektórych miejscach widać w suficie dziury. Wszędzie pod nogami walają się sterty śmieci. Ściany pokryte są grzybem. Przybyli na polecenie profesora Kwiatkowskiego znawcy nie mają najmniejszych wątpliwości. Nabywanie ta-

eprasa.pl 42e06210b5

Z początku nie było chętnego, by udzielić kredytu na odbudowę Dworu Cieszkowskich. Dopiero za namową miejscowych chłopów prof. Kwiatkowski postanowił zaryzykować

kiego dworu nie ma sensu. Na restaurację obiektu jest zdecydowanie za późno.

– Panie, co tobie te warszawiaki naopowiadały?... – zagaduje profesora któregoś dnia jeden z miejscowych chłopów.

– Twierdzą, że nie damy rady odbudować dworku. Że inwestycja nie ma szans powodzenia. Że zewsząd pałac pożera grzyb i że próżno szukać nadziei – odpowiada ze smutkiem i żalem w głosie pan Marek.

– To chodź pan ze mną, a pozwolę sobie coś zaproponować... – Po kilku chwilach obaj znajdują się w jednym z pomieszczeń zrujnowanego dworku. – Próchno, o którym mówili panu tamci, a i owszem, jest. Ale tylko tam, gdzie cieknie woda. A obok...

W tym momencie chłop sprawnym uderzeniem siekierą odrąbuje kawałek ściany. Pod nieco zbutwiałą warstwą ukazuje się jasne, zdrowe drewno modrzewiowe.

– A obok patrz pan tylko... Pod wierzchnią warstwą piękne drzewo – unosi głos mężczyzna. – Panie, nie wierz tym fachurom. Uratujemy to...

▶ Takiego zdjęcia już dziś nie zrobią...

– Miejscowi chłopi mieli rację – stwierdza pani Jolanta, siadając na chwilę w starym fotelu tuż przy przygasłym kominku w dworku. Pracuje tu jako przewodnik i kustosz zarazem. – Profesor poszedł za ich radą i zainwestował w restaurację dworku. Oraz całego otoczenia. Szkoda tylko, że dziś nie jest mu już dane cieszyć się swoim dziełem.

Na moment twarz pani kustosz na nowo poważnieje.

– To już siódmy rok, jak nie ma go z nami – pani Jolanta daje sobie chwilę czasu na zebranie myśli. Bierze kilka głębszych oddechów. – Pracowałam z nim tutaj od początku istnienia muzeum i naprawdę widziałam, jak to miejsce rośnie razem z nim.

Domyślam się więc, jak wielki ból i żal zarazem muszą towarzyszyć tej kobiecie w sytuacji, gdy widzi, jak oczko w głowie jej przyjaciela zamienia się dziś w ruinę. Owszem, ruinę wciąż niezwykle malowniczą, bez mała sielską i romantyczną. Ale jednak wciąż ruinę. Nieprzypadkowo wśród odwiedzających to miejsce turystów coraz częściej daje się słyszeć opinię o tym, że dobrze, iż udało im się w ogóle zdążyć zobaczyć jeszcze to miejsce. Nie trzeba być bowiem znawcą tematu, aby ocenić, że stan Dworu Cieszkowskich oraz pozostałych obiektów Muzeum Architektury Drewnianej Regionu Siedleckiego jest dziś po prostu tragiczny.

– Sprawa rozbija się oczywiście o finanse... – kontynuuje pani Jolanta.

Dziś właścicielką obiektu jest wdowa po profesorze Kwiatkowskim, pani Maria. Utrzymująca się sama z emerytury, z której, co oczywiste, nie jest możliwe

eprasa.pl 42e06210b5

Jedna z dwóch zabytkowych wiejskich chat przypomina historię ks. Stanisława Brzóski, ostatniego kapelana powstawania styczniowego.

przeprowadzenie kapitalnego remontu i renowacji skansenu. Obiekt pozostaje więc nietknięty. Jedynie co któryś rok zostaje pozbawiony kolejnej atrakcji.

– Koni też już nie ma... – pani Jolanta odpowiada ze smutkiem na moje pytanie o trzy piękne wierzchowce, które zapamiętałem z mojej poprzedniej wizyty w tym miejscu. Zwierzęta mogły wypasać się, gdzie chciały. Miały dostęp do całego terenu skansenu, co niewątpliwie już samo w sobie stanowiło gratkę dla najmłodszych, ale także dla wszystkich fotografów-amatorów, którzy lubują się w szukaniu ciekawych ujęć plenerowych. Tutaj nie trzeba było wiele. Podrygujące radośnie rżące koniki, które przechadzają się między wiejskimi chatami ze strzechy. Kadr, o jaki ciężko w XXI wieku.

– Pani Marii nie było już zwyczajnie stać na ich utrzymanie – kontynuuje pani kustosz. – Wziął je więc do siebie pewien człowiek z okolicznej wioski. On się nimi lepiej zajmie. Nam pozostała dziś jedynie pusta stajnia.

Pożyczki od znajomych zamiast lichwy

Idę sprawdzić. Koni rzeczywiście nie ma. Z podmurowanej ściany stajni wystaje jedynie charakterystyczny posąg z łbem zwierza. To kopia elementu z Ateńskiego Partenonu, którą profesor Kwiatkowski otrzymał niegdyś w prezencie. W środku obory nadal czuć zapach siana. Zaraz obok drewniana dzwonnica. Według znawców obiekt pamięta jeszcze XVIII wiek. Tę z kolei profesor przywiózł do Nowej Suchej z oddalonej 30 kilometrów na północ Miedznej.

„Poinformowano mnie, że ksiądz z Miedznej chce rozebrać zbudowaną z potężnych bali dzwonnicę, gdyż ma już nową. Rozbiórka okazała się skomplikowana, ponieważ nie można było dojechać do obiektu dźwigiem. Trzeba więc było ręcznie fragment po fragmencie rozbierać konstrukcję, a następnie ciężkie belki przenosić ponad wysokim ogrodzeniem" – wspomina w swoich zapiskach sam profesor Kwiatkowski.

Ówczesne banki nie chciały udzielić kredytu na inwestycję w Nowej Suchej, powołując się na opinie biegłych, przychylały się do stwierdzenia, że obiekt jest już nie do uratowania. Profesor Kwiatkowski nie miał więc wyjścia. Zaczął pożyczać pieniądze od osób prywatnych.

„Niejednokrotnie spłacałem ich potem swoimi obrazami" – zdradza sam w swoich pamiętnikach. „To była naprawdę spora pomoc".

Bez rekwizytów

– Widzą państwo tę chatkę tam? – pani Jolanta rozpoczyna oprowadzanie kolejnego małżeństwa po skansenie. Podobnych par przybywa do muzeum kilka

eprasa.pl 42e06210b5

Tutejszą kapliczkę na skraju dróg wybudował już sam profesor

dziennie. Próżno doszukiwać się tu kilkudziesięcioosobowych grup czy wycieczek. Ludzie nadal nie wiedzą o tym miejscu. – To chata, w której swego czasu ukrywał się przed Rosjanami ks. Stanisław Brzóska, ostatni kapelan powstania styczniowego.

Przed tradycyjną wiejską chatą ze słomianym dachem stoi stary studzienny żuraw. W tej chwili smagany słonecznymi promieniami jawi się jako żywa inscenizacja jakiegoś baśniowego filmu o średniowiecznej Polsce.

– Słuszne spostrzeżenie – uśmiecha się tajemniczo pani Jola. – Troszkę filmów już tu zdążyli nakręcić...

– „Troszkę" to znaczy? – dopytuję z ciekawości.

– A, niech mi pan pozwoli policzyć... – Pani kustosz zawiesza na chwilę głos, licząc coś w myślach. Po kilku sekundach odpowiada z pewnością w głosie. – Dokładnie dwadzieścia jeden.

Rzeczywiście. O ile sami przewodnicy i organizatorzy grup nie mają zwykle pojęcia o tym miejscu, o tyle znakomicie zdążyli je już poznać liczni scenarzyści i reżyserowie. Mają tu wszak wszystko. Bez potrzeby dodatkowego ustawiania inscenizacji. Bez potrzeby kreowania. Bez potrzeby szukania kolejnych rekwizytów. Tutaj przecież wszystko jest prawdziwe. Oryginalne, takie jak przed wiekami.

W Nowej Suchej kręcono choćby „Annę Kareninę" czy sceny do „Pana Tadeusza". Pojawiła się tu ekipa filmowa kręcąca „Bożą podszewkę". Kręcono tu sceny do „Szatana z siódmej klasy" i „Pornografii". Były „Śluby panieńskie", była „Bitwa Warszawska", był Teatr Telewizji. Nagrywano tu „Lwa Tołstoja" i „Młodego Piłsudskiego", a niedawno serial „Dom pod dwoma orłami". A to wciąż jedynie przykłady.

Dobry kadr

– Pani Jolu, dzień dobry. – Dzwonię do pani kustosz. – Mam dobrą informację. Mam zgodę redakcji. Napiszę wkrótce większy materiał o Nowej Suchej. Możemy chwilkę porozmawiać?

– Oj, panie Stefanie, a nie dałby pan rady spróbować zadzwonić za kilka dni? – pani Jolanta jak zawsze, gdy musi odmówić, robi to z niezwykłą delikatnością. – Bo... Bo mam tu w tej chwili ekipę filmową...

– To znowu u was coś kręcą?! – śmieję się do słuchawki.

– No znowu, znowu... Co ja poradzę, że im się tu tak podoba?... – odpowiada śmiechem pani kustosz.

– Nie ma sprawy, pani Jolu. Porozmawiamy kiedy indziej – kończę rozmowę, nie chcąc już dłużej przeszkadzać. – Proszę wracać do ekipy. Niech zrobią dobre kadry.

– Panie Stefanie, pan już sam dobrze wie, że tutaj każdy kadr wychodzi dobrze... ■

eprasa.pl 42e06210b5

Antoni Rybczyński

Bakterie i wirusy, Lenin i Putin. Program broni biologicznej państwa moskiewskiego

Wiele wskazuje na to, że na terenie Rosji prowadzone są prace nad groźnymi dla zdrowia i życia ludzkiego środkami biologicznymi, patogenami, które mogą być wykorzystane jako broń biologiczna. Co ważne, Rosja od dawna nie wpuszcza międzynarodowych ekspertów do obiektów, w których jest podejrzenie, że takie prace prowadzono jeszcze w czasach sowieckich. To sugeruje, że wciąż takie badania są tam przeprowadzane.

eprasa.pl 42e06210b5

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 42e06210b5

W połowie marca rzecznik Departamentu Stanu USA Ned Price wyraził podejrzenie, że Rosja może nadal rozwijać broń bakteriologiczną, jednocześnie rozpowszechniając fałszywe informacje o rzekomych biolaboratoriach na Ukrainie. „Rosja ma tradycję obwiniania innych o to, co sama robi" – zauważył Price. Podczas zimnej wojny Związek Sowiecki prowadził największy na świecie tajny program broni biologicznej, który później odziedziczyła Rosja. Niedługo po ujawnieniu, że to Rosjanie usiłowali zamordować Siergieja Skripala (2018), Ukraina przekazała przedstawicielom NATO raport, z którego wynikało, że Rosja prowadzi prace nad wirusami eboli i gorączki marburskiej pod pozorem badań nad nowymi szczepionkami.

Pierwsze eksperymenty

Zaczęło się sto lat temu. W latach 20. XX wieku, pod osobistym nadzorem Włodzimierza Lenina, rozpoczęto badania nad takimi patogenami, jak na przykład tularemia czy tyfus. Prace nad bronią biologiczną w pewnym momencie były wręcz oczkiem w głowie szefów sowieckiego aparatu bezpieczeństwa. Testowano tę broń na więźniach czekistów w niewielkim, nierzucającym się w oczy budynku niedaleko Łubianki. W 1925 roku większość państw świata, w tym Związek Sowiecki, podpisała protokół genewski zakazujący stosowania broni chemicznej i bakteriologicznej na polu walki. Następnie sygnatariusze zaczęli gorączkowo budować laboratoria chemiczne i biologiczne w głębokiej tajemnicy przed sobą. Także Sowieci.

Tajne laboratoria, gdzie pracowano nad bronią biologiczną, powstały w Moskwie, Leningradzie i Suzdalu. W 1928 roku dowództwo Armii Czerwonej podjęło decyzję o stworzeniu Laboratorium Szczepionek i Surowicy Wojskowo-Sanitarnego Zarządu Robotniczo-Chłopskiej Czerwonej Armii (RKKA), które miało zajmować się produkcją szczepionek i surowicy na potrzeby armii. W rzeczywistości pracowało też nad bronią biologiczną. Obiekt powstał w 1930 roku w podmoskiewskiej wsi Własicha, na daczy byłego wielkiego handlarza herbatą. W kwietniu 1933 roku przeformatowano laboratorium na Wojskowy Naukowy Medyczny Instytut RKKA, a w 1934 roku na Biotechniczny Instytut RKKA. Trzy lata później placówka ta została przeniesiona znacznie dalej od Moskwy, na wyspę Gorodomlja, leżącą na jeziorze Seliger (obwód twerski), gdzie w 1930 roku otwarto pierwszy w ZSRS instytut oficjalnie produkujący szczepionkę przeciwko pryszczycy, ale w rzeczywistości pracował on nad bronią bakteriologiczną. Decyzja o przeniesieniu Biotechnicznego Instytutu RKKA była oficjalnie podyktowana zagrożeniem rozprzestrzenienia się zakażeń, nad którymi pracował instytut, na Moskwę i inne pobliskie ośrodki przemysłowe.

Zimą 1934 roku szef Wojskowej Dyrekcji Chemicznej Fiszman doniósł Woroszyłowowi, że broń o kryptonimie „substancja 49" oparta na wągliku jest gotowa i może być użyta przez armię. Jednak podczas II wojny światowej państwa, które podpisały protokół genewski, uważały jednak, by go nie łamać. Choć oczywiście zdarzały się wyjątki. Choćby pod Stalingradem, w przeddzień kontrataku, wojska sowieckie zrzuciły na pozycje Niemców bomby, nafaszerowane pałeczkami tularemii, ostrej bakteryjnej choroby zakaźnej, mogącej skutkować u ludzi i zwierząt nawet posocznicą. Efekt był odwrotny do oczekiwanego. Bakteria okazała się nieszkodliwa dla ludzi, za to zakaziła myszy. A te zagroziły sowieckim żołnierzom, bo w ich okopach było więcej jedzenia niż u otoczonych Niemców. „Największego pecha miały sztaby armii. Buszując po domach, myszy zakażały żywność i wodę, a ludzie chorowali" – wspominał później marszałek lotnictwa Siergiej Rudenko.

Tajne badania na wyspach

Wielka wojna ojczyźniana okazała się zwycięska mimo takich małych wpadek i bez konieczności używania broni biologicznej i chemicznej na wielką skalę. Zdecydowała broń pancerna i masy ludzkie. Być może dlatego Stalina z broni masowego rażenia interesowała w ostatnich latach jego życia tylko broń atomowa. Po śmierci generalissimusa generałowie uznali jednak, że warto z nową energią wznowić prace nad produkcją broni biologicznej.

Na początku lat 60. XX wieku ośrodek z jeziora Seliger przeniesiono na Wyspę Odrodzenie leżącą na Morzu Aralskim. Był jednym z wielu instytutów rozproszonych po kraju, znajdujących się pod kontrolą 15. Zarządu Ministerstwa Obrony ZSRS, które zajmowało się „nietradycyjnymi" rodzajami broni masowego rażenia. Zwłaszcza biologicznym. Na Wyspie Odrodzenie powstał poligon Aralsk-7, na którym potajemnie przeprowadzano testy. W powietrzu wisiały chmury zarodników wąglika, ospy i dżumy, a tularemia, bruceloza, tyfus i inne choroby schodziły na ziemię wraz z deszczem. Zwierzętami doświadczalnymi były małpy sprowadzane w ogromnych ilościach (ponad pół tysiąca rocznie) z krajów afrykańskich przez Ministerstwo Handlu Zagranicznego ZSRS. Ich truchła palono w krematorium na wyspie. Jednocześnie tuż obok, kilka kilo-

eprasa.pl 42e06210b5

metrów od strefy testów, wybudowano duży obóz wojskowy, w którym mieszkało ponad 1,5 tys. ludzi – pracownicy laboratorium i ich rodziny, żołnierze, pracownicy służb. Według założycieli poligonu testowego, powinni byli być bezpieczni, ponieważ podczas testów wiatr przenosił chorobotwórcze zarodniki i bakterie w przeciwnym kierunku. Do tego dekontaminacja i gorący klimat (latem temperatury na wyspie wzrastały powyżej 40 stopni).

Nie raz jednak okazywało się, że te gwarancje są na wyrost. Najczęściej ofiarami byli rybacy łowiący na Morzu Aralskim, którzy wpłynęli w chmurę rozpylonych bakterii. Podobno kilkakrotnie mieszkańcy wyspy odkrywali łodzie z ciałami ludzi, którzy zmarli na dżumę. Testy zostały przerwane dopiero pod koniec lat 80. XX wieku, kiedy to wyspa została ewakuowana. Wtedy jednak, z powodu wysychania Morza Aralskiego, nie była już wyspą, lecz częścią stałego lądu, który wkrótce znalazł się poza granicami Rosji, w Uzbekistanie. Obecnie miasto to nosi nazwę Kantubek, a dawny instytut jest zamknięty dla zwiedzających, choć miejscowi, ryzykując złapanie wąglika lub dżumy (pałeczki mogą przetrwać w glebie przez wieki), szukają na złom sprzętu z laboratorium i poligonu.

W Związku Sowieckim były całe gigantyczne magazyny, gdzie składowano tony wąglika, ospy i innych patogenów, patogenów krzyżowanych, nad którymi specjalnie pracowano w tych laboratoriach, aby one były odporne na wszelkie znane antybiotyki.

Wpadki mniejsze i większe

Czołową placówką w sowieckim programie broni biologicznej od lat 70. XX wieku był Instytut Biologii Molekularnej „Wektor" w mieście Kolcowo w obwodzie nowosybirskim. Pracowano tam z ospą, ebolą, marburgiem, boliwijską gorączką krwotoczną. To w tym ośrodku dekady później opracowano Sputnika, rosyjską szczepionkę przeciwko COVID-19. W „Wektorze" zdarzały się jednak wypadki. Mający największe konsekwencje odnotowano w połowie lat 70. XX wieku, kiedy to podczas pracy z wirusem gorączki marburskiej szef jednego z wydziałów instytutu, Nikołaj Ustinow, przypadkowo ukłuł się w palec. Nie miał szans na przeżycie i choć lekarze zaciekle walczyli, zmarł osiem dni później. Niebezpieczeństwo rozprzestrzenienia się infekcji było tak duże, że pochowano go w specjalnej trójściennej cynkowej trumnie. Ustinow miał pecha, ale przypadkiem przyczynił się do jednego z najbardziej obiecujących odkryć placówki, w której pracował. Otóż gdy zbadano wirusa w ciele mężczyzny, okazało się, że zdążył on zmutować do tego stopnia, że stał się tysiąc razy bardziej śmiertelny! Ten szczep został starannie zachowany i stał się podstawą formuły bojowej nazwanej Wariant U na cześć badacza, który stał się „wylęgarnią" wirusa.

Ale najsłynniejszy incydent z sowiecką bronią biologiczną miał miejsce w 1979 roku w Swierdłowsku (dziś Jekaterynburg), gdzie znajdował się obiekt o nazwie Gorodok-19 – w zasadzie linia montażowa do produkcji zarodników wąglika, wytwarzająca do 500 ton śmiercionośnej substancji rocznie. Tę historię w kolejną rocznicę przypomniało niedawno Radio Swoboda.

Praca w dużym przedsiębiorstwie, zlokalizowanym w centrum jednej z dzielnic mieszkaniowych 1,2-milionowego miasta, przebiegała na trzy zmiany, a bezpieczeństwo zapewniano za pomocą kilku prostych zasad i rosyjskiego „jakoś to będzie". Wszyscy pracownicy byli regularnie szczepieni, nosili aparaty oddechowe, a w warsztatach (gdzie nieodmiennie unosiły się laseczki) w wyciągach znajdowały się ogromne filtry, które wymieniano kilka razy dziennie. Szef każdej zmiany notował zmiany w specjalnej książce. Ale 30 marca 1979 roku jeden z inżynierów spieszył się i zdążył tylko wyjąć filtr, pozostawiając notatkę dla kierownika zmiany, aby zainstalował nowy. Oczywiście notatka ta została zauważona dopiero po trzech godzinach od rozpoczęcia pracy, kiedy to do powietrza nad Swierdłowskiem dostały się miliony śmiercionośnych laseczek.

W ciągu kilku dni do miejskich szpitali zaczęli trafiać ludzie z dziwnymi objawami, które wprawiały lekarzy w osłupienie. Niby zwykłe zapalenie płuc, ale pacjenci umierali jeden po drugim. Gdy ustalono, że to jedna z najcięższych odmian wąglika płucnego, pojawiło się pytanie: skąd? Odpowiedziała władza. Oczywiście uspokajając ludzi kłamstwem.

eprasa.pl 42e06210b5

Ówczesny szef partii w regionie Borys Jelcyn (tak, ten Jelcyn) zachował się jak typowy aparatczyk epoki Breżniewa. 5 kwietnia gazeta „Uralskij Raboczij" napisała: „W Swierdłowsku i w obwodzie nasiliły się przypadki zachorowań bydła. Do gospodarstwa zbiorowego sprowadzono niskiej jakości paszę dla krów. Administracja miejska prosi mieszkańców Swierdłowska o powstrzymanie się od kupowania mięsa w dziwnych miejscach, w tym na rynkach". Ludzie ograniczyli zakup mięsa, a i tak umierali. Według różnych szacunków, zanim udało się uporać z epidemią, zmarło od stu do pięciuset osób, i to z różnych dzielnic miasta – chmura wąglika przemieszczała się na południe i południowy wschód, docierając do sąsiedniej fabryki ceramiki i dzielnic mieszkalnych. Tylko dzięki heroicznym wysiłkom lekarzy miesiąc później udało się powstrzymać epidemię i uniknąć kolejnych ofiar. Ale zamiast nagrodzić ich za bezinteresowną pracę, zażądano od nich podpisania zobowiązania do nieujawniania informacji. Inżynier, który zapomniał wymienić filtr, dostał naganę i kontynuował pracę.

produkowano w nim tony wąglika, ospy i innych czynników, które przechowywano w zakładach na terenie całego kraju. Patogeny te były często odporne na antybiotyki i przystosowane do przenoszenia za pomocą samolotów bombowych lub pocisków rakietowych.

Zachód dowiedział się o tym dopiero na przełomie lat 80. i 90. XX wieku, gdy na Zachód zbiegło dwóch ważnych pracowników Biopreparatu. Najpierw w 1989 roku do Wielkiej Brytanii uciekł Władimir Pasiecznik. Trzy lata później do USA udało się wyjechać na stałe Kenowi Alibekowi. Z ich relacji wynikało, że realizowany przez sowieckie służby program prac nad bronią biologiczną był wielokrotnie większy niż zakładały zachodnie wywiady. Biopreparat zatrudniał około 30 tys. naukowców, inżynierów i techników. W 15. Zarządzie Ministerstwa Obrony nadzorującym program broni biologicznej było około 15 tys. ludzi. W ministerstwie rolnictwa zajmowało się tym około 10 tys. ludzi. Do tego setki w instytutach Akademii Nauk ZSRS. Łącznie około 60–70 tys. W tym

PODCZAS GDY JELCYN PRZYZNAŁ, ŻE ISTNIAŁ OFENSYWNY PROGRAM BRONI BIOLOGICZNEJ, ADMINISTRACJA PUTINA ZAPRZECZA JEGO ISTNIENIU I UTRZYMUJE, ŻE ZWIĄZEK SOWIECKI PROWADZIŁ WYŁĄCZNIE BADANIA SŁUŻĄCE OBRONIE PRZED BRONIĄ BIOLOGICZNĄ, ZGODNIE Z ZASADAMI BWC.

Biopreparat, czyli tajny program

W latach 70. XX wieku ZSRS przystąpił do „Konwencji o zakazie prowadzenia badań, produkcji i gromadzenia zapasów broni bakteriologicznej (biologicznej) i toksycznej oraz o ich zniszczeniu, sporządzonej w Moskwie, Londynie i Waszyngtonie dnia 10 kwietnia 1972 r.". Zgodnie z tą konwencją Związek Sowiecki powinien zlikwidować wszelkie posiadane zapasy broni biologicznej i zaprzestać prowadzenia prac nad taką bronią. Konwencja znana jako BWC w 1975 roku weszła w życie. Tyle że w 1973 roku sowieckie władze powołały do życia cywilną instytucję pod nazwą Główna Agencja Przemysłu Mikrobiologicznego. W skrócie Biopreparat. Oficjalnie zajmowała się pracami nad szczepionkami, w rzeczywistości kontynuowała prace wcześniej prowadzone nad bronią biologiczną. Tajny sowiecki przemysł broni biologicznej nie miał sobie równych zarówno pod względem zakresu, jak i zaawansowania. Rocznie

1–2 tys. ekspertów zajmujących się wyłącznie śmiercionośnymi truciznami. Prace były prowadzone na terenie całego Związku Sowieckiego, w co najmniej 40 różnych ośrodkach i tak naprawdę nie wiemy dokładnie, ile z nich działa do dziś. W czasach sowieckich broń biologiczna była opracowywana pod dwojakim kątem. Raz – użycia jej w celach szpiegowskich, czyli w celu dokonania skrytobójstwa. Drugi cel to wykorzystanie broni biologicznej na masową skalę, w wypadku regularnej wojny. W Związku Sowieckim były całe gigantyczne magazyny, gdzie składowano tony wąglika, ospy i innych patogenów, patogenów krzyżowanych, nad którymi specjalnie pracowano w tych laboratoriach, aby one były odporne na wszelkie znane antybiotyki.

„Kiedy zostałem pierwszym zastępcą dyrektora Biopreparatu w 1988 r., odbyliśmy serię spotkań. Powiedziano mi, że Związek Sowiecki zastosował broń biologiczną przeciwko mudżahedinom w odległych zakątkach Afganistanu w 1982 roku. To była bakte-

eprasa.pl 42e06210b5

ria Pseudomonas mallei wywołująca nosaciznę" – wspominał po latach Ken Alibek. Według niego pierestrojka nie wpłynęła na prace nad bronią biologiczną, a Michaił Gorbaczow podpisał dokument 5-letniego planu rozwoju tej broni na lata 1986–1990 zakładający m.in. uzyskanie możliwości użycia jako broni biologicznej eboli i choroby marburskiej czy budowę nowych laboratoriów.

Sowieckie dziedzictwo. I kontynuacja

Pochodzący z Kazachstanu doktor nauk medycznych, oficer armii, który w latach 1975–1992 pracował w kompleksie Biopreparat, tak mówił w wywiadzie w 1998 roku: „Związek Sowiecki miał najbardziej wydajny, wyrafinowany i potężny ofensywny program broni biologicznej na świecie. Opracował zupełnie nową klasę broni, opartą na genetycznie zmodyfikowanych środkach. Na przykład w latach 80. XX wieku Związek Sowiecki opracował odporne na antybiotyki szczepy dżumy, wąglika, tularemii i nosacizny. Coraz bardziej zbliżaliśmy się do opracowania tzw. absolutnej broni biologicznej". Zgodnie z sowiecką doktryną wojskową broń biologiczna dzieliła się na trzy główne kategorie: strategiczną broń biologiczną, operacyjną broń biologiczną oraz broń biologiczną strategiczno-operacyjną. Środki wywołujące ospę i dżumę były przeznaczone do strategicznych ataków dalekiego zasięgu na terytoria Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i niektórych innych krajów europejskich, ponieważ nikt nie chciał używać tej broni w pobliżu naszych własnych wojsk. Ospa wietrzna i dżuma zostały opracowane w tym celu ze względu na ich wysoką śmiertelność, zaraźliwość i zdolność do wywoływania epidemii, a nawet pandemii. Operacyjna broń biologiczna była przeznaczona do użycia przeciwko celom militarnym znajdującym się w odległości około 100–150 kilometrów za linią frontu, na przykład dużym skupiskom wojska. W tym wypadku miano wywołać takie choroby, jak tularemia, bruceloza, nosacizna i wenezuelskie końskie zapalenie mózgu, zasadniczo nie zabijając żołnierzy, lecz obezwładniając ich, ułatwiając w ten sposób zniszczenie obrony przeciwnika. Broń strategiczno-operacyjna obejmowała środki mogące być użytye zarówno w celach strategicznych, jak i operacyjnych. W tym wypadku mowa o wągliku czy gorączce Q. Głównym środkiem przenoszenia broni operacyjnej były bombowce średniego zasięgu Ił-28 wyposażone w dwutonowy zbiornik do oprysku. Eskadra takich samolotów stacjonowała na Powołżu. Głównym środkiem przenoszenia broni strategicznej były pociski balistyczne. Od końca lat 60. XX wieku Sowieci dysponowali takimi rakietami z jedną głowicą z bronią biologiczną. W 1988 roku zapadła decyzja o ewentualnym użyciu do przenoszenia broni biologicznej międzykontynentalnych pocisków balistycznych z wieloma głowicami. Jeden taki pocisk R-36 uzbrojony w wiele głowic wypełnionych bojowymi środkami biologicznymi mógłby doprowadzić do śmierci połowę populacji Nowego Jorku.

Jakie patogeny wyhodowano w ZSRS, a Rosja je odziedziczyła? Bakterie: Bacillus anthracis (wąglik), Brucella melitensis (gorączka śródziemnomorska), Burkholderia mallei (dławica piersiowa), Burkholderia pseudomallei (melioidoza), Coxiella burnetii (gorączka Q), Francisella tularensis (tularemia), Legionella pneumophila (choroba legionistów), Yersinia pestis (dżuma płucna). Wirusy wywołujące: afrykański pomór świń, ospę wietrzną, pryszczycę, chorobę marburską, księgosusz, zapalenie mózgu. Moskwa twierdzi, że prac nad bronią biologiczną nie prowadzi. Jednak od 1992 roku raporty, które zgodnie z konwencją podpisaną jeszcze przez ZSRS Rosja musi corocznie przedstawiać, są pełne białych plam. Nie ma tam wielu informacji i na podstawie tych dokumentów nie można stwierdzić, że Rosja prac nad bronią biologiczną nie prowadzi.

Jedynym okresem, kiedy Rosjanie byli w tej sprawie transparentni, był początek rządów Borysa Jelcyna. Jelcyn, tak jak w wielu innych sprawach, przyznał się do tego, że Sowieci prowadzili prace nad bronią biologiczną, mimo że byli sygnatariuszem konwencji o broni biologicznej. We wrześniu 1992 roku Rosja, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania podpisały trójstronne oświadczenie, w którym Rosja zobowiązała się umożliwić swoim zachodnim partnerom dostęp do tych obiektów. Ale już od połowy lat 90. XX wieku coraz częściej zdarzało się, że eksperci międzynarodowi nie byli wpuszczani do rosyjskich laboratoriów. A do laboratoriów w trzech miastach (Kirow, Siergijew Posad i Jekaterynburg) już od końca zimnej wojny nie wpuszczono żadnego zachodniego eksperta. Co więcej, za rządów Władimira Putina Kreml zaczął kwestionować oficjalną wersję sowieckiego programu broni biologicznej. Według Raymonda A. Zilinskasa (Middlebury Institute of International Studies), czołowego naukowca zajmującego się bronią biologiczną, podczas gdy Jelcyn przyznał, że istniał ofensywny program broni biologicznej, administracja Putina zaprzecza jego istnieniu i utrzymuje, że Związek Sowiecki prowadził wyłącznie badania służące obronie przed bronią biologiczną, zgodnie z zasadami BWC. ■

eprasa.pl 42e06210b5

Grzegorz Wszołek

USA dużo inwestują w Polskę. Mały atom jest jednym z elementów współpracy

Amerykanie postrzegają Polskę jako kraj stabilny i – wbrew temu, co niektórzy starają się wykazać na różnego rodzaju forach (zwłaszcza unijnych) – przestrzegający zasad państwa demokratycznego. Biznes i pieniądz nie lubią niestabilnego środowiska ustrojowego i prawnego. Nikt w Ameryce nie myślałby nawet poważnie o takich inwestycjach, gdyby było inaczej – z dr. WOJCIECHEM KWIATKOWSKIM, amerykanistą, adiunktem na Wydziale Prawa i Administracji UKSW, rozmawia GRZEGORZ WSZOŁEK.

eprasa.pl 42e06210b5

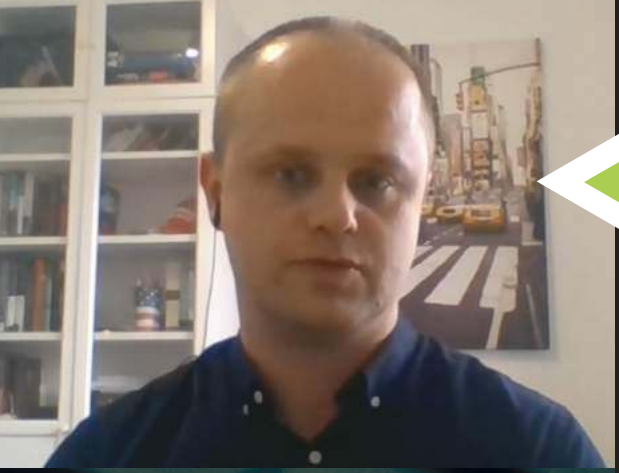

Wojciech Kwiatkowski: adiunkt na Wydziale Prawa i Administracji UKSW, autor licznych ekspertyz i opracowań naukowych z zakresu prawa Stanów Zjednoczonych (w tym banku centralnego USA, prawa warstwowego czy amerykańskiego procesu sądowego), wieloletni uczestnik debat eksperckich w bankach Systemu Rezerwy Federalnej i Federalnej Korporacji Ubezpieczającej Depozyty.

fot. ADOBE STOCK, YOUTUBE

Panie Doktorze, kampania amerykańska przed wyborami prezydenckimi jeszcze się nie rozpoczęła, a jest gorąco jak nigdy. Donald Trump usłyszał zarzuty i został oskarżony jako pierwszy w historii były prezydent USA za przekazanie tzw. cichych pieniędzy aktorce porno Stormy Daniels. Miało to być 130 tys. dolarów, wydanych z funduszu Partii Republikańskiej. Jak poważne są te zarzuty, czy zagrożą Trumpowi, czy wręcz przeciwnie – będą działać na korzyść jego kampanii?

Historycznie rzecz ujmując, wielka ława miała być „bezpiecznikiem", niepozwalającym na oskarżanie kogoś przez urzędnika państwowego bez przekonujących dowodów. Tymczasem już w połowie lat 80. XX wieku prezes nowojorskiego sądu Sol Wachtler stwierdził przekornie, że instytucja ta została do tego stopnia wypaczona, że na ubraną w ładne słowa prośbę prokuratora zatwierdziłaby nawet akt oskarżania „kanapki z szynką". Wielka ława składa się ze zwykłych obywateli i proceduje bez udziału sędziego, a jedynym prawnikiem na jej posiedzeniach jest de facto prokurator, który z jednej strony wyjaśnia przysięgłym kwestie prawne, a z drugiej chodzi mu o przekonanie ich do swoich racji. Postępowanie to jest niejawne, świadkowie nie są pouczani o konstytucyjnych gwarancjach procesowych (na przykład prawie do odmowy składania zeznań), można tam też wykorzystywać dowody, które w postępowaniu sądowym byłyby uznane za niedopuszczalne (choćby materiały z nielegalnego podsłuchu). Prokurator nie ma obowiązku wyjaśniać, po co i w jakim charakterze wezwał konkretną osobę na posiedzenia wielkiej ławy, a każdy wezwany składa zeznania pod przysięgą i nie może liczyć na obecność w sali swojego adwokata. I ostatnie – przysięgli głosują większością głosów nad draftem aktu przygotowanym uprzednio przez prokuratora. Konkludując – akt oskarżenia Trumpa przez wielką ławę absolutnie o niczym nie przesądza, choć sugeruje zamiary pewnej grupy ludzi. Można też założyć, że oskarżycielowi nie uda się na etapie procesu uzyskać jednomyślnego werdyktu, co jest niezbędne do stwierdzenia winy. Prokurator twierdzi, że fałszowanie dokumentów przez Trumpa było elementem zmowy. Rzekomo naruszył przy tym federalne przepisy finansowania kampanii wyborczych, które to jednak są poza jurysdykcją stanowego prokuratora. Federalna prokuratura, która badała wcześniej te same dowody, stwierdziła z kolei, że nie dają one podstawy do postawienia byłego prezydenta w stan oskarżenia. Mając to wszystko na uwadze, pojawia się pytanie: po co uruchomiono machinę sprawiedliwości stanu w sprawie, w której ryzyko porażki jest tak duże? Wydaje się, że demokratom, poprzez stano-

eprasa.pl/42e06210b5

wą prokuraturę Nowego Jorku, bardzo zależy na tym, aby proces był „wałkowany", a Trump pojawiał się w agendzie wszystkich mediów w USA. Chodzi o to, by partia republikańska musiała wystawić w 2024 Trumpa, a nie na przykład Rona DeSantisa. W rzeczywistości prawdziwym zmartwieniem demokratów jest bowiem każdy inny kandydat republikanów, poza Trumpem. Gra toczy się o to, by Trump nie schodził z ekranów i wystartował w wyborach, bo wówczas szanse na reelekcję Joego Bidena rosną. Last but not least – jeżeli były prezydent dostanie nominację partii republikańskiej, to Amerykanie będą wybierać między dwoma panami w podeszłym wieku – w 2024 roku Trump będzie miał tyle lat, co Biden w 2020 roku. W obu sytuacjach, jak nigdy wcześniej, ważne będzie to, kto będzie wiceprezydentem. Demokraci panicznie boją się powtórki z 2008 roku, gdy o wiele młodszy Barack Obama pokonał Johna McCaina. Nie chcą powtórki z rozrywki, tym razem ze szkodą dla swojej partii.

▶ Z drugiej strony Joe Biden długo milczał w sprawie swojego startu w wyborach. Niektórzy demokraci mają mu za złe, że co najmniej do połowy kwietnia nie dał jednoznacznej deklaracji. Pojawiają się też w amerykańskiej prasie wątpliwości, że Biden ma 80 lat i jego środowisko polityczne obawia się, czy podoła wymogom kampanii wyborczej. Czy Amerykanie są zadowoleni z jego prezydentury?

Wybory w USA wygrywa się dobrym planem na gospodarkę krajową, a nie planem pomocy Ukrainie czy pomysłem na pokonanie Chin. Tego Biden i jego zaplecze polityczne nie mieli w 2020 roku i nie posiadają też dziś. Amerykański prezydent jest szefem całej administracji federalnej, zadawane mu pytania przez dziennikarzy obejmują całe spektrum najróżniejszych spraw. Jednym zdaniem to jest praca, która pochłania większość dnia i wiele sił, a czasu na wypoczynek jest niewiele. Proszę zwrócić uwagę, że gdy Biden przyleciał w lutym do Polski, to w amerykańskich mediach jednym z kluczowych tematów było to, jak zniósł on podróż. Do wyborów jest jeszcze półtora roku, a to bardzo dużo w życiu 80-latka i jak nigdy wcześniej wysoka jest szansa na to, że ta kwestia, być może na ostatniej prostej, jednak ulegnie zmianie. Przy starciu Biden–Trump bardzo ważnym elementem dla niezdecydowanych będzie negatywny przekaz z prezydentury Trumpa. Wielu niezwiązanych z jakąkolwiek partią w USA wprost mówi, że niezależnie od całkiem pozytywnej oceny jego urzędowania, wstydzi się tego, co stało się na finiszu, czyli zamieszek na Kapitolu. Prezydentura Bidena nie jest tak dobrze odbierana w USA, jak choćby w Polsce czy na Ukrainie. Naobiecywał w 2020 roku wiele, by skupić wokół siebie całe obce republikanom środowisko – od umiarkowanych demokratów po skrajnych ekologów, liberałów i neokomunistów. Dziś widać, że z postpandemiczną rzeczywistością poradził sobie „tak sobie", jego „ekologiczne" decyzje o wstrzymaniu inwestycji dotyczących wydobycia ropy i gazu właśnie są odkręcane, a koszty życia w USA wzrosły. Do tego Amerykanie za paliwo zaczęli płacić znacznie więcej niż jeszcze trzy lata temu, a na jaw wychodzą coraz to nowe próby indoktrynacji dzieci według lewicowej wizji świata. Całość okraszona jest jeszcze federalnym programem zwalniania absolwentów studiów z obowiązku spłacania kredytów zaciągniętych wcześniej na naukę, co dzieli ludzi na lepszych i gorszych, dając przy tym ulgę tej grupie społecznej, która i tak sobie radzi.

▶ Jak mocne jest prawdopodobieństwo, że USA przestaną inwestować w pomoc wojskową Ukrainie? Widać zmęczenie wojną w rządach Europy Zachodniej, Donald Trump szokuje wręcz komplementami pod adresem Władimira Putina. Wielu polityków Partii Republikańskiej uważa, że czas myśleć o starciu z Chinami i problemach wewnętrznych w dobie inflacji, zamiast zajmować się dalekim regionem Europy Środkowo-Wschodniej. Biden też z czasem może się wyłamać, tym bardziej jeśli, odpukać, nie powiedzie się kontrofensywa Ukrainy.

Starcie USA z Chinami już się w pewnym sensie zaczęło – właśnie tu w Europie. Ameryka nie wygra drugiego akordu tego starcia bez silnej i zjednoczonej Europy u swego boku. Natomiast to, co mówił Trump, trzeba wyraźnie oddzielić od tego, co robił. W Europie uważa się, że to Stany Zjednoczone mają moralny, a może i prawny obowiązek pomagać Ukrainie w odzyskaniu zajętych przez Rosję terytoriów, a same zapowiedzi, że to się może zmienić, są w pewnym sensie „zdradą idei" przez USA. Tymczasem wojna wybuchła w Europie, a nie na kontynencie Ameryki Północnej. Ona najmocniej oddziałuje na europejskie gospodarki i jest realnym zagrożeniem przede wszystkim dla bezpieczeństwa całej Europy – dlatego to państwom europejskim powinno zależeć na wygranej Ukrainy, a nie tyle USA. Chodzi przy tym o realne kroki, a nie bezrefleksyjne wydzwanianie do Putina w celu przekonania go, by „zszedł ze złej drogi", czym zasłynął Macron. Wygrana Ukrainy i odzyskanie przez nią terytoriów z kolei niekoniecznie leży w interesie narodowym Stanów Zjednoczonych. Nie jest nim też – pożądany po cichu m.in. przez wielu Polaków i obywateli innych postsowieckich państw, stanowiących tzw. flankę wschodnią

eprasa.pl 42e06210b5

– upadek Rosji i jej rozczłonkowanie. To byłoby dla Ameryki – pamiętającej moskiewski pucz Janajewa z lat 90. XX wieku – wręcz katastrofą.

Na czym zatem zależy USA w kwestii Rosji?

Amerykanie grają przede wszystkim na maksymalne osłabienie Rosji. Od prezydentury G.W. Busha dla nich jasne było, że przy skoordynowanym działaniu ich kraj nie dałby rady tandemowi Chiny–Rosja – zarówno na płaszczyźnie gospodarczej, jak i militarnej. Inwazja Rosji na Ukrainę w 2022 roku pozwoliła natomiast na realizację amerykańskiej polityki zagranicznej, która w innej sytuacji w ogóle nie mogłaby zaistnieć. Kluczowym elementem wspomnianej polityki jest osłabienie jednego komponentu „wrogiego tandemu" (tj. Rosji) do poziomu, w którym drugi element (Chiny) uzna, że w pojedynkę jest za słaby i się wycofa. Takie osłabienie Rosji już teraz pozwoliło USA na pokazanie Chinom, że to one mają większą zdolność koalicyjną – zarówno na płaszczyźnie organizowania sankcji gospodarczych, jak i tworzenia ewentualnych koalicji militarnych. Pozwala też na postawienie Rosji już teraz wyboru – albo zostaniecie „dodatkiem" dla Chin, albo będziecie budowali relacje z Zachodem, ale na naszych zasadach. Mówiąc tu o „Rosji", mam na myśli przede wszystkim oligarchów i rzesze urzędników. Przecież oni nie wydają tych miliardów dolarów na wille w Chinach, nie opalają się na chińskich plażach, nie jeżdżą chińskimi samochodami i nie posyłają dzieci do chińskich szkół. Oni chcą, przynajmniej na tej płaszczyźnie, przynależeć do cywilizacji Zachodu, nie Chin. Poza tym, to nie jest dla Rosjan komfortowa sytuacja, gdy posiada się w bezpośrednim sąsiedztwie silniejsze od siebie państwo, z którym miało się wcześniej szereg sporów terytorialnych. Wspomnianą politykę zagraniczną Stany Zjednoczone zrealizowały kosztem ledwo kilkudziesięciu miliardów dolarów. Udało się to zrobić tak, by nie zginął właściwie żaden amerykański żołnierz w czynnej służbie. Dodatkowo Amerykanom udało się zachęcić do większych wydatków państwa natowskie, zamknięcia dostaw surowców z Rosji, co również nakręca ich gospodarkę, do NATO dołączyła Finlandia, a w perspektywie jest także Szwecja. Tym samym największy sojusz militarny w dziejach świata, któremu nieodzownie przewodniczą USA, urósł. Co więcej, realizacja tej polityki pozwoli na włączenie Ukrainy w zachodnią sferę wpływów. Kwestią najbliższych lat jest westernizacja tego kraju i ostateczne pogrzebanie komunistycznych demonów. Jest to bez wątpienia wielki sukces tej administracji, który jednak nie będzie miał większego przełożenia na wybory. Te – jak już wspomniałem – wygrywa się bowiem sukcesami w polityce krajowej.

Relacje Amerykanów z Chinami są wyraźnie napięte: to nie tylko kwestia niepodległości Tajwanu, lecz także „wojna balonowa" ze szpiegowskimi urządzeniami. Grozi nam załamanie i nowy front wojenny?

Na wielu płaszczyznach ten front już istnieje i się fortyfikuje, czego dla mnie namacalnym dowodem jest odbudowa infrastruktury wojskowej na wyspie Tinian. Fani historii znają rolę tej wyspy podczas II wojny światowej. Amerykanie bardzo dużo pracy wkładają w zmontowanie silnego sojuszu na kształt NATO, tyle że w formacie poszerzonym na przykład o Japonię, Koreę Południową, Australię czy nawet – o ironio – Wietnam. Byliby naturalnym liderem „neoNATO". I w ten sposób ich pozycja na Pacyfiku Guamie byłaby znacznie mocniejsza. Czy USA naprawdę będą ryzykowały militarną konfrontację z Chinami – w pierwszej kolejności chyba w imię obrony Tajwanu? Odpuścić tej kwestii raczej nie mogą, bo stracą wizerunkowo i okażą słabość, która może być brzemienna w skutkach. Z drugiej strony, analizy dokonywane przez ekspertów wskazują, że wiązałoby się to ze stratami osobowymi i sprzętowymi znacząco wykraczającymi poza działania wojsk amerykańskich w Iraku i Afganistanie. Co więcej, dla Amerykanów pojawia się coraz więcej problemów ze zdiagnozowaniem realnych możliwości militarnych Chin. Na korzyść USA przemawia natomiast fakt, że armia chińska nie ma realnego przygotowania bojowego, nie uczestniczyła od wielu dekad w żadnym poważnym konflikcie zbrojnym, a dużą część uzbrojenia stanowią tam różnego rodzaju modyfikacje sowiecko-rosyjskiego sprzętu.

Mateusz Morawiecki w kwietniu odbył ważną wizytę w Stanach Zjednoczonych, gdzie spotkał się z wiceprezydent Kamalą Harris. Omawiano nie tylko kwestię wsparcia dla Ukrainy, lecz także amerykańskie inwestycje atomowe w Polsce. Jak ważnym sojusznikiem dla USA jest Polska? Czy rzeczywiście jest tak, jak twierdzą środowiska związane z Konfederacją, że jesteśmy zbyt zależni od Waszyngtonu i nie dostajemy nic w zamian?

Osoby ze wspomnianego przez pana środowiska mówią to, w co wierzą – niezależnie od tego, czy taki punkt widzenia uwzględnia realia dzisiejszego świata, w których to Polska, z racji swego geopolitycznego położenia, nie może przywdziać szat Szwajcarii i pozostać krajem neutralnym, a innych wiarygodnych sojuszników na horyzoncie brak. W relacjach z USA nie ma patologicznych zależności, choć zawsze będzie to współpraca silniejszego ze słabszym.

eprasa.pl 42e06210b5

Przede wszystkim jednak nie jest prawdą, że nie dostajemy od USA nic w zamian za naszą niegasnącą gotowość wspierania USA. To, na czym nam najbardziej zależy, to ściągniecie do Polski na stałe jak największej liczby żołnierzy USA. Już teraz jest to liczba porównywalna z tą, jaką USA utrzymują na strategicznym dla bezpieczeństwa Pacyfiku. Ważne jest uruchomienie produkcji nowoczesnej broni przy możliwie największym udziale USA, a także centrów serwisowych amerykańskiego sprzętu, który już mamy albo niebawem otrzymamy. Ten etap oznaczałby wprowadzenie Polski w świat zupełnie nowych technologii, na których samodzielne wytworzenie po prostu nas nie stać. Co do elektrowni atomowych, chcąc zrealizować nieco absurdalne założenia instytucji unijnych dotyczących tzw. ochrony klimatu, logiczne jest, że musimy zbudować w Polsce sieć elektrowni atomowych. To bezemisyjne dobrodziejstwo ludzkości. Pozwoli nam to uniezależnić się nie tyle od surowców z państw trzecich, ile od kaprysów pogody – postawienie jedynie na energię z wiatru czy słońca w naszych realiach geograficznych to ryzyko nie mniejsze od tego, jakie podjęli Niemcy, tworząc sojusz energetyczny z Rosją.

Dlaczego Amerykanie są tu kluczowi?

Po pierwsze, jest to kolejny sposób na związanie USA z nami. Po drugie, ich technologia jest wysoko zaawansowana, obarczona niskim ryzykiem awarii przy najwyższej wydajności, w efekcie czego pozwoli to na obniżenie kosztów produkcji energii elektrycznej o 20–30 proc. w porównaniu z elektrowniami węglowymi. Po trzecie, w zakresie budowy elektrowni atomowych dużej mocy Polska napotyka opór wśród niektórych państw UE. Wybór USA jako dostarczyciela technologii powoduje, że to Amerykanom zależy na tym, by ten projekt się ziścił. Ewentualne protesty w ramach instytucji europejskich czy nawet spory prawne z niezadowolonymi państwami będą przez nich wygaszane. Po czwarte, Amerykanie oferują stosunkowo korzystne dla nas zasady współfinansowania tych inwestycji.

Instytucje finansowe USA zdecydowały się zainwestować 4 mld dolarów w budowę małych reaktorów atomowych (SMR) w Polsce. Dzięki współpracy PKN ORLEN z Synthos Green Energy ma powstać około 20 takich lokalizacji w kraju.

Energia jądrowa jest jedynym znanym nam stabilnym i zeroemisyjnym źródłem energii, nad którym w pełni panujemy. Dziś musimy myśleć o Polsce za 10–15 lat. Polsce, która do rozwoju gospodarczego będzie potrzebowała coraz więcej energii. Czy 20 małych reaktorów, w połączeniu z dużymi elektrowniami, zbudowanymi wespół z USA i Koreą Południową i miksem fotowoltaiki z turbinami wiatrowymi, wystarczą? SMR to koncepcja innowacyjna i dopiero niedawno uzyskała niezbędne certyfikaty w USA. Cieszy, że Amerykanie chcą podzielić się tą technologią z nami, bo reaktor tego typu bardzo dobrze współpracuje ze źródłami odnawialnymi, w które też inwestujemy. Oprócz nas tylko Kanada uczestniczy w tego typu przedsięwzięciu. Udział Polski w łańcuchu dostaw dla SMR może wynieść nawet 50 proc. Co więcej, u nas mają docelowo być produkowane komponenty dla SMR, które będą dalej wykorzystywane w innych projektach w Europie. Podnosi to wartość handlową polskich przedsiębiorstw uczestniczących w tym projekcie. Wpływa także pozytywnie na konkurencyjność i rating naszej gospodarki. To kolejny przykład korzyści, jakie pojawią się w ramach współpracy z USA. W budowaniu siły polskiej gospodarki uczestniczą przedsiębiorstwa prywatne z Polski i USA oraz dochodzi do zacieśniania więzów pomiędzy polskim i amerykańskim sektorem bankowym przy tym projekcie. Amerykanie postrzegają Polskę jako kraj stabilny i – wbrew temu, co niektórzy starają się wykazać na różnego rodzaju forach (zwłaszcza unijnych) – przestrzegający zasad państwa demokratycznego. Biznes i pieniądz nie lubią niestabilnego środowiska ustrojowego i prawnego. Nikt w Ameryce nie myślałby nawet poważnie o takich inwestycjach, gdyby było inaczej.

Czy obecnie można powiedzieć, że niedawne jeszcze różnice światopoglądowe między administracją USA a polskimi władzami – na przykład w kwestii LGBT, aborcji, lex TVN – nie mają znaczenia, bo są ważniejsze interesy i palące sprawy, jak wojna na Ukrainie?

Nikt nie powiedział, że pomiędzy przyjaciółmi nie może być różnic. Te są i zawsze będą. Tak samo wiele różnic jest w USA na przykład między Teksasem a Kalifornią czy Nowym Jorkiem i Florydą. Ważne jest jednak budowanie wspólnych relacji, które będą osadzone na stabilnych fundamentach, a nie na ideologii, która jest zmienna. Zarówno Polska, jak i USA widzą rangę obecnych wydarzeń na świecie, zachodzących zmian i nowych możliwości. Wątpię, aby Amerykanie na poziomie politycznym uznawali wspomniane tematy za fundamentalne w relacjach z Polską z prostej przyczyny. Kwestie, które pan wymienił, może poza lex TVN, są bowiem osią sporu także w USA. Nie jest tak, że w Ameryce nie ma ludzi, którzy podzielają nasz światopogląd. ■

eprasa.pl 42e06210b5

tłumaczył i opracował Antoni Rybczyński

Mesjanistyczna wielobiegunowość: wskrzeszona doktryna afrykańska Rosji

Zmartwychwstanie w kręgach rosyjskiej polityki zagranicznej pomysłu, by charakteryzującą się mesjanizmem koncepcję „wielobiegunowego świata" ponieść także do Afryki, opisuje Iwan U. Kłyszcz. Artykuł eksperta estońskiego think tanku International Centre for Defence and Security opublikował 6 kwietnia br. na swych łamach portal Riddle.

Od 1991 roku transformacja rosyjskiej polityki zagranicznej jest określana jako przejście od mesjanizmu do pragmatyzmu lub rozumowania geopolitycznego. Mianowicie porzucenie przez Moskwę zimnowojennej mesjanistycznej strategii patronowania zagranicznym oddziałom partii komunistycznej i ruchom komunistycznym jest traktowane jako dowód na to, że Rosja przedkłada interesy państwowe nad ideologię. W tej wersji Moskwa bezwzględnie realizuje swoje interesy w wizji świata opartej na Realpolitik. W tym kontekście rosyjska polityka afrykańska to coup de grâce na geopolitycznej szachownicy, uderzający tam, gdzie Zachód zawodzi. Rosja jest więc postrzegana jako prowadząca zimną, wyrachowaną politykę w „nowej rozgrywce" o Afrykę.

Nie ma wątpliwości, że ostatnie posunięcia Moskwy na kontynencie afrykańskim wpisują się w rosyjskie ambicje mocarstwowe i rewizjonistyczny program. Poprzez sprzedaż broni, rozmieszczenie państwowej prywatnej firmy wojskowej Grupy Wagnera oraz tradycyjną dyplomację, Rosja wzmacnia pozycję swoich klientów, celuje w cywilów podczas konfliktów i podważa międzynarodowe normy. Rosja pozycjonuje się również jako alternatywny i bezpośredni konkurent Zachodu w zakresie współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa, energii i górnictwa. W 2023 roku drugi Szczyt Rosja–Afryka oraz szczyt BRICS w RPA tylko wzmocnią parcie Rosji na kontynent.

Jednocześnie jednak działania Rosji w Afryce są napędzane czymś więcej niż oportunizmem i celowością, podobnie jak w innych częściach świata. Inwazja Rosji na Ukrainę w okrutny sposób uwidoczniła rolę mitów, tożsamości cywilizacyjnej i mesjanizmu w polityce zagranicznej Moskwy. Dlaczego odczytujemy posunięcia Rosji w Afryce jako oddzielone od tych innych źródeł jej polityki zagranicznej, ograniczając ich analizę do geopolitycznej szachownicy? W tym miejscu przybliżam jedno z tych źródeł, aby zbadać znaczenie mesjanizmu w dzisiejszej rosyjskiej polityce afrykańskiej.

▶ Mesjanizm: ideologia. „Wielobiegunowość" Rosji

Mesjanizm nie jest rzadką cechą ideologiczną w polityce zagranicznej, zwłaszcza wśród wielkich mocarstw. Treść hybrydowego mesjanizmu Rosji w polityce zagranicznej ma wiele aspektów, ale pojęcie „wielobiegunowości" (многополярность, czasem wyrażane jako полицентричный мир) wyróżnia się jako centralne. W koncepcji realistycznej świat wielobiegunowy to taki, w którym istnieje

eprasa.pl 42e06210b5

kilka państw działających jako konkurencyjne bieguny władzy, z których każde przyciąga lub wymusza przejście mniejszych państw na swoją orbitę. Jest to dość pesymistyczny światopogląd, pełen nierozwiązywalnych konfliktów, w którym mniejsze państwa są bezradne wobec większych hegemonów, a polityka wielkich mocarstw przeważa nad demokratyczną deliberacją i legitymacją.

Kreml propaguje „wielobiegunowość" jako podstawową koncepcję polityki zagranicznej – powiedziałbym, że wbrew innym interpretacjom – właśnie z tego powodu. Mianowicie, „wielobiegunowość" wpisuje się w nieodłączny pesymizm rosyjskiego mesjanizmu. W wersji Kremla „wielobiegunowość" dotyczy różnych cywilizacji „tradycyjnych społeczeństw", którym Zachód próbuje narzucić swoje „globalistyczne" wartości oraz „jednobiegunowy" i „kolonialny" porządek. W tej narracji prawdziwie suwerenne państwa (tj. wielkie mocarstwa), takie jak Rosja, otrzymują misję przyłączenia się do przewodzenia niezachodniej „światowej większości" w celu powstrzymania narzucania przez Zachód „dekadenckich" „globalistycznych" wartości. (Innymi słowy, mają przyjąć rolę katechona, tego, który powstrzymuje nadejście Antychrysta. Nie dziwi więc, że – jak dowodzi Alicja Curanovic – Rosyjska Cerkiew Prawosławna postrzega wielobiegunowość jako podstawowy element „misji" Rosji w świecie). Jako ideologia proaktywna, „wielobiegunowość" jest jednocześnie rzeczywistością (Ławrow: wielobiegunowość jest „obiektywnym i niepowstrzymanym procesem") i projektem politycznym, udaremnianym przez oporny Zachód (Putin: „wielobiegunowość na świecie jest nieunikniona, pomimo prób jej powstrzymania").

W rosyjskich kręgach akademickich i politycznych Afryka jest rutynowo identyfikowana jako wschodzący biegun władzy w świecie, a tym samym uczestnik projektu politycznego „wielobiegunowości". Koncepcja polityki zagranicznej na rok 2023 nawiązuje do tej roli kontynentu. Na konferencji międzyparlamentarnej Rosja–Afryka 20 marca Putin określił Afrykę jako lidera w wielobiegunowym świecie, chwaląc dużą (około 1,2 mld ludzi) i rosnącą populację tego kontynentu. Jednak w swoim przemówieniu z 20 marca Putin mówił o tym, że rolą Rosji jest „wyciągnięcie pomocnej dłoni" do krajów Afryki, zwłaszcza wobec trwającego na Zachodzie „neokolonializmu". Widać tu podwójne znaczenie „wielobiegunowości". Chociaż Afryka jest własnym „biegunem", to jednak wymaga pomocy ze strony Rosji, aby stać się jednym z nich.

Rosja ma jednak problemy z afrykańskim zastosowaniem swojej doktryny wielobiegunowości. Karta Narodów Zjednoczonych i panafrykanizm są wiodącymi pojęciami w afrykańskich stosunkach międzynarodowych i żadne z nich nie pasuje do rosyjskiego pojęcia „wielobiegunowości". Karta ONZ ustanawia uniwersalne ramy normatywne, które podkreślają równość wszystkich suwerennych państw, co nie pasuje do pojęcia „suwerenności" w rosyjskiej „wielobiegunowości". Z kolei panafrykanizm jest koncepcją normatywną, która jest sprzeczna z ideą istnienia afrykańskiego hegemona, który mógłby odpowiadać za kontynent. Instytucje kontynentalne wzorowane na panafrykanizmie – zwłaszcza Unia Afrykańska – zwykle próbują sprawdzić siłę „wielkiej piątki" (Algieria, Egipt, Etiopia, Nigeria i członek BRICS – RPA). Podobnie rosyjskie rozumienie „suwerenności" jest niekorzystne dla solidarystycznych aspiracji w afrykańskich stosunkach międzynarodowych. Wreszcie, panafrykanizm nie jest koniecznie, z natury antyzachodni.

Rosyjska polityka zagraniczna zareagowała na te zmagania poprzez dokooptowanie lub „uprowadzenie" pewnej wizji „panafrykanizmu". Wyciekłe w 2019 roku dokumenty dotyczące działalności Grupy Wagnera na Czarnym Lądzie (tzw. Wagner Africa Papers) podpowiadają, czym są rosyjskie próby mariażu jej pojęcia „wielobiegunowości" z interpretacją „panafrykanizmu". Mianowicie wykluczenie mocarstw zachodnich z Afryki pod pozorem afrykańskiej „suwerenności". W tym elemencie istnieją pewne zasadnicze podobieństwa między obecną i zimnowojenną polityką afrykańską Moskwy: zakres obejmujący całą Afrykę oraz nacisk na suwerenność kontynentu.

▶ Mesjanizm: polityka. Rosja i „panafrykanizm"

Rozumienie przez Kreml „wielobiegunowości" w Afryce jest szczególnie widoczne w dwóch politykach: przyjęciu zasięgu kontynentalnego i zabieganiu o „panafrykańskich" przedsiębiorców politycznych. Oba wybory są odpowiedzią na połączenie analizy kosztów i korzyści oraz mesjanistycznej polityki zagranicznej Rosji.

Afrykańska dyplomacja Rosji rzeczywiście szczyci się zakresem kontynentalnym. Było to wyraźnie widoczne podczas Szczytu Rosja–Afryka w 2019 roku, kiedy do wioski olimpijskiej w Soczi przybyli przedstawiciele wszystkich państw afrykańskich, w tym 43 głowy państw. Ostatnio na szczycie parlamentarnym Rosja–Afryka w 2023 roku gościły delegacje z 37 różnych krajów. Rosja jest zainteresowana zapewnieniem podobnego udziału w drugim Szczycie Rosja–Afryka w 2023 roku. Ta kontynentalna skala ma naśladować zasięg Sta-

eprasa.pl 42e06210b5

nów Zjednoczonych (na przykład AFRICOM), a tym samym przedstawiać Rosję jako równorzędne wielkie mocarstwo. [...] Kontynentalne podejście Rosji do spraw afrykańskich pomaga Moskwie wzmocnić jej roszczenia mocarstwowe, ale często nie przynosi korzyści, zwłaszcza dla zwykłych Afrykanów. Możliwe są alternatywne formaty (tzn. nie kontynentalne), uprzywilejowujące inne czynniki jednoczące.

Patronowanie „panafrykańskim" przedsiębiorcom politycznym jest związane z długotrwałym zabieganiem Kremla o radykalnych intelektualistów i ruchy polityczne, takie jak zachodnia skrajna prawica. Nie powinno więc dziwić, że Moskwa nawiązuje współpracę z radykalnymi przedsiębiorcami politycznymi również w Afryce. W istocie w kremlowskim „panafrykanizmie" można dopatrzyć się skrajnie prawicowego skrzywienia, począwszy od konserwatywnego uprzedzenia, które tkwi w pojęciu „wielobiegunowości". (Kryptofaszystowski oligarcha Konstantin Małofiejew był na przykład mówcą i jednym ze sponsorów Szczytu Rosja–Afryka w 2019 roku). To zalecanie się jest polityką realizowaną bezpośrednio przez rosyjskie ambasady na kontynencie. Na przykład w Demokratycznej Republice Konga 28 marca 2023 roku ambasada rosyjska zorganizowała wydarzenie na temat Afryki jako bieguna światowego, zapraszając członka parlamentu i lokalnych „aktywistów".

Jednym ze znanych rosyjskich klientów jest Stellio Gilles Capo hichi, lepiej znany pod pseudonimem „Kémi Séba". Ten francusko-beniński samozwańczy „panafrykanista" jest aktywny od dwóch dekad, obecnie kieruje organizacją Urgences panafricanistes znaną bardziej pod skrótem Urpanaf. Platforma Séby jest konsekwentnie antysemicka, czyniąc z tego wspólną sprawę z europejskimi grupami białych nacjonalistów, a ostatnio chwaląc junty wojskowe w Burkina Faso i Mali. Raport Proekt Media z 2019 roku wymienia dwanaście oddziałów Urpanaf, z nowymi otwieranymi później w Demokratycznej Republice Konga, w tym w Kivus.

Na każdym etapie wspólny dyskurs cywilizacyjny zbliżał Sébę i jego rosyjskich kolegów. Treść ideologii Séby opiera się na żądaniu oddzielenia czarnych od Zachodu i globalizacji oraz „powrotu" do Afryki, także w sensie fizycznym. Séba uznał Rosję za jednego ze swoich „geopolitycznych sojuszników", partnera Afryki w tworzeniu „wielobiegunowego" świata, który miałby ograniczyć zachodnią hegemonię. Odkąd Rosja rozpoczęła zakrojoną na szeroką skalę inwazję na Ukrainę, Séba stanął po stronie Moskwy, mówiąc, że Rosja prowadzi wojnę z „globalizmem" i nazywając Wołodymyra Zełenskiego „marionetką". Séba próbował zachować równowagę w kwestii Rosji, stwierdzając, że Afryka nie zaakceptuje nowych kolonizatorów, w tym Rosji.

Poza dyskursem, Rosja była w horyzoncie Séby w ciągu ostatnich kilku lat, początkowo współpracował z Aleksandrem Duginem w 2017 roku, później z Jewgienijem Prigożynem, a obecnie bezpośrednio z rosyjskim rządem. Przez wszystkie te lata o Sébie pisały rosyjskie skrajnie prawicowe media (w tym te należące rzekomo do Małofiejewa), Dugin i jego zabita w zamachu córka. Ostatnio rosyjscy łącznicy Séby nabrali sił i popularności i bardziej jawnie okazują związki z rosyjskim rządem. Podczas wizyty w Moskwie w październiku 2022 roku Séba miał wspólny panel z specjalnym przedstawicielem Federacji Rosyjskiej ds. Afryki i Bliskiego Wschodu Michaiłem Bogdanowem, przewodniczącym Komitetu Koordynującego Współpracę Gospodarczą z Krajami Afrykańskimi (AFROCOM) Igorem Morozowem oraz szefem rosyjskiej agencji „pomocowej" Jewgienijem Primakowem jr. Wśród partnerów wydarzenia wymieniono także RT i Fundację Gorczakowa. Ponownie Séba miał przemawiać w Moskwie w marcu 2023 roku, w Dumie podczas szczytu parlamentarnego Rosja–Afryka.

▶ Rosyjski mesjanizm przybywa do Afryki

Rosyjska polityka afrykańska czerpie z wielu źródeł, a nie tylko z jednoosobowej „racjonalnej" analizy kosztów i korzyści. Wraz z końcem zimnej wojny Moskwa nie zrezygnowała bowiem z mesjanizmu jako elementu swoich stosunków międzynarodowych, także w Afryce. Kreml realizuje swoją mesjanistyczną doktrynę „wielobiegunowości" w Afryce przede wszystkim poprzez naleganie na ambitne inicjatywy polityczne obejmujące cały kontynent oraz sprzymierzanie się z osobami noszącymi płaszcz „wielobiegunowości". Przypadek Séby ilustruje zarówno fragmentację rosyjskiej polityki zagranicznej pomiędzy różnymi aktorami (Dugin, Małofiejew, Prigożyn, Bogdanow), jak i rolę ideologicznego pokrewieństwa w powstawaniu takich ponadnarodowych koalicji. Séba i jemu podobni mogą nie być siłami proxy, ale aktorami, których pesymistyczny światopogląd przyciąga ich do Kremla i vice versa. Panafrykanizm jest pojęciem normatywnym i kamieniem węgielnym dla stosunków międzynarodowych na kontynencie, przede wszystkim dla Unii Afrykańskiej i aspiracji, które ona uosabia. Wypaczanie panafrykanizmu w służbie ambicji Rosji i tych skrajnych przedsiębiorców jest działaniem na szkodę kontynentu. ■

eprasa.pl 42e06210b5

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

eprasa.pl 42e06210b5

Chiński Nowy Jedwabny Szlak

Coraz więcej krajów obawia się, że popadnie w pułapkę długu w wyniku zgody na chińskie inwestycje w ramach Nowego Jedwabnego Szlaku (NJS). W latach 2020 i 2021 przystąpiono do renegocjacji warunków kredytowania 40 chińskich projektów w ramach NJS. Według szacunków amerykańskiej firmy Rhodium Group, jest to wzrost o 70 proc. w porównaniu z poprzednimi dwoma latami.

Badanie przeprowadzone przez naukowców z Banku Światowego, Harvard Kennedy School, AidData i Kilońskiego Instytutu Gospodarki Światowej wykazało, że w latach 2008–2021 Pekin wydał 240 mld dolarów na pomoc finansową dla 22 krajów (m.in. dla Argentyny, Pakistanu, Kenii i Turcji), które wcześniej przyjęły chińskie pożyczki. Kwota ta gwałtownie wzrosła w ostatnich latach, ponieważ coraz więcej państw ma trudności ze spłatą pożyczek zaciągniętych w chińskich bankach i jak pisze japoński portal Nikkei Asia: „oczekuje się, że tarcia między Chinami a ich rzekomymi beneficjentami będą się nasilać wraz z upadaniem kolejnych projektów".

Krajem, który ostatnio wyraża obawy związane z Nowym Jedwabnym Szlakiem, jest Indonezja. W 2015 roku indonezyjskie władze wybrały Chiny, a nie Japonię, do budowy 140-kilometrowego połączenia kolei dużych prędkości między Dżakartą i Bandung. Chińczycy zaoferowali szybkie ukończenie projektu, tj. do 2018 roku. W następnym roku kolej miała już działać pełną parą. W rzeczywistości nie została uruchomiona do dziś, a w grudniu ubiegłego roku konsorcjum Kereta Cepat Indonesia China (KCIC), w którym Chiny mają 40 proc. udziałów, zaproponowało przedłużenie swojej 50-letniej koncesji na zarządzenie połączeniem o kolejne 30 lat. Jeśli władze Indonezji zgodzą się na to, to kolej znajdzie się pod dużą kontrolą Chin aż do początku XXII wieku. W samym rządzie pojawiają się głosy, że Indonezja popełniła błąd, wybierając jako inwestora ChRL, a nie Japonię, zwłaszcza że opóźnienia podniosły całkowite koszty budowy o około 40 proc.

Indonezja obawia się, że podzieli los Sri Lanki, gdzie Port Hambantota w 2017 roku został wydzierżawiony Chinom na 99 lat, bo tamtejsze władze nie mogły spłacić chińskich kredytów. To, co spotkało Sri Lankę, to klasyczny przypadek chińskiej „dyplomacji pułapki zadłużenia". Pekin najpierw udziela nadmiernych pożyczek, a następnie gdy kraj będący dłużnikiem nie jest w stanie wywiązać się ze swoich zobowiązań spłaty, wymusza ustępstwa gospodarcze lub polityczne. Dla Komunistycznej Partii Chin jest to sposób na uzależnianie od siebie innych państw.

Hongkong

W Hongkongu ma miejsce exodus dziennikarzy spowodowany narzuconą przez Pekin w czerwcu 2020 roku ustawą o bezpieczeństwie narodowym. Jak podaje katolicki portal Asia News, większość dziennikarzy, którzy opuścili byłą kolonię brytyjską, mieszka obecnie w Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Australii, na Tajwanie i w Stanach Zjednoczonych. „80 proc. nie planuje powrotu do Hongkongu, a 90 proc. nie żałuje decyzji o jego opuszczeniu". Jedna trzecia z tych dziennikarzy ma ponad 20-letnie doświadczenie pracy w mediach. Ponad połowa pracuje za granicą w innych zawodach, na przykład barmana czy mechanika, ale wolałaby wrócić do swojego dawnego zawodu. Jednak większość tych, którzy chcieliby kontynuować karierę dziennikarską za granicą, podkreśla, że dużą barierą jest nowy język. Niewielka część dziennikarzy imigrantów znalazła pracę w BBC, Voice of America i Radio Free Asia, a niektórzy często bezpłatnie wspierają nowe platformy założone przez mieszkańców Hongkongu za granicą, a skierowane do tej diaspory.

Od czasu wprowadzenia w Hongkongu ustawy o bezpieczeństwie narodowym gazety i dziennikarze znaleźli się pod silną presją ze strony władz. Kilka gazet i stron internetowych zostało zamkniętych, na przykład Apple Daily oraz Stand News. Wielu ludzi związanych z mediami siedzi teraz w więzieniach, m.in. magnat prasowy, założyciel Apple Daily, katolik Jimmy Lai (Lai przebywa w więzieniu od 2020 roku i oczekuje na rozprawę wytoczoną na podstawie ustawy o bezpieczeństwie narodowym). W marcu na 52. sesji Rady Praw Człowieka ONZ odbyło się wysłuchanie w sprawie aresztowania i represji wobec 75-letniego Laia, gdzie przemawiający w jego imieniu jego brytyjscy prawnicy oraz jego syn Sebastian Lai podkreślali, że ustawa o bezpieczeństwie narodowym służy do kryminalizacji niezależnego dziennikarstwa w Hongkongu.

Hongkońskie Stowarzyszenie Dziennikarzy wielokrotnie potępiało seryjne zatrzymania reporterów i felietonistów, stwierdzając, że oznaczają one koniec wolności wypowiedzi w byłej kolonii brytyjskiej. W ciągu ostatniego roku Hongkong spadł z 80. na 148. miejsce w rankingu wolności prasy organizacji Reporterzy bez Granic.

Korea Południowa

Południowokoreańskie Ministerstwo Równości Płci i Rodziny ogłosiło, że zapewni pomoc finansową w wysokości do 650 tys. wonów koreańskich, czyli około 500 dolarów miesięcznie, odizolowanym społecznie młodym ludziom. Władze chcą w ten sposób zachęcić młodych do „wyjścia do społeczeństwa, znalezienia pracy lub powrotu do szkoły", tak by cieszyli się „emocjonalną stabilnością oraz zdrowym rozwojem".

Według danych Koreańskiego Instytutu Zdrowia i Spraw Publicznych, około 3,1 proc. Koreańczyków

eprasa.pl 42e06210b5

w wieku od 19 do 39 lat to ludzie samotni, których definiuje się jako żyjących w „ograniczonej przestrzeni, odciętych od świata zewnętrznego i mających zauważalne trudności w prowadzeniu normalnego życia". W całym kraju takich osób jest 338 tys. Władze Korei Płd. jako główne przyczyny izolowania się młodych ludzi podają osobistą traumę, szykanowanie w szkole, stres akademicki, konflikt rodzinny lub brak opieki ze strony opiekunów lub rodziców.

Przedłużająca się izolacja fizyczna może sprawić, że młodzi ludzie popadają w depresję i cierpią na zahamowany rozwój fizyczny z powodu nieregularnego trybu życia i niedożywienia.

Korea Płd. boryka się także z problemem spadku liczby ludności w wieku produkcyjnym. Eksperci obawiają się, że trend malejącej siły roboczej może doprowadzić do niszczącej nierównowagi – niewielka baza pracowników będzie musiała utrzymać rosnącą liczbę emerytów.

Zjawisko izolacji młodzieży ma miejsce także w Japonii i jest określane terminem hikikomori (od czasownika hikikomoru oznaczającego „wejście do środka i niewychodzenie na zewnątrz", „ograniczenie się do przebywania w zamkniętej przestrzeni, domu, pokoju"). W Kraju Kwitnącej Wiśni problem ten ma dotyczy około 1,5 mln młodych ludzi. A władze twierdzą, że pandemia COVID-19 z pewnością pogorszyła tę sytuację.

Problem hikikomori zaczyna też w większym stopniu dotykać Chiny, Singapur i Tajwan.

W Kraju Kwitnącej Wiśni problem izolacji ma dotyczy około 1,5 mln młodych ludzi. A władze twierdzą, że pandemia COVID-19 z pewnością pogorszyła tę sytuację.

Chiny

W poniedziałek wielkanocny porwany został przez chińską bezpiekę ksiądz Xie Tianming z diecezji Baoding w prowincji Hebei. Duchowny zniknął zaraz po tym, jak wyraził gotowość dołączenia do oficjalnego Kościoła, który znajduje się pod kontrolą Komunistycznej Partii Chin (KPCh). Przypadek ten pokazuje, jak po podpisaniu w 2018 roku przez Stolicę Apostolską i Pekin umowy dotyczącej m.in. mianowania biskupów traktowani są księża Kościoła podziemnego, którzy ujawniają się władzom. Zabierani przez władzę, przetrzymywani są w tajnym miejscu i politycznie „reedukowani", czyli poddawani praniu mózgu. Po tym następuje okres nadzoru tzw. guan zhi, aż do momentu, gdy duchowni będą w stanie udowodnić, że dostosowali swój sposób myślenia do komunistycznej ideologii. Duchowni i klerycy zmuszani są też do wstępowania do Komunistycznej Partii Chin.

Według Asia News co najmniej połowa księży w diecezji Baoding przystąpiła do oficjalnego Kościoła po przejściu przez „guan zhi".

Podziemny Kościół (uznający zwierzchnictwo Papieża) w Baoding był jednym z najstarszych i największych w Chinach. Jego biskup, James Su Zhimin, za odmowę dołączenia do oficjalnego Kościoła przebywa w areszcie w nieznanym miejscu od ponad 25 lat. Wcześniej spędził ponad 26 lat w obozach pracy przymusowej (laogai).

Oficjalny Kościół w ChRL nosi nazwę Patriotycznego Stowarzyszenia Katolików Chińskich. Kościół podziemny (katakumbowy) to z kolei według KPCh „nielegalna organizacja religijna". Duchowni i zakonnice tego Kościoła poddawani są licznym represjom.

Według wielu ekspertów i chińskich katolików umowa, jaką Watykan podpisał z Pekinem 5 lat temu, niszczy katolicki Kościół podziemny. Nina Shea, dyrektor Centrum Wolności Religijnej przy amerykańskim konserwatywnym think tanku Instytucie Hudsona, uważa, że Chiny dążyły do zawarcia porozumienia ze Stolicą Apostolską tylko z jednego powodu: „chciały pomocy Watykanu w wyeliminowaniu podziemnego Kościoła katolickiego". Pekin pragnął stworzyć warunki pozwalające kontrolowanemu przez KPCh Kościołowi patriotycznemu stać się instytucją, w której za błogosławieństwem papieża może nastąpić zjednoczenie chińskich katolików. „Po zawarciu porozumienia chińskie władze zrobiły nagonkę na duchownych Kościoła podziemnego, ostrzegając ich, że przeciwstawią się papieżowi, jeśli nadal będą chrzcić, wyświęcać nowych duchownych i modlić się w niezarejestrowanych kościołach. Podziemny Kościół katolicki w Chinach mógł znieść oficjalne zaszufladkowanie jako nielegalny lub kontrrewolucyjny; przetrwał przecież zaciekłe prześladowania jako wróg państwa podczas rewolucji kulturalnej Mao. Ale nie wytrzymał starcia z papieżem" – twierdzi Shea. ■

eprasa.pl 42e06210b5

Tomasz Sakiewicz

Czy rząd powinien walczyć z inflacją

Chyba nie ma opozycyjnych polityków i mediów, którzy nie obarczaliby rządu winą za wysoką inflację. Jedyna widoczna kampania opozycji dotyczy właśnie drożyzny. Co ciekawe, obóz władzy podjął temat i tłumaczy, jak skutecznie walczy z inflacją i jak jest dobrze na tle innych krajów. Problem w tym, że celem działania rządu nie jest walka z inflacją, a co najwyżej jej negatywnymi skutkami dla obywateli i gospodarki. Generalnie rząd ma mało narzędzi do zmniejszania inflacji, szczególnie jeżeli jej źródła tkwią poza granicami kraju. Oczywiście nieodpowiedzialna polityka władz może rozkręcić inflację, ale dzisiaj wbrew pozorom proste to nie jest.

Inflacja sama w sobie jest zjawiskiem szkodliwym, szczególnie jeżeli przekracza pewien poziom, ten poziom zawiera w sobie zjawiska ekonomiczne i psychologiczne. Większość banków centralnych krajów rozwiniętych stara się trzymać inflację w granicach maksymalnie 2–3 proc. Z czego to wynika? Przede wszystkim z wysokości lokat. Nie jest dużym problemem zapewnienie oprocentowania lokat na poziomie około 3 proc. Wysokość lokat musi korelować z oprocentowaniem kredytów. Jeżeli bank bierze pieniądze na 3 proc., to może pożyczać na 4–5 proc. A dlaczego nie mógłby dawać 10 proc., a pożyczać na przykład na 12 proc.? Widzimy to chyba dzisiaj. Jeżeli ktoś wziął kredyt na milion złotych, to przy 5 proc. spłaca 50 tys. rocznie. Dla średnio zarabiającej rodziny dużo, ale da radę. Przy 12 proc. to 120 tys. rocznie, czyli całość dochodów. Nawet jeżeli ich pensje wzrosną o 12 proc., to na życie zostanie im tysiąc złotych miesięcznie. Inflacja najmocniej więc uderza w tych, którzy mają zmienne oprocentowanie kredytów. Niewypłacalność tych ludzi doprowadzi nie tylko do osobistych tragedii, lecz także może wywołać lawinę upadłości banków, kryzys gospodarczy itd. Znamy już ten mechanizm. Inflacja oczywiście prowadzi też do ubóstwa: ktoś kupi mniej jedzenia, paliwa itd. Czy więc rząd nie powinien podjąć walki z inflacją? Tak, ale tylko wtedy, kiedy ma na to jakikolwiek wpływ. Na wolnym rynku może głównie łagodzić skutki inflacji. Wyobraźmy sobie kraj, który większość swoich dochodów czerpie z handlu ropą. Surowiec ten gwałtownie drożeje. Zwiększenie jego cen powoduje oczywiście gwałtowny wzrost inflacji. Z drugiej strony dochody tego kraju też gwałtownie rosną dużo powyżej inflacji. Rząd ma więc do wyboru: zmniejszyć ceny ropy albo ulżyć obywatelom, na przykład zmniejszając podatki. Zmniejszenie cen ropy bardzo skuteczne nie będzie, bo kraj, który żyje z ropy, wszystko importuje, produkty i tak podrożeją. Tańsza ropa może szybko się skończyć, bo inni ją wykupią. Rząd więc nie da rady obniżyć na długo inflacji, ale może ją po prostu zrekompensować.

Podaję ten przykład specjalnie, bo dzisiaj źródłem inflacji stały się drogie nośniki energii. Jeżeli kraj żyjący ze sprzedaży paliw nie za bardzo może zdusić inflację, to tym bardziej będzie miał z tym problem rząd, który paliwa importuje. Łatwiej jest więc pomóc ludziom i gospodarce niż zwalczyć inflację. Oczywiście można było posłuchać rad opozycji i bardzo podnieść stopy procentowe. Kryzys gospodarczy spowoduje natychmiastowy spadek inflacji tylko wraz z dużo większym zubożeniem społeczeństwa. Ktoś, kto domaga się wysokich stóp, chce takiego scenariusza. Pomijam to, że rząd to jedno, a bank centralny to co innego. W Polsce obydwie instytucje wytrzymały wojnę nerwów. Stopy podniesiono dosyć późno i trochę poniżej inflacji. Rząd za to zareagował najpierw obniżaniem podatków, a potem punktowym wspieraniem w miejscach największych potrzeb. Inflacja zaczęła spadać bez wejścia w kryzys. Straty są, ale dużo mniejsze niż się spodziewaliśmy. Warto o tym pamiętać, bo są tacy, którzy chcieli nam zafundować kolejną szokową terapię. ■

eprasa.pl 42e06210b5

niezależna.pl
#BądźNaBieżąco
eprasa.pl 42e06210b5